PO ZAMIESZKACH WE LWOWIE

Sieć „uchylantów" – jak Ukraińcy unikają wysłania ich na front

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 30/690 20–26 LIPCA 2026
CENA **14,90 ZŁ** (W TYM 8% VAT)

Swawolny Radzio – Ziemkiewicz o ostatnich wyskokach ministra Sikorskiego



SIOSTRY KS. SYLWESTRA ZYCHA O PRZEŚLADOWANIU GO PRZEZ BEZPIEKĘ W PRL I O JEGO ZAGADKOWEJ ŚMIERCI

Kościół kapituluje w sprawie nauczania o moralności seksualnej

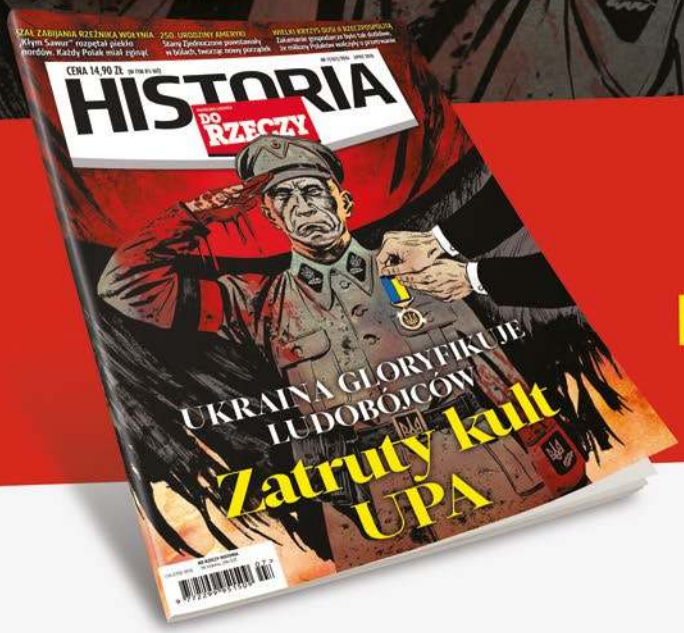
Historia Polski według Grzegorza Brauna

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

eprasa.pl 72fac7a599

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



KULT UPA NA KOŚCIACH POLSKICH KOBIET I DZIECI

Banderowskie kłamstwa i mity – „Pierwszy etap działalności UPA to realizacja ludobójczych planów. Dopiero później upowcy walczyli z Sowietami – mówi prof. Damian Karol Markowski

Polsko-ukraiński żmut – Oba nasze narody splecione są bolesną historią, która bardzo poważnie rzutuje na teraźniejszość i przyszłość. Czy da się jeszcze zrealizować wskazania Jana Pawła II, który jasno zabrał głos w sprawie leczenia ran Polaków i Ukraińców? – zastanawia się w swoim tekście Piotr Semka

II RP przy pustym stole – „Mamy relacje mówiące o kobietach przemykających rano na wioskach z płonącymi szczapami drewna. Ludzie »pożyczali« ogień od sąsiadów, żeby oszczędzać zapałki – mówi dr Kamil Piskała, autor książki „Zredukowani. O społecznych skutkach Wielkiego Kryzysu"

Russo-Bałtem i czerwonym Fordem – Zarówno Rosja biała, jak i czerwona odnosiła pewne sukcesy na polu motoryzacyjnym. W czasach sowieckich Kreml stawał na głowie, by auto w końcu przestało być dobrem luksusowym

Promienne pióro Mistrza Ildefonsa – Jerzy Putrament słusznie zauważył, że tego poetę nie trzeba do niczego zmuszać ani namawiać, bo on sam z siebie pisze dokładnie to, czego od niego oczekiwano

Na politycznym spalonym – Czterokrotnie o mundialowej absencji reprezentacji Polski nie zadecydowało boisko, lecz kwestie pozasportowe

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 72fac7a599



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Eskalacja przyniesie pokój?

Od szczytu NATO w Ankarze minęło kilkanaście dni. Obserwując doniesienia polskich mediów, można odnieść wrażenie, że poza awanturą USA – Hiszpania i pytaniem duńskiego dziennikarza do sekretarza generalnego sojuszu Marka Ruttego, jak znosi on sytuację, w której prezydent USA obsobacza sojuszników (jak można było się spodziewać, Mark Rutte jak każdy lizus i pochlebca obwieścił, że dzięki temu sojusz jest coraz mocniejszy), nie wydarzyło się nic istotnego. Tymczasem, sądzę, szczyt pokazał, że – najkrócej mówiąc – Donald Trump, całkiem inaczej, niż miało to miejsce wcześniej, przeszedł na pozycje partii wojny.

Kilka znaków mówi za siebie. Po pierwsze, USA podpisały się pod twierdzeniem, że Rosja stwarza „długoterminowe zagrożenie dla bezpieczeństwa i stabilności euroatlantyckiej". Po drugie, w Ankarze sojusz potwierdził dalsze wsparcie krajów członkowskich dla Ukrainy, toczącej wojnę z Rosją. W deklaracji znalazł się zapis o 70 mld dol. pomocy wojskowej dla Ukrainy w 2026 r. oraz utrzymaniu wsparcia co najmniej na podobnym poziomie w 2027 r. Po trzecie, Donald Trump ogłosił, że Ukraina otrzyma licencję na produkcję rakiet do systemów Patriot. Po czwarte, co też ma znaczenie, w Ankarze Wołodymyr Zełenski traktowany był niemal jak członek NATO. Doskonale pokazuje to zmiana tonu prezydenta USA: „Damy wam licencję na tworzenie Patriotów, to całkiem fajne" – powiedział Donald Trump podczas spotkania z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim. „W ten sposób nie będziecie mogli narzekać, że nie dajemy ich wystarczająco dużo". Powiedziałem: „Zróbcie je sami". Podobnie przyjaźnie brzmiały inne wypowiedzi obu przywódców. Gdy Trump zapytał Zełenskiego, czy ten wybierze się na ewentualne rozmowy do Moskwy, usłyszał w odpowiedzi – To trudne. Jest tam teraz mnóstwo ukraińskich dronów. To dla mnie niebezpieczne – czym rozbawił zgromadzonych na miejscu dziennikarzy i samego prezydenta Trumpa. Po piąte, zachodnie media nie ukrywają, że ataki na Rosję możliwe są dzięki pomocy amerykańskiego wywiadu (ostatnio napisał o tym „Financial Times"). Wreszcie, po siódme, zmianę tę doskonale pokazały wypowiedzi amerykańskiego sekretarza stanu Marca Rubia, według którego USA zamierzają wspierać uderzenia ukraińskie na tereny w głębi Rosji. Trump: „To eskalacja, ale taka, która może doprowadzić do zakończenia wojny".

Nie ma zatem wątpliwości, że Waszyngton zrezygnował ze swojej dotychczasowej roli głównego mediatora między Kijowem i Moskwą, który to próbował doprowadzić do zakończenia konfliktu, wywierając presję na Ukrainę. Donald Trump stanął teraz w jednym szeregu z pozostałymi przywódcami zachodnimi i podążył dokładnie tą samą drogą, którą szedł Joe Biden. Kluczem do pokoju ma być… wojna. Tym, co ma rzucić Rosję na kolana, będą ataki dronowe na rosyjskie rafinerie i infrastrukturę. Być może zresztą nastąpią też uderzenia rakietami balistycznymi (o tym z kolei mówił Denys Sztillierman, szef ukraińskiej firmy zbrojeniowej Fire Point) na Moskwę czy Petersburg. W Polsce zmiana ta, o ile została dostrzeżona, przyjęta została z zadowoleniem. Jest to przecież, co się tyczy USA, prawdziwy powrót syna marnotrawnego. Ameryka wreszcie zrozumiała, że Rosję trzeba pokonać – tak brzmi optymistyczny, polski przekaz.

Powstaje jednak pytanie: Czy taka strategia może być skuteczna? Jakie są możliwe odpowiedzi Moskwy? Pierwsza to taka, jaką sobie wyobrażają zachodni liderzy i polscy politycy, a więc kapitulacja. Pod wpływem kolejnych ataków Moskwa prosi o pokój, wycofuje się z okupowanych terytoriów i dochodzi do porozumienia na warunkach Ukrainy i Zachodu. Czy to jest możliwe? Bardzo w to wątpię. Nic nie wskazuje na to, że Moskwa została złamana. Ukraińskie ataki na pewno ją osłabiły, ale żaden przełom nie nastąpił. Ukraińcy nie tylko nie odzyskali zajętych przez Rosjan terenów, lecz także w ostatnim czasie, wszystko na to wskazuje, stracili ważną twierdzę, jaką była Konstantynówka.

Druga odpowiedź zatem, i ta wydaje mi się bardziej prawdopodobna, to odpowiedź na eskalację… eskalacją. Tutaj Moskwa ma kilka możliwości. Po pierwsze, może uderzyć w te państwa NATO, które w największym stopniu przyczyniają się do kontynuacji ukraińskich ataków. Nie da się ukryć, że na tej liście całkiem wysoko może się znajdować Polska. Po drugie, może użyć broni atomowej – zapewne w pierwszej kolejności uderzając w cel na terenie Ukrainy.

Paradoks polega na tym, że im większą presję na Rosję wywiera Zachód i Ukraina, tym mniejsze pole manewru ma prezydent Putin. Każdy udany atak Kijowa sprawia, że rosyjska chęć odwetu i pragnienie zemsty rośnie. Tym bardziej że – jak wynika z wypowiedzi rosyjskich polityków – przestali oni wierzyć w dobrą wolę USA.

Po przeprowadzeniu tej analizy nie mogę się zdobyć na optymizm. ©℗

eprasa.pl 72fac7a599



TEMAT TYGODNIA

16 ROZMOWA Z GRZEGORZEM BRAUNEM
BIESY POLSKIE
Historia Polski według Grzegorza Brauna

KRAJ

22 JAN FIEDORCZUK
PIS MOCNY W GĘBIE
Nieskuteczne zaloty partii Jarosława Kaczyńskiego

24 ŁUKASZ WARZECHA
POLITYKA PRZYMUSOWEJ PRZYJAŹNI

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
SWAWOLNY RADZIO

29 PIOTR SEMKA
POWRÓT „PREZESA WYKLĘTEGO"

32 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
POLITYCY NA LUZIE

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
W CIENIU IMPERIUM
Fragment książki „Wróbel Galaktyki"

37 KRZYSZTOF MASŁOŃ
MEBLOWANIE GŁÓW

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

42 LECH MAŻEWSKI
CO NAM GROZI ZE STRONY UKRAIŃCÓW?
35 lat stosunków polsko-ukraińskich: bez entuzjazmu

45 MARIUSZ JAGÓRA
TECHNOKRATYCZNY BY-PASS WŁADZY

48 FILIP MEMCHES
WYWRÓCENIE STOLIKA

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KOŚCIÓŁ KAPITULUJE W SPRAWIE NAUCZANIA O MORALNOŚCI SEKSUALNEJ

52 MONIKA MAŁKOWSKA
MY, ZWIERZĘTOLUDZIE

HISTORIA

54 ROZMOWA Z DANUTĄ REGULSKĄ I ALICJĄ ZYCH-KASIENKO
OKRĄGŁY STÓŁ BYŁ KANCIASTY
37. rocznica zagadkowej śmierci ks. Sylwestra Zycha

ŚWIAT

58 MACIEJ SZYMANOWSKI
WĘGIERSKA RULETKA
Dziwne rządy influencera Magyara

61 MACIEJ PIECZYŃSKI
SIEĆ „UCHYLANTÓW" – JAK UKRAIŃCY UNIKAJĄ WYSŁANIA ICH NA FRONT

65 JACEK PRZYBYLSKI
GIBRALTAR W STREFIE SCHENGEN

EKONOMIA

66 JAKUB WOZINSKI
BUKARESZT JUŻ HAMUJE. KIEDY WARSZAWA?
Ostrzeżenie dla Polski

70 JACEK PRZYBYLSKI
DISNEYLAND DLA FANÓW MOTORYZACJI

LATO Z „DO RZECZY"

74 JACEK PAŁKIEWICZ
ŚWIAT ROŚLIN, JAK W CZASACH DINOZAURÓW
Przewodnik Jacka Pałkiewicza: Tepui na Gran Sabanie

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (57), PRZYBYLSKI (64), GABRYEL, WARZECHA (73), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 72fac7a599

TYGODNIK DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adam Chełstowski/Forum, Zamek Królewski w Warszawie**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratapraswy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Nasz Europejczyk" Remigiusza Własta-Matuszaka, „DRz" nr 27/2026

Często zastanawiam się, w gronie podobnie myślących przyjaciół, dlaczego prawa strona naszej sceny politycznej tak skutecznie zraziła i nadal zraża do siebie wybitnych twórców. Jakąś odpowiedź daje lektura zamieszczonej w numerze 27/2026 tygodnika „Do Rzeczy" recenzji czy raczej pamfletu pióra Pana Remigiusza Własta-Matuszaka pt. „Nasz Europejczyk".

Przyznam, że dawno nie czytałem równie płytkiego tekstu o dziele filmowym, bo dziełem jest znakomity film Pawła Pawlikowskiego „Ojczyzna" o dramacie wielkiego intelektualisty, pisarza i myśliciela Tomasza Manna, który nie może odnaleźć się w swojej ojczyźnie, a szerzej – w świecie po tragedii drugiej wojny światowej, która burzy całą aksjologię, której był wierny i którą opisywał w swoich wspaniałych powieściach na czele z „Czarodziejską górą" czy „Doktorem Faustusem". Film jest, jak piszę, dziełem zupełnym; obraz, dźwięk, gra aktorska to absolutne wyżyny. Wspaniała scenografia sprawia, że można „Ojczyznę" oglądać niemal jak historyczny dokument z powojennych Niemiec.

Zastanawiam się też, jak można przejść obojętnie nad sceną finałową filmu, gdy Mann cudownie grany przez Hannsa Zischlera wraz z córką Eriką (wielka Sandra Hüller) słucha Chorału Bacha w zrujnowanym kościele, gdzieś na wschodzie Niemiec. Scena ta, moim zdaniem, przejdzie do historii polskich dokonań filmowych, jak kultowy obraz z kieliszkami w „Popiele i diamencie" Wajdy.

Recenzent nie dostrzega niczego, tylko jazdę samochodem i niewiele znaczące epizody. W filmie, dla niego, nic się nie dzieje, z ekranu wieje nudą. Jak zatem odbiera filmy Antonioniego, Bergmana, Rohmera czy wczesne obrazy Krzysztofa Zanussiego?

Operuje on ponadto bałamutnym argumentem frekwencyjnym. Oczywiście prymitywny amerykański blockbuster zdobędzie nieporównanie więcej widzów niż rewelacyjna „Wartość sentymentalna" Norwega Triera. Tylko o czym to ma świadczyć?

Pan Własta-Matuszak „rozprawił" się więc z Pawlikowskim, bo „nie nasz", a przy okazji dostało się Janowi Komasie (bo powinowaty Holland?) i samej Holland, akurat za wcale niezły film „Obywatel Jones" pokazujący hipokryzję brytyjskich elit, w tym niesławnej pamięci Lloyda George'a, w ocenie Związku Sowieckiego.

Na marginesie jeszcze osobiste wspomnienie z mego pobytu w Algierii, gdzie organizowaliśmy pokaz „Zimnej wojny" Pawlikowskiego w wypożyczonej salce Instytutu Cervantesa. Zainteresowanie było tak duże, że algierscy kinomani stali, a później trzeba było projekcję powtórzyć.

Moja rada, nie należy rozdawać razów „na ślepo", bo nie zgadzamy się z poglądami innych. Jest to droga donikąd.

Starajmy się umieć docenić dokonania artystyczne, nawet jeśli twórca błądzi, naszym zdaniem, w ocenach politycznych.

Witold Spirydowicz,
ambasador RP w Maroku (2010–2015),
ambasador RP w Algierii (2016–2023)

Od autora

Ekscelencjo, wraz z liczną grupą podobnie myślących przyjaciół (Konferencja Ambasadorów RP pod przewodem Ryszarda Schnepfa?) pragnę wyjaśnić, iż bardzo obszerną i głęboko filozoficzną recenzję filmu „Ojczyzna" zamieścił w „Do Rzeczy" nr 25/2026 r. redaktor Piotr Gociek. Mój „płytki tekst" to prawdziwa i dokładna relacja z publicznego seansu owego pseudodokumentu o Tomaszu Mannie. Film właśnie „zszedł" z naszych ekranów, nie przekraczając 80 tys. widzów. Mój „pamflet" przedstawiał fatalną, antypolską rolę filmu „Ida" Pawlikowskiego na całym świecie. Pominął Pan ten fakt. „Ojczyzna" otwiera polityczną, światową modę przedstawiania „dobrych" Niemców walczących z „garstką" należącą do NSDAP. Podążając za Pawlikowskim, Agnieszka Holland właśnie zrezygnowała z opowieści o Jerzym Kosińskim i rozpoczyna film o Marlenie Dietrich! Za rok „wybitny twórca" z „tego Kraju" nakręci film o Niemcach, którzy w trakcie okupacji Polski „ochraniali" Żydów w gettach, by bronić ich przed „polskimi pogromami".

Remigiusz Własta-Matuszak

eprasa.pl 72fac7a599

NA PIERWSZY OGIEŃ

Norwegowie odnaleźli siebie



PIOTR SEMKA

Emocje wokół epopei norweskiej reprezentacji piłkarskiej, która dotarła aż do jednej ósmej finału mundialu, miałem szczęście oglądać bezpośrednio w ojczyźnie wikingów.

Ponad 100 tys. kibiców przywitało w Oslo futbolową jedenastkę po powrocie do kraju. Najważniejsza arteria Oslo – Karl Johans gate – wypełniona była ludzkimi głowami aż po swój kres. Wszyscy chcieli powitać „guttene våre" – „naszych chłopców". Drużyna najpierw spotkała się z królem Haraldem V, ale zaraz po monarszej audiencji piłkarze wyszli do swoich fanów, którzy czekali na nich przed pałacem królewskim. Wychodząc z królewskiej siedziby, szli otoczeni z dwóch stron honorowym szpalerem gwardii królewskiej w charakterystycznych czarnych kapeluszach z piórami. Gwardziści z dumą prezentowali broń przed futbolistami. Pod stojącym przed pałacem pomnikiem króla Karola XIV Jana zawodnicy podziękowali wszystkim Norwegom za fantastyczne wsparcie na trybunach i w kraju, przed telewizorami. Wszyscy – zarówno piłkarze, jak i tłumy Norwegów – wykonali razem charakterystyczny gest wiosłowania z okrzykiem: „Rooo!" („Wiosłuj"!), który był symbolicznym nawiązaniem do dumnej wikińskiej tradycji. Sam następca tronu, książę Haakon, walił w tradycyjny bęben, wyznaczając rytm. Wioślarstwo jest zresztą do dziś bardzo popularnym sportem i zawody w tej dyscyplinie ubarwiają wiele norweskich świąt ludowych.

Dlatego wcześniej symbolicznym gestem wiosłowania wspierali swoich zawodników zarówno deputowani do Stortingu – norweskiego parlamentu, jak i kibice norwescy, którzy zebrali się „wiosłować" na nowojorskim Times Square przed meczem z Senegalem.

Ten pomysł na wspólne „wiosłowanie" przykuł uwagę do norweskich kibiców na całym świecie. Niektórym przypomniały się filmowe sagi o wojownikach z Północy – innych zaciekawiły charakterystyczne hełmy z rogami, w które ubierali się fani norweskiej drużyny. A każdy musiał zauważyć, że numery na koszulkach wystylizowane zostały na prastare nordyckie runy.

Dla Norwegii, która przez ostatnie dekady w ramach politycznej poprawności wyzbywała się atrybutów narodowej tożsamości, te parę tygodni kibicowania swojej drużynie na rozgrywkach w USA było tożsamościowym katharsis. W kraju, w którym z banknotów korony norweskiej wyrugowano własnych bohaterów, zamieniając je w wyprane z wszelkiej indywidualności kolorowe papierki – ludzie najwyraźniej potrzebowali jakiegoś pola do zamanifestowania własnej dumy narodowej. Transmisje z meczów narodowej reprezentacji zgromadziły setki tysięcy Norwegów we wszystkich miastach Krainy Fiordów, a wygrana z Brazylią była jednym wielkim szałem radości.

Waleczni synowie Północy ulegli w końcu Anglikom, ale przypomnieli światu o odwadze i waleczności poddanych króla Haralda V. Każdy naród chciałby mieć takie swoje pięć minut, w których zdobywa się uwagę i sympatię świata. Norwegom udało się to w wyjątkowo wdzięcznym stylu. ©℗



FOT. DARIUSZ JACHOWSKI/FAST NEWS

LEWANDOWSKI MA PODBIĆ AMERYKĘ

Kapitan reprezentacji Polski Robert Lewandowski został oficjalnie przedstawiony jako zawodnik Chicago Fire. Polski napastnik podpisał kontrakt do końca grudnia 2028 r. z opcją przedłużenia do końca roku 2029, w zależności od wyników. Według portalu SalaryLeaks jego wynagrodzenie podstawowe wyniesie 17 mln dol. (równowartość 64,38 mln zł) rocznie. A do tej kwoty mogą dochodzić jeszcze bonusy marketingowe. ©℗

20 LAT DLA ŁUKASZA ŻAKA

Sąd Rejonowy Warszawa-Śródmieście skazał Łukasza Żaka na 20 lat pozbawienia wolności i dożywotni zakaz prowadzenia pojazdów. Już po 15 latach Żak będzie miał prawo ubiegać się o zwolnienie warunkowe. W 2024 r. Żak, jadąc ponad 200 km/h, uderzył w Warszawie w Forda, którym jechała czteroosobowa rodzina. Wskutek wypadku zginął 37-latek, a do szpitala trafiły cztery osoby, w tym dwoje dzieci zmarłego. Wyrok nie jest prawomocny. ©℗

eprasa.pl 72fac7a599

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 72fac7a599

PŁYWANIE W KISIELU

Depolaryzacja i repolaryzacja



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

Do chwili zamknięcia tego numeru tygodnika (a myślę, że nie zmieni się to i po jego wydrukowaniu) nie wiadomo jeszcze, czy Mateusz Morawiecki odejdzie z PiS, czy w nim pozostanie. A jeśli odejdzie, czy założy własną partię – to znaczy, czy przekształci w nią stowarzyszenie, które Jarosław Kaczyński kazał właśnie rozwiązać pod karą wyrzucenia jego członków z partii. W chwili gdy piszę te słowa, wiadomo tylko tyle, że Morawiecki rozwiązania stowarzyszenia odmówił. Idzie więc na próbę sił.

W komentarzach przeważa ton: w takim momencie, kiedy rząd pogrąża się w aferach, największa partia opozycyjna zajmuje się sobą, zamiast garściami zgarniać polityczne złoto, jakim są codziennie ujawniane skandale?! Zupełnie się z tym nie zgadzam. Przyszłość PiS i stosunek sił pomiędzy nim a dwoma Konfederacjami to osobna sprawa, ale tak na bieżąco to wojenka w PiS jest, wbrew pozorom, najgorszym, co mogło Donalda Tuska i jego ekipę spotkać.

Tak! Bo dzięki temu trudno mu przykleić do PiS demaskowanie patologicznych układów w ochronie zdrowia, krytykę utajnionego SAFE, katastrofę w budżecie i innych skandali. Ciężar krytyki władzy przesunął się, jak zresztą być powinno, ku mediom i dziennikarzom. Kiedy rządzący układ demaskują Stanowski, Słowik i Jadczak, działa to zupełnie inaczej, niż gdyby te same oskarżenia miotali Błaszczak, Sasin i Czarnek.

Szczęśliwie dla sprawy, PiS nie ma głowy do walki z rządem, bo walczy z Mentzenem, Braunem i samym sobą. Tusk rozpaczliwie stara się o repolaryzację, nasyła prokuratorów na kolejnych „rozliczanych" i na Trybunał Konstytucyjny, licząc na ripostę, jego agory, tefałeny i szpringery pracują nad tym usilnie – ale efektem jest tylko wzrost liczby datków na Republikę. PiS nie podejmuje zaproszenia, choć dotąd zaostrzanie polaryzacji opłacało się obu stronom, bo sam się wewnętrznie spolaryzował i nie wie, co teraz.

A przekonywanie ludzi, że Kanał Zero to też PiS, słabo się udaje… ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Domykanie systemu!

W czasie gdy przez Polskę przewala się fala doniesień o zuchwałych nadużyciach w szpitalach, o nieuczciwych lekarzach i ich przełożonych wyłudzających z systemu gigantyczne sumy, rząd postanowił wzmocnić ochronę praw pacjentów. Wygląda to logicznie. Można by pomyśleć – wreszcie! Wobec takiej skali nieuczciwości, pokazującej pośrednio cynizm i bezduszność niektórych lekarzy, w sytuacji kryzysu zaufania do medyków, troska o ochronę pacjentów jawi się jako coś oczywistego. Niestety, nie mam dobrych wiadomości.

Rada Ministrów przyjęła nowelizację ustawy o Rzeczniku Praw Pacjenta i nie chodzi tu o ochronę nas przed nieuczciwymi, niebezpiecznymi praktykami, które widzimy w systemie ochrony zdrowia. Rząd postanowił walczyć z tzw. pseudomedycyną, wprowadzając „Lex Szarlatan". Na niespotykaną dotąd skalę ścigani będą wszyscy podszywający się pod specjalistów medycznych (i to można zrozumieć). Nowelizacja umożliwi jednak ściganie oferujących pomoc zdrowotną niemających wpisu do rejestru działalności leczniczej, prowadzących działalność leczniczą bez kwalifikacji medycznych, a także promujących metody, które „nie mają potwierdzenia naukowego". Rzecznik Praw Pacjenta otrzymuje nowe uprawnienia – będzie mógł decyzją administracyjną, bez postępowania sądowego, wydać natychmiastowy zakaz działalności, a także nałożyć karę do 1 mln zł. Jako szkodliwe i zagrażające zdrowiu uznane jest też zniechęcanie pacjentów do korzystania z leczenia zgodnego z „aktualną wiedzą medyczną".

Nowelizacja naruszając konstytucyjną zasadę pewności prawa, stosując nieostre terminy „pseudomedycyna" i „aktualna wiedza medyczna", gwałci prawo wolności słowa oraz drastycznie ogranicza prawo wolności gospodarczej i staje się pałką na cały sektor medycyny alternatywnej, holistycznej, ziołolecznictwa czy naturoterapii. Krótko mówiąc: Big Pharma rządzi! ©℗

eprasa.pl 72fac7a599

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Jastrzębowski niepotrzebny!



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

No dobra, przyznam się. Stop. Czasem próbuję tu państwa mimo wszystko nieco rozbawić, rozśmieszyć, zderzyć fakty, wydarzenia, wypowiedzi i opinie w taki sposób, żeby wywołać na państwa twarzach uśmiech w tych mało ciekawych czasach. Stop. Ale kiedy słyszę, że premier naszego rządu Donald Tusk mówi serio i publicznie, że on zbuduje statek kosmiczny, a jak wiemy, potrafi obierać ziemniaki, to przecież ja przestaję być potrzebny! Stop. No luuudzie. Jak żyć i z czego?

Po ponad miesiącu od wybuchu afery z 29-letnim cwaniaczkiem Dawidem Kacprzykiem z Koalicji Obywatelskiej, który wysysał pieniądze z Warszawskiego Szpitala Południowego sprawnie (do czego się w zasadzie przyznał, dokonując korekty faktur na pół miliona), opinia publiczna była bardzo zainteresowana, czy Dawid Kacprzyk został przesłuchany. Stop. Jak podejrzewam, w związku z unikalną a personalną wiedzą pana Dawida, kto u niego z Koalicji bywał na SOR i czy bardzo był np. pod wpływem, więc w związku z tą wiedzą pytanie, czy został przesłuchany może być aktualne jeszcze przez rok, a kto wie, czy nie dłużej. Stop.

Bo bym zapomniał, na temat afer w służbie zdrowia wypowiedział się premier Tusk i powiedział, że jak słyszy, że ktoś z jego partii wykorzystuje swoją pozycję w państwowej służbie zdrowia, to jego bierze i mdli. Stop. Jak go już zemdli, to nie wyciąga żadnych konsekwencji wobec tych, którzy wepchnęli się na badania bez kolejki, jak np. Małgorzata Pępek. Stop. Mdłości…

W PiS stabilnie. Stop. Chyba się podzielą, ale jeszcze tak na pewno, to nie wiadomo. Stop. Jeśli ktoś nie widział pierwszych odcinków serialu – to streszczamy. Stop. Mateusz Morawiecki założył stowarzyszenie wewnątrz partii i to nie spodobało się Jarosławowi Kaczyńskiemu. Stop. Doszło do gróźb rozłamu, więc panowie spotkali się u Adama Bielana na kolacji. Stop. Konkluzja po jedzeniu była taka, że no, tego i owego, trudno, można się stowarzyszać, choć to bolesne. Stop. Po pewnym czasie Morawiecki oznajmił jednak skrytobójczo, że robi ze stowarzyszeniem grilla i tego było za wiele. Stop. Jarosław Kaczyński oświadczył, że jak grill, to koniec ze stowarzyszeniami i każdy członek PiS ma ze stowarzyszenia wyjść albo z PiS wyleci. Stop. Sezon na masowe podtrucia uważam za otwarty. Stop. ©℗

eprasa.pl 72fac7a599

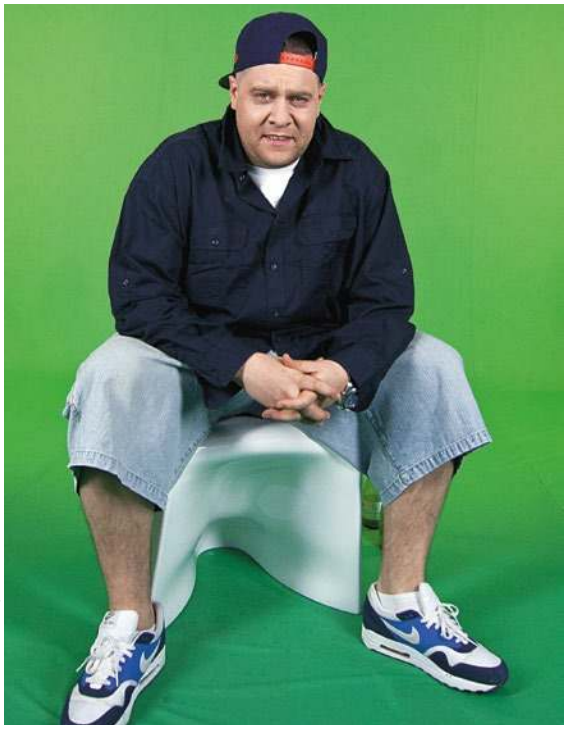


ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

BAN NA TEDEGO

Władza idzie po swoich. Na razie po „swoich" muzyków. Raper Tede, znany z niechęci do poprzedniej władzy i ujmując rzecz ogólnie – prawicy – opowiedział zastanawiającą historię. – Muszę powiedzieć rzecz niepokojącą dla mnie. Powiem to bez szczegółów, ale jestem zaniepokojony i zupełnie poważnie to mówię – oznajmił w Kanale Zero, z którym współpracuje. Raper nawiązał do ujawnienia przez medium Krzysztofa Stanowskiego nieprawidłowości w Szpitalu Południowym w Warszawie. Jak stwierdził Jacek Graniecki, afera ta „dotknęła go bezpośrednio". – Jestem tym zdumiony, żeby nie powiedzieć wku....ny – nie krył oburzenia. – Gram teraz dużo koncertów, praktycznie każdy weekend zajęty. I wyobraź sobie, że jest jedno miasto [...], gdzie mam grać koncert i okazuje się, że zaczęto robić pod górkę. I zaczęli to robić lokalni działacze Koalicji Obywatelskiej, ponieważ ja jestem z Kanału Zero – ujawnił Tede. – Rozumiesz, że już to tak połączyli, że chcą mi koncert katapultować, bo ja jestem Kanał Zero? Byłeś na moim koncercie, coś tam słyszałeś i tam nie ma żadnych treści okołopolitycznych. Jestem zaniepokojony i mam nadzieję, że państwo się zreflektują – zwrócił się do współprowadzącego, Tomasza Kammela. Pan Tede w przeszłości stwierdził np., że „wyborcy PiS-u są odwzorowaniem polityków tej partii, którzy w porównaniu do osób z koalicji rządzącej wyglądają na zwykłych nieudaczników". Jak widać, nikt nie jest bezpieczny.



FOT. KRYSTIAN DOBLUSZYNSKI/REPORTER

Z WYSOKOŚCI

Może nie nikt, Kuba Wojewódzki jest. Wciąż poprawny politycznie, wciąż z nieuzasadnionym poczuciem wyższości. Ale od początku. Niezwykle popularny youtuber Książulo, znany z testowania restauracji, sprawdził odwiedzany chętnie przez warszawskich celebrytów lokal Flaming & Co. Wskazał, że ceny w restauracji okazały się wyjątkowo wysokie, a do rachunku doliczono opłatę serwisową. W sumie Książulo zapłacił za posiłek aż 1951 zł. Kanapka w restauracji kosztowała 91 zł, burger 89 zł, a tatar 99 zł. Makaron z sosem pomidorowym to przyjemność za 120 zł. Najtańszym zakupem była sałatka Cezar za „jedyne" 85 zł. – Zastanawiam się, kto tu je w ogóle [...]. To jest po prostu chyba takie miejsce, które ma być drogie. Byłbym w stanie przyjść tu czasami na obiad [...], ale chciałbym, żeby za tą ceną szło coś wyjątkowego, a tutaj na tych talerzach tego nie ma. Jest tu po prostu drogo i smakuje to tak, jak wszędzie, a czasami gorzej – komentował influencer w swojej relacji z wizyty w lokalu. Recenzja youtubera wywołała reakcję Kuby Wojewódzkiego. Showman jest współwłaścicielem jednego z lokali gastronomicznych w Gdyni i prawdopodobnie ma się za eksperta. Do materiału Książula odniósł się na łamach „Polityki". „Książulo bezkompromisowo ocenił stołeczny lokal Flaming & Co. Panie Książu. Niektóre lokale mają ceny i dania obliczone na jeden cel. Żeby nie jadać w towarzystwie takich jak pan" – skomentował złośliwie. Wpis spotkał się z ostrą reakcją części internautów, którzy zarzucają „najstarszemu nastolatkowi w Polsce" arogancję i snobizm. „Wojewódzki to jest jakiś wyższy poziom odklejenia", „wybitne chamstwo i arogancja", „niezła odklejka Wojewódzkiego" – czytamy. Luźna propozycja – niech Wojewódzki ogłasza, gdzie się stołuje, żeby przypadkiem na niego nie trafić. Aby nie jadać w towarzystwie takich, jak on.

ŁZY OCIERANE DOLARAMI

Kto bogatemu zabroni wypłakiwać się publicznie, bo zamiast zarabiać krocie w Europie, będzie zarabiać krocie w USA? Nikt. Robert Lewandowski dołączy do amerykańskiego klubu Chicago Fire. Wyprowadzka z Barcelony do USA to niemałe wyzwanie dla jego rodziny – żony i dwóch córek. „Robert ma polecieć do USA już w połowie lipca. W tej podróży towarzyszyć będzie mu jego menedżer i bliski przyjaciel, Tomasz Zawiślak. Ania z córkami, Klarą i Laurą, dołączy do męża dopiero miesiąc później – w połowie sierpnia lub nawet pod koniec wakacji. Na początku Robert chce się maksymalnie skupić na znalezieniu nowego lokum dla rodziny" – informuje portal Pudelek. Lewandowska nie kryje, że wyjazd z Hiszpanii to ogromna zmiana. „Choć powinnam pisać o ekscytacji, to dziś chcę Wam powiedzieć jedno: cholernie się boję" – napisała na Instagramie. „Ostatnie tygodnie to dla mnie rollercoaster skrajnych emocji. Barcelona stała się moim domem. Moim bezpiecznym miejscem, które pokochałam całym sercem. Myśl o tym, że znowu muszę się spakować, zostawić to, co zbudowałam, i zacząć trochę od nowa, po prostu mnie przeraża. Jako mama czuję ogromny stres. Martwię się o dziewczynki i ich emocje, o nową szkołę, o to, jak odnajdą się w zupełnie nowym świecie. Kto przechodził tak dużą przeprowadzkę z dziećmi, ten wie, jaki to ciężar psychiczny dla rodzica" – przyznała fitinfluencerka. „Lewa" podkreśliła, że bycie żoną sportowca „to nie tylko blaski, to też trudne, rodzinne kompromisy. „Droga zawodowa Roberta stawia przed nami nowe wyzwanie. Stoję za nim murem i wspieram go z całych sił, bo jesteśmy drużyną. Ale jako kobieta mam prawo czuć lęk. Mam prawo czuć się przytłoczona i dzisiaj nie będę udawać, że jest inaczej" – dodała. ©℗

eprasa.pl 72fac7a599



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, widzieliśmy ostatnio w Internecie, iż gdzieś na Podhalu odbyły się zawody w strzyżeniu owiec na czas. Zanim zdążyliśmy w ogóle się zastanowić, co należy o tym myśleć, weszliśmy w sekcję komentarzy i zderzyliśmy się z empatyczną stroną Julek z pokolenia Z, które nie dość, iż załamywały ręce nad faktem golenia owiec na czas, to jeszcze nawoływały do tego, iżby ogolić górali, którzy brali udział w zawodach, aby zobaczyli, czy to jest takie fajne być golonym na czas i w miejscu publicznym.

My tam specjalistami od hodowli owiec nie jesteśmy, ale współodczuwamy z tym jeszcze młodszym niż my pokoleniem i zastanawiamy się, czy aby na pewno golenie osobozwierząt do zera jest tym, co powinno mieć miejsce w Europie w XXI w. Przecież na pewno dałoby się załatwić to w sposób bardziej cywilizowany, a nie tak przedmiotowo i na czas.

W ogóle to mamy pomysł na biznes dla Julek: skoro istnieją salony piękności dla psieci, to nic prostszego jak otworzyć na Podhalu podobne salony dla osób owczych. Jak widać – istnieje zapotrzebowanie, a skoro tak, to wystarczy przeprowadzić jakąś kampanię edukacyjną na Instagramie i zachęcać górali, aby przyprowadzali owcoosoby do groomerów, gdzie spokojnie, przy korytku zostałyby one uczesane i ostrzyżone, ale nie do zera jak teraz, ale z jakimś modnym fade'm, podcieniowaniem, może z grzywką pomalowaną na fioletowo, kto wie.

Widzimy of kors ryzyko, iż prowadzenie takiego biznesu spotkałoby się na początkowym etapie z niechęcią, może nawet wrogością, ale jednak w imię walki o równe traktowanie osób owczych warto byłoby podjąć taką inicjatywę. Zwłaszcza iż równolegle prowadzone są już przez administrację rządową inne projekty przywracające godność osobom zwierzęcym.



A o czym mowa? Otósh jakiś czas temu już na fejsbuku widzieliśmy posty ministerstwa środowiska, iż czas odkłamać fałszywy wizerunek osobowilków w języku i przestać używać takich przysłów jak „człowiek człowiekowi wilkiem" czy „wilczy apetyt", iż jest to negatywne stygmatyzowanie. Od siebie dodamy, iż szczególnie nas drażni powiedzenie „nosił wilk razy kilka" – iż sugeruje możliwość wykorzystywania osób wilczych do prac fizycznych bez odpowiedniego zabezpieczenia socjalnego, szkoleń BHP i dostosowania stanowiska pracy do specyfiki osób czworonożnych. Aż dziw, że ministerstwo akurat tego nie poruszyło.

Wzruszyliśmy się kochani na tę kampanię, szczególnie dlatego, iż już lata temu apelowaliśmy, aby przestać używać metafor związanych z osobami zwierzęcymi do ilustrowania relacji międzyludzkich albo w ogóle zaprzestać stosowania tych ludowych mądrości typu „ktoś z kimś drze koty", iż darcie kotów jako starodawna podkarpacka metoda rozwiązywania sporów już dawno powinna zostać zapomniana.

Mamy nadzieję, iż ministerstwo pójdzie teraz dalej i po odkłamaniu wizerunku wilka zajmie się kolejnymi przypadkami instrumentalnego wykorzystywania osób zwierzęcych w języku. Zwłaszcza w odniesieniu do psieci, których rola społeczna znacząco się zmienia, tak iż powiedzenie „pieskie życie" nie oznacza już niczego przykrego, a bycie buldożkiem francuskim wychowywanym przez parę millenialsów na strzeżonym osiedlu i jedzenie trzy razy dziennie kraftowej wegańskiej karmy, posiadanie własnego behawiorysty, fizjoterapeuty i profilu na Instagramie – a więc życie lepsze niż w przypadku 97 proc. mieszkańców wschodniej Europy xD. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Kolacja pojednawcza

Przemku, to co teraz? Przechodzimy do etapu trzeciego?

Myślę, Jarku, że już możemy. Czyli tak: ty mnie za moją wypowiedź o finansowaniu Ukrainy zdyscyplinowałeś, a ja teraz...

A ty teraz wystąpisz, że bardzo mnie szanujesz...

... chyba wiesz, jak bardzo i szczerze?

Dobrze, zostawmy to teraz. Więc: że mnie szanujesz, ale nie możesz się zgodzić, bo Polska jest ważniejsza niż Ukraina.

A jak to zakończymy?

Zrobimy przeciek z kolacji pojednawczej u Bielana.

To ja przyniosę winko. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Na Szucha, gdzie była siedziba gestapo, dziś polscy faszyści walczą z prawem i praworządnością".

TOMASZ LIS, *publicysta, na platformie X*

eprasa.pl 72fac7a599



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj panowie g

A więc wojna. Znaczy rozłam. Znaczy odejście. Nasze wiewiórki z PiS przekonane są, że Morawiecki na 100 proc. wychodzi z partii i zakłada własną, na bazie STROP (Stowarzyszenie Rozwój Plus). Tak zinterpretowano słowa Morawieckiego o tym, że nie podporządkuje się zakazowi tworzenia stowarzyszeń wewnątrz PiS.

Szacuje się tu i ówdzie na Nowogrodzkiej, że Morawiecki i jego STROP mogą osiągnąć jakieś 5–6 proc. poparcia. Czy tyle dokładnie straci PiS? A to zależy od tego, czy nie wrócą do PiS ci wyborcy, którzy mieli dość Morawy i poszli sobie precz gdzie indziej. Miał ich niby przyciągnąć Czarnek. To się jeszcze zobaczy.

Oczywiście w PiS panuje przekonanie, że na razie to za Morawieckim z partii wyjdzie niewielu, bo się boją. Podzielamy to przekonanie. Prawdopodobnie wstrzymają się do chwili, kiedy uzyskają poselskie mandaty. I wtedy sobie pójdą. Cóż, to założenie ma dwa słabe punkty. Pierwszy: że STROP na pewno wejdzie do Sejmu. Drugi: że szeregowy poseł naczelnik da im miejsca biorące na listach wyborczych.

Gdy szeregowy poseł naczelnik zakazał stowarzyszeń w PiS, natychmiast Marek Suski ogłosił, że nie będzie rejestrował swojego. Tego przeznaczonego dla zakonu PC. Pozostajemy nieutuleni w żalu. Nie mogliśmy się doczekać kongresu inauguracyjnego i transparentów: „PC zawsze z PiS!", „Zakon działa, zakon radzi, zakon nigdy cię nie zdradzi!", „Góra z górą się nie zejdzie, ale Partia z Partią?".

Wyjątkowo krótkie istnienie stowarzyszenia widmo Suskiego i tak obfitowało w wydarzenia humorystyczne. Jednym z nich był fakt, że swój akces zgłosiła do niego była marszałek Sejmu Elżbieta Witek. Problem w tym, że nigdy nie była ona w PC. Co więcej, była swego czasu w ROAD-zie. Dla młodszych – ROAD (Ruch Obywatelski Akcja Demokratyczna) to była partia, która powstała z oburzenia na fakt, że Kaczyńscy zakładają Porozumienie Centrum. Jej dobrymi duszkami byli Adam Michnik, Jan Lityński czy Barbara Labuda.

Nas oczywiście bardzo martwi fakt, że nie będzie już stowarzyszeń w PiS. Czujemy się oszukani, liczyliśmy na więcej. Po cichu nawet na to, że jak już tych stowarzyszeń o różnej zawartości PiS w PiS będzie, powiedzmy, kilkanaście, to

eprasa.pl 72fac7a599

przyjdzie czas na zorganizowanie wielkiego kongresu zjednoczeniowego. Niestety, wiele wskazuje na to, że wielkiego zjednoczenia PiS z PiS nie będzie. A nawet wręcz przeciwnie.

Śmiało patrzymy w przyszłość. Zbliża się 15 sierpnia, a więc na biuro Karola Tadeusza trafiły propozycje nominacji generalskich zarówno w wojsku, jak i służbach. Nad wojskiem prezydent się jeszcze zastanawia, natomiast sprawa nominacji w SWW, ABW i w AW wydaje się być przesądzona. Prezydent co prawda z życzliwością przyjął fakt, że nie przedstawiono mu do awansu nikogo z SKW, jednak uznał, że to zbyt mało i w służbach nominacji nie będzie.

Wracając do polityki partyjnej. Głupia sprawa z tym paktem senackim. Wiewiórki od miesięcy tajemniczo opowiadały, że trwają poważne rozmowy i zaawansowane negocjacje. I że nic nie mogą zdradzić dla dobra kraju i przyszłości. Okazało się, że PiS zawiera pakt senacki z Bezpartyjnymi Samorządowcami Marka Wocha. Szczerze mówiąc, jest to wydarzenie tak emocjonujące jak, no nie wiemy… szukamy porównania… jak zawarcie sojuszu z Bezpartyjnymi Samorządowcami Marka Wocha. Ostatnio byliśmy tak mocno podekscytowani, kiedy kupowaliśmy w sklepie kefir, ale bez laktozy. Co za emocje!

To, co najważniejsze: mundial. Chcieliśmy odnotować, że w finale tegorocznych mistrzostw świata zmierzyły się dwie drużyny z krajów katolickich: Argentyny i Hiszpanii. W każdym razie nominalnie katolickich. Sądząc bowiem po decyzjach w sprawie pomocy w pacyfikowaniu Iranu, o co prosił dobry Donald z Waszyngtonu, Hiszpania jest już funkcjonalnie krajem islamskim.

Druga najważniejsza rzecz po mundialu – wakacje. W Brukseli w europarlamencie miało miejsce unikatowe posiedzenie komisji spraw zagranicznych. Otóż liczy ona sobie 80 delegatów i 80 ich zastępców. W sumie 160 osób. Na posiedzeniu w miniony wtorek zameldowało się osób… pięć, słownie: pięć. Z tych pięciu dwie to Polacy. Zawsze powtarzaliśmy, że Polacy są najbardziej pracowici w Europie.

Àpropos wakacji. Europosłowie PiS wybierają się z tygodniową misją na Tajwan. W związku z wysoką atrakcyjnością wyprawy wystosowali pytanie do strony tajwańskiej, czy mogą zabrać ze sobą żony. Strona tajwańska odparła, że oczywiście. Jeśli sobie za nie sami zapłacą. Odnotowujemy tę odpowiedź jako akt ohydnego antypolonizmu.

Donald się wściekł. Oczywiście wściekał się w ostatnich tygodniach po wielekroć, ale wściekł się także na Rafcia Trzaskowskiego, który wbrew zaleceniom partyjnej centrali zdymisjonował dwoje swoich zastępców. Mimo że wyraźnie było powiedziane: „Ani kroku w tył", „No pasaran!" oraz „No PiSaran!". Czekamy teraz, aż CBA zacznie w rewanżu chadzać także po warszawskich urzędnikach. Nie po szpitalach, nie, raczej po ratuszu.

W związku z ogłoszeniem przez Europejską Agencję Kosmiczną, że jedno z jej centrów technologicznych powstanie w Polsce, zły Donald z Sopotu ogłosił, że zbudowany zostanie pierwszy w pełni polski statek kosmiczny. Wielu powątpiewa, my nie mamy wątpliwości, że tak będzie. W całej Polsce dzieci i młodzież będą oglądały ten statek przez teleskopy z Astro-Baz, które od 2011 r. budowała w całej Polsce Platforma. W ramach programu „astronomicznych Orlików" w każdej gminie. Nie budowała? Niemożliwe, przecież premier obiecał.

Zaglądamy do naszego umiłowanego grodu Kraka. Otóż niejaki Stanisław Kracik, który na czas do wyborów nowego włodarza miasta zarządza grodem, lubi prezentować się jako sprawny menedżer. Mamy co do tego wątpliwości, zważywszy, że szpital psychiatryczny, którym zarządzał, w czasie jego prezesury trzykrotnie zwiększył zadłużenie.

Àpropos tymczasowego włodarza krakowskiego – 800 zł. Tyle kosztowała tabliczka, którą komisarz Kracik kazał sobie przybić na drzwiach gabinetu w krakowskim ratuszu. Dodajemy, tabliczka z napisem „prezydent", a nie „komisarz". Kracik uważa się bowiem za pełnoprawnego włodarza miasta, czemu dał wyraz na posiedzeniu rady miejskiej, każąc się tytułować prezydentem. Dodajmy, że Kracik na włodarza miasta został wybrany jednogłośnie. Czyli jednym głosem Donalda Tuska.

Zasadniczo to Kracik powinien się wyprowadzić z gabinetu prezydenta Krakowa w okolicach 22 sierpnia. Już teraz jednak wiadomo, że będzie tam znacznie dłużej. Problem polega na tym, że jedna z krakowskich kancelarii prawniczych przeforsowała opinię prawną, iż nie można ogłosić wyborów, zanim nie zostaną rozpatrzone protesty referendalne. A sądy w Polsce nierychliwe. Dziwnym trafem jest to kancelaria, w której prym wiedzie córka pewnego byłego ministra sprawiedliwości zwanego kostropatym. Jak tak dalej pójdzie, to wybory włodarza miasta mogą się odbyć w ustawowym terminie. Czyli circa za półtora roku, kiedy kończyłaby się kadencja Miszalskiego. Złe języki mówią, że do tego czasu mają być domknięte wszystkie trefne deale.

Jednego dealu raczej nie da się jednak dokończyć. Otóż po plotce, że szykowane jest połączenie krakowskiego szpitala wojskowego z miejskim szpitalem Narutowicza, sprawie zaczęli przyglądać się aktywiści i doszli do tych samych wniosków co my: że było to szykowanie synekury dyrektora połączonych placówek dla Władysława Kosiniaka-Kamasza, kiedy już zwolni stanowisko ministra wojny. Uświadomiono sobie jednak, że trzeba byłoby to przeprowadzić w drodze ustawy. A tutaj ostatnie słowo ma Karol Tadeusz. Proponujemy w tej sytuacji nie łączyć placówek. Zamiast tego dyrekcję jednej można powierzyć Kosiniakowi, a drugiej Kamaszowi.

Gościem honorowym konferencji o wdzięcznym temacie Kompleksowa Gospodarka Odpadami ma być generał Mieczysław Bieniek. Wiemy, że generał ma szczególny sentyment do opakowań szklanych i tę samą przypadłość co gen. Świerczewski. Przypomnijmy: dekadę temu wykręcił za kółkiem prawie półtora promila. Jest to wynik, którego mógłby pozazdrościć sam gen. Denaturow, któremu Putin kazał kiedyś wypowiedzieć słowo – Gibraltar. Odpowiedź brzmiała: piłem. ©℗

eprasa.pl 72fac7a599

NAJWIĘKSZY W EUROPIE POMNIK MATKI BOSKIEJ

Mający ponad 55 m wysokości Pomnik Matki Boskiej w Konotopiu, niedaleko Torunia (województwo kujawsko-pomorskie), jest już na ukończeniu. Oficjalne otwarcie zaplanowano na 15 sierpnia – w święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Wówczas monument zostanie poświęcony. Już teraz nietypowa atrakcja przyciąga jednak wielu turystów i pielgrzymów.

Pomnik zaprojektowano bowiem tak, aby był wyższy zarówno od słynnego Pomnika Chrystusa Odkupiciela w Rio de Janeiro, jak i Chrystusa Króla w Świebodzinie. Fundatorami największej figury maryjnej w Europie są miliarder Roman Karkosik i jego żona Grażyna.

Monument budowany w pobliżu sanktuarium Matki Boskiej Bolesnej jest zaś formą wotum wdzięczności. Po ukończeniu budowy wyższy monument poświęcony Najświętszej Maryi Pannie (noszący nazwę Matka Wszystkich Azji – Wieża Pokoju) istnieć będzie na świecie już tylko w Montemaria na Filipinach. Mierząca aż 98 m wysokości konstrukcja z betonu i stali pełni też funkcję użytkową i mieści m.in. kaplice, sanktuarium oraz sale konferencyjne. ***(jap)*** © ℗

FOT. PIOTR LAMPKOWSKI/SUPER EXPRESS/EAST NEWS


WYSOWA
MOSTY



Z Grzegorzem Braunem, prezesem Konfederacji Korony Polskiej, posłem do Parlamentu Europejskiego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Biesy polskie

eprasa.pl 72fac7a599



FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

RYSZARD GROMADZKI: Pana nowa książka „Polskie biesy" dotyczy XVIII stulecia. Czy jest to studium zdrady, kolaboracji i zaprzaństwa, z czym zawsze kojarzy się XVIII w., czas upadku I Rzeczypospolitej, czy raczej do jej właściwego odczytania należy użyć innego, metafizycznego klucza?

GRZEGORZ BRAUN: To będzie pierwsza pozycja z cyklu zakrojonego na kilka następnych. Ta pierwsza część ma podtytuł „Wrogie przejęcie i zbrodnie założycielskie". Jest tam mowa, ma się rozumieć, o tym wszystkim, o czym wie, „każdy Polak mały" od przedszkola patriotycznego, oczywiście także o tym, o czym pan wspomniał, czyli o zdradzie i kolaboracji, ale przede wszystkim jest tam mowa o prowokacji. Książka traktuje o tych samych zdarzeniach, które tak dobrze znamy. Każdemu Polakowi w sercu i pamięci jakoś utkwiła epoka rozbiorów, ostatnie sejmy, 3 Maja, kościuszkowskie Racławice no i Finis Poloniae. Wszyscy mamy wdrukowaną matrycę, pewien schemat tego rozdziału polskiej historii, panopticum postaci z tamtej epoki z twórcami Konstytucji 3 maja, Tadeuszem Kościuszką z bardzo dużym i jednoznacznym plusem i Stanisławem Augustem, z równie wielkim i równie jednoznacznym minusem, na doczepkę z targowiczanami, którymi zwłaszcza w ostatnich latach załatwia się większość debaty politycznej. Załatwia się odmownie jakąkolwiek propozycję, bardziej rozumowego niż emocjonalnego odnajdywania się w świecie współczesnej polityki i historii. Ta książka jest gawędą rozpisaną na głosy, co nie jest może jej zaletą, ale konsekwencją pewnej konieczności. To znaczy ogólnego „natłoku nawału", w którym ta książka powstała. Z mojej strony redakcja przeciągnęła się na lata. Po prostu inne zobowiązania, z których staram się wywiązywać, sprawiły, że nie może to być książka „porządna", jak bym sam powiedział, jako patentowany filolog, więc też historyk literatury, który wprowadzony jest w arkana warsztatu naukowo-historycznego. Ta książka, jeśli chodzi o gatunek, ma raczej status gawędy historyczno-literackiej.

Gawędy o prowokacjach, wśród których dogorywała I Rzeczpospolita? Jak w tym ujęciu wypada obraz bohaterów tej ponurej epoki naszych dziejów? Mit twórców Konstytucji 3 maja, Kościuszki, księcia Pepiego się broni? „Czarna legenda" ostatniego króla Stanisława Poniatowskiego czy targowiczan się

eprasa.pl 72fac7a599

potwierdza? Mówimy zresztą o znacznie szerszym spektrum postaci.

No tak. Tylko tyle że to spektrum w patriotycznie poprawnej narracji jest bardzo radykalnie zawężone. Zubożone do tego stopnia, że polski patriota, choć w gruncie rzeczy głęboko przeżywa te sprawy, równie głęboko ich nie pojmuje. Nie rozumie, co wówczas, w XVIII w., właściwie nas trapiło.

Ma pan na myśli przemożny wpływ na bieg zdarzeń bardzo wówczas ekspansywnego wolnomularstwa?

Z całą pewnością wszystkie te zakulisowe mechanizmy, które w odniesieniu do współczesności streszczam w formule „mafie, służby i loże", są niedowartościowane w naszym wykładzie historii od przedszkola, aż do doktoratu czy profesury. To jest pewien schemat, który zabrania szanującemu się uczonemu czy badaczowi podważenie tego, czego wcześniej historycy głównego nurtu nie wprowadzili do kanonu. Każda wzmianka o tych mechanizmach niejawnych, funkcjonujących i sprawczych w naszej historii oczywiście podpada pod dyskredytujące określenie teorii spiskowej. Chociaż, paradoksalnie, literatura tych przedmiotów a więc dziejów masonerii, nie teorii, ale praktyki spiskowej dziejów, działania tajnych służb dyplomatycznych, przenikających się ze służbami szpiegowskimi, wywiadowczymi, agenturą jest dostatecznie obszerna i obfitująca w szczegóły; mam na myśli zarówno literaturę dostępną w języku polskim, jak i w językach europejskich, ale wnioski, czy nawet drobna faktografia z tej literatury, po prostu nie przenikają do patriotycznie poprawnej narracji szkolnej czy nawet akademickiej.

A więc wywraca pan kanon?

Ja oczywiście nie jestem pionierem i nie podaję się za jednego przytomnego w domu wariatów. Jest, chwała Bogu, w polskiej historiografii, wiele bardzo cennych postaci, wybitnych autorów i ciekawych pozycji. Z szacunkiem należy wspominać te rewizje historii, których dokonywali bracia Mackiewiczowie, akurat w odniesieniu do tamtej epoki (upadku I Rzeczypospolitej) w większym stopniu dotyczy to Stanisława niż Józefa. Ale „Zwycięstwo prowokacji" napisane przez Józefa, w odniesieniu do XX w., z całą pewnością jest pożyteczną szkołą historii, którą warto przejść, żeby lepiej rozumieć to, co działo się dwa stulecia wcześniej. Poza Mackiewiczami wskazać na pewno należy Zbyszewskiego i jego „Niemcewicza od przodu i tyłu", oczywiście Kazimierza Mariana Morawskiego i jego „Źródło rozbioru Polski", dalej Jędrzeja Giertycha i „Tragizm dziejów Polski" tegoż autora. We współczesnej historiografii mamy jednak powrót do poczciwej naiwności, recydywę uproszczeń.

Skąd bierze się ten trend do poczciwej naiwności, jak pan to określa?

Przede wszystkim z zapotrzebowania na wykorzystanie tego rodzaju narzędzia w aktualnej rozgrywce. Jest to narzędzie nieskomplikowane, przypominające raczej cep niż chirurgiczny skalpel. I takim cepem, po który sięga dziś scena polityczna, tu od razu zastrzegam, że zasłużenie, jest „czarna legenda" targowiczan. Tylko tyle, że ta „czarna legenda" targowiczan to jest właśnie element szerszej układanki, która staje się całkowicie fałszywa i daje nieprawdziwy obraz historii, jeśli mylnie przyjmiemy, że to tylko targowiczanie są „czarnymi charakterami" tamtej epoki. W swojej książce dzielę się nie tylko spostrzeżeniami, lecz także nawet, powiem nieskromnie, hipotezami badawczymi i ustaleniami. Powołując się na to, czego doczytałem się w literaturze obcej, nieuprzystępnianej i niewprowadzanej do obiegu historycznego. Na przykład doczytałem się w książce brytyjskiej autorki Elizabeth Sparrow, która na przełomie wieków XX i XXI napisała kapitalną monografię o pracy szpiegów brytyjskich w epoce napoleońskiej na kontynencie europejskim. Znalazłem tam rewelacyjne przesłanki, które doprowadziły mnie do postawienia, jak myślę, mocnej tezy, zabójstwa ostatniego króla Polski, Stanisława Augusta, co skądinąd wcześniej pojawiało się już w historiografii, bo opisali to współcześni monarsze, pamiętnikarze. Mam na myśli przypuszczenie graniczące z pewnością, że Stanisław August został otruty.

Otruty?! W obowiązującej wersji nasz nieszczęsny władca dokonał żywota 16 lutego 1798 r., krótko po spożyciu porcji bulionu...

Dokonał żywota w tempie ekspresowym, bo ledwie spożył ten poranny bulionik, jeszcze przed południem stracił przytomność i nie odzyskał jej aż do śmierci w godzinach wieczornych. Ale to, co zawdzięczam brytyjskiej autorce, którą zresztą podejrzewam o jakieś związki z XX-wiecznymi służbami brytyjskimi, to przesłanka do tezy, że zleceniodawcą zabójstwa ostatniego polskiego króla był ówczesny ambasador Zjednoczonego Królestwa w Petersburgu, niejaki Charles Whitworth. Proszę zwrócić uwagę, że źródłowa książka, którą napisała pani Sparrow, oparta jest na tajnej, w niektórych fragmentach szyfrowanej korespondencji brytyjskich agentów. Znamienne, że autorce pozwolono przewertować te archiwa, ni mniej, ni więcej, ale po 200 latach. Sama pani Sparrow nie opisuje udziału brytyjskiego dyplomaty w uśmierceniu ostatniego króla Polski, ona „zaledwie" przedstawia udział Withwortha w spisku na życie cara Pawła I, który miał miejsce parę lat później. Skutecznego spisku.

Jaki interes miałaby Wielka Brytania, żeby pozbyć się z tego świata byłego polskiego króla, bez królestwa, politycznego bankruta?

W literaturze przedmiotu natknąłem się na wzmiankę, że ów Charles Whitworth, który parę lat później doprowadzi do śmierci na zlecenie cara Pawła I, był ostatnim współbiesiadnikiem Stanisława Augusta, spożywając wraz z nim ostatnią kolację w doczesnym życiu naszego ostatniego króla. Ten fakt zainspirował mnie do dalszego podążania tym tropem. Pyta pan, dlaczego takie „życzenie śmierci" miałoby wyjść z Londynu? Pamiętajmy, że już wówczas toczy się wielka gra mocarstw. Geostrategiczna rozgrywka między Londynem a Petersburgiem, której stawką są takie perły w koronie Imperium Brytyjskiego jak Indie. Brytyjczycy w wiekach XVIII i XIX żyli permanentną obawą, że im Rosjanie te Indie odbiorą, że okresowo dająca się we znaki słabość Imperium Brytyjskiego ośmieli Rosjan do tego, żeby sięgnąć po Azję Środkową. I rzeczywiście wydaje się to wysoce prawdopodobne, że car Paweł dążył do odwrócenia sojuszy i porozumienia z Napoleonem. Faktycznie car Paweł wydał rozkazy do marszu na Chiwę, miasto kupiecko-zbójeckie w Azji Środkowej, które „ryglowało" drogę do Indii. Wracając do króla Stasia. Pamiętnikarze, osoby bliskie królowi w ostatnich latach i miesiącach jego życia, a konkretnie jeden z jego paziów zapisał, że po pewnej rozmowie z carem Pawłem, który przecież Stanisława Augusta sprowadził z Grodna do Petersburga i zgotował mu królewskie

eprasa.pl 72fac7a599



GRZEGORZ BRAUN, JAN TATURA „POLSKIE BIESY", T. 1 FRONDA 2026

powitanie, wysyłając na rogatki stolicy swoich dwóch starszych synów Aleksandra i Konstantego po to, żeby eskortować nadzwyczajnego gościa do jednego z pałaców, który oddał mu do dyspozycji. Otóż po jednej z rozmów z carem, jak zanotował paź Stanisława Augusta w opublikowanych kilka dekad później pamiętnikach, niezwykle ożywiony Stanisław miał podzielić się ze swoim otoczeniem szczęśliwą wiadomością, mówiąc, że „za rok o tej porze będziemy z powrotem w Warszawie".

Stanisław August żywił złudzenia co do restytucji Rzeczypospolitej?

To właśnie jest oczywisty motyw do wydania zlecenia śmierci Stanisława Augusta z Londynu. Notabene sądzę, że Withworth nawet nie czekał na komunikację z dworem w Londynie, która wówczas, nawet przy dobrej pogodzie, musiała trwać parę tygodni drogą morską. Myślę, że od momentu, w którym Stanisław August podzielił się z nim jako starym przyjacielem tą szczęśliwą wieścią, być może właśnie przy ostatniej kolacji naszego monarchy, Withworth nie zwlekał z wydaniem rozkazu. Rodzi się pytanie: Dlaczego Brytyjczycy traktowali wizję restytucji środkowoeuropejskiego imperium polskiego pewnie w unii personalnej z domem Romanowów jako zagrożenie? Proszę pamiętać, że patriotycznie poprawna historia również milczy co do tego, że Wielka Brytania jest naszym czwartym zaborcą. Ambasador brytyjski w Warszawie zaraz na początku Sejmu Wielkiego bardzo stanowczo namawia, a właściwie ultymatywnie żąda tzw. cesji Gdańska i Torunia na rzecz Prus. Ta presja wynikała z faktu, że Prusy jako pierwsze i największe na kontynencie państwo protestanckie były etatowym podwykonawcą per procura polityki brytyjskiej w przestrzeni europejskiej.

Kiedy przywołuje pan te mało znane fakty, chciałoby się rzec, strzeż nas Panie przed takimi sojusznikami jak Zjednoczone Królestwo. Ilekroć Brytyjczycy odgrywali jakąś sprawczą rolę w naszej historii, jak w 1939 r., Polska wychodziła na tym fatalnie.

Podzielam ten automatyzm skojarzeń. Na hasło „pakt obronny z Brytyjczykami" ja uciekam z krzykiem i rozglądam się za jakimś schronieniem, bo rozumiem, że przychodzą nas podpalić. Taka właśnie jest wielowiekowa praktyka. W następnej części tych moich „Polskich biesów", która będzie się zaczynała w epoce napoleońskiej, wspomnę z całą pewnością o tym, że Wielka Brytania była naszym przeciwnikiem per procura, np. w bitwie pod Raszynem, która rozegrała się w 1809 r. Dla mnie to było ważne odkrycie, ponieważ bitwa pod Raszynem była tematem powieści Wacława Gąsiorowskiego, jednej z ulubionych książeczek mojego dzieciństwa.

Ta zwycięska bitwa z Austriakami utwierdziła legendę księcia Pepiego...

Tak jest. I na kartach powieści Gąsiorowskiego, i w „Popiołach" Żeromskiego zekranizowanych przez Wajdę z pamiętną sekwencją słynnej „szarży" piechoty na grobli raszyńskiej, kiedy książę Józef bierze karabin od jednego z rannych żołnierzy i sam tę szarżę prowadzi. Kiedy o tej szarży czytałem i oglądałem ją, oczywiście nie miałem świadomości tego szerszego kontekstu. Mówię, że to Brytyjczycy byli naszym przeciwnikiem pod Raszynem, ponieważ to oni sfinansowali tę kampanię wojenną. Austriacy po klęsce pod Austerlitz byli bankrutami. Austria nie miała pieniędzy na wojnę, z kolei Zjednoczone Królestwo nie dysponowało korpusem ekspedycyjnym. Po co Wielkiej Brytanii klęska i zniszczenie Księstwa Warszawskiego? Oczywiście po to, żeby odbudować Królestwo Prus, które Napoleon postawił w stan likwidacji.

Wróćmy do schyłku XVIII w. Przekonuje pan, że obraz tej epoki utrwalony przez „patriotycznie poprawną" historiografię jest niepełny albo wręcz fałszywy. Przejdźmy wobec tego do konkretów. Konstytucja 3 maja to powód do narodowej dumy czy sfalsyfikowany mit ostatniej próby ratowania rozdzieranego przez zaborców państwa polskiego?

W istocie była to nowatorska operacja, przeprowadzona z chirurgiczną precyzją, tylko pacjent zmarł. Wiele zmienia w postrzeganiu tej epoki konstatacja, że z perspektywy Londynu, Berlina czy Paryża, już wówczas rewolucyjnego, to, co działo się nad Wisłą, było po prostu rewolucją. Ta rewolucja odgrywała rolę pożytecznej dywersji na tyłach w działaniach rewolucjonistów nad Sekwaną i w wielkiej grze imperiów, Rosji, Wielkiej Brytanii, a także Francji i Austrii na kontynencie. Cały traktat z Prusami był niczym innym jak prowokacją wojenną. Prusy dostarczały iluzorycznej podstawy do tego spisku konstytucyjnego, bo przecież ich intencją nie było zreformowanie i odnowa Rzeczypospolitej. Prusy po to „wypchnęły na spalony" niebacznych polskich patriotów, żeby przyspieszyć proces demontażu naszego państwa.

Niebacznych polskich patriotów czy świadomych prowokatorów?

Nie uchylam tego pytania, bo sam się nad nim głowię, ale odpowiedź na nie ma wtórne znaczenie. Kluczowe jest to, żebyśmy zobaczyli, że obraz tamtej epoki podlega projekcji wykrzywioną optyką. Ta optyka pozwala dostrzec zło i zdradę Targowicy, ale nie pozwala dostrzec zła, zdrady i prowokacji w wykonaniu przyjaciół Konstytucji 3 maja i tego tzw. obozu patriotycznego. Otóż stawiam bardzo proste pytanie. Z jakiego powodu jeździć do Petersburga, układać się z dworem rosyjskim, antyszambrować i składać hołdy Katarzynie to źle? Czego jako suwerenista, niepodległościowiec i państwowiec ani nie pochwalam, ani nie rekomenduję. Z jakiego powodu to źle, skoro w tym samym czasie bracia Potoccy, nie mogę sobie darować określenia ich, z piekła rodem, Ignacy i Stanisław Kostka, jeżdżą, a nawet tygodniami przesiadują w Berlinie czy potem, w 1793 r., w Londynie, to dlaczego nie podlega to także jednoznacznej ocenie? A co oni tam w Berlinie i Londynie robili? No właśnie, tak samo jak targowiczanie sprzedawali suwerenność na niskie raty. W tym samym czasie „polskie biesy" delegują swoich przedstawicieli do Paryża i najpierw to rewolucyjny Paryż, co również uważam za owocną i frapującą hipotezę, sponsoruje rewolucyjny ruch nad Wisłą. Pamiętajmy, że w istocie to, co my tak ładnie i rocznicowo nazywamy Konstytucją 3 maja, było zamachem stanu. Ten zamach stanu i co do kształtu reform ustrojowych, i co do formy egzekwowania tych reform był przewrotem rewolucyjnym.

Chce pan powiedzieć, że pieniądze od francuskich jakobinów przyczyniły się do uchwalenia Konstytucji 3 maja?

Wpadła mi w ręce stara książka, stanowiąca dobry przykład autocenzury, którą

eprasa.pl 72fac7a599

sobie z uporem godnym lepszej sprawy nakładają także polscy uczeni i badacze. Także ci bardzo poczciwi i patriotycznie zorientowani. To książka księdza Augustina Barruela „Historia jakobinizmu", napisana na początku XIX w. i stosunkowo szybko przetłumaczona również na język polski. W tej książce jest dla mnie bardzo frapująca wzmianka o 60 mln, dyskusyjne jest to, w jakiej walucie, czy przedrewolucyjnych liwrach, czy frankach, cytuję za księdzem Barruelem, „od braci paryskich na interes braci warszawskich". Ten „interes" nie był przecież związany z akcją militarną, mówimy o epoce Sejmu Wielkiego, 3 Maja. Próbuję znaleźć w pejzażu Warszawy tamtej epoki ślad tych wielkich pieniędzy od „braci paryskich" w myśl zasady „follow the money". Na użytek tego fragmentu naszych dziejów buduję bardzo skonkretyzowaną hipotezę. Nie widzę w tamtej epoce innej inwestycji o charakterze zorganizowanym, liczonej w latach systematyczności działania, nie znajduję innej jaczejki rewolucyjnej poza słynną Kuźnicą Kołłątajowską. Używając współczesnej nomenklatury, można by ją określić mianem jakobińskiej farmy trolli w XVIII-wiecznej Warszawie. Była to prawdziwa fabryka broszur, traktatów i paszkwili. Ośrodek wykorzystujący bardzo nowoczesny PR, szczególnie „czarny PR". Propaganda, która bardzo zamaszyście i bezalternatywnie nominowała jednych na monopolistów na patriotyzm, a innych spychała do piekła, może jeszcze nie zdrajców, ale ciemnoty, obskurantyzmu czy sarmatyzmu, wtedy stawiano między tym wszystkim znak równości. Kuźnica Kołłątajowska była więc postępacką farmą trolli. Jest rzeczą fascynującą, że tak pomnikowa postać jak Hugo Kołłątaj, mająca place, ulice i szkoły swojego imienia, portret w jednej z sal sejmowych, pozostaje człowiekiem bez pełnej biografii. Proszę sobie wyobrazić, że on ma biografie tylko fragmentaryczne.

Co kryje biografia Kołłątaja?

Wacław Tokarz jak zabrał się za biografię Kołłątaja, to do tego stopnia się stropił, a może nawet przeraził, że ostatecznie napisał tylko o ostatnich latach Hugona Kołłątaja, raczej oględnie i dość pochlebnie.

Ze względu na masoński trop?

Nie mam co do tego wątpliwości. Większość historyków mających związki z masonerią, i nie jest to gołosłowne oskarżenie, bo za czasów PRL wydziały historii na naszych uniwersytetach, ale w Warszawie także Instytut Badań Literackich, placówka również istotna dla historiografii polskiej, to były takie półoficjalne mateczniki masonerii. Wracając do Kołłątaja, tak jak go poznałem, na miarę wiedzy, w którą wyposaża mnie moja kwerenda badawcza, stwierdzam, że Hugo Kołłątaj nigdy w życiu nie wydał grosza na nieswoje sprawy z własnego portfela. Na pewno nie był to typ filantropa. Kołłątaj był raczej typem zapobiegliwego, pazernego nuworysza, a zdaniem niektórych pamiętnikarzy nawet złodziejem grosza publicznego. Odsyłam tu do pamiętników Antoniego Trębickiego, notabene wcześniej bliskiego współpracownika Kołłątaja w czasach Kuźnicy, a raczej podwykonawcy niższego szczebla.

Tajemnica 60 mln liwrów bądź franków przekazanych przez „braci paryskich na interes braciom warszawskim", o której pisze ksi. Barruel, jest więc wyjaśniona?

Moim zdaniem to naprawdę mocna hipoteza. Nigdzie indziej w pejzażu tamtej Polski nie widać porównywalnej fabryki propagandy, a przecież tego rodzaju działalność musiała rodzić ogromne koszta. Z relacji pamiętnikarzy wiadomo, że Kołłątaj i jego „bracia" należeli do ludzi, którzy potrafili o siebie zadbać. Jeszcze raz zwrócę uwagę na brak równowagi, którą wykazują nasi historycy w optyce tamtej epoki. Stosunkowo często i słusznie można przeczytać o jurgielcie wypłacanym przez ambasadę rosyjską, co jest zapisane w przechwyconych za insurekcji kościuszkowskiej i nawet fragmentarycznie opublikowanych tzw. papierach ambasady rosyjskiej.

Ale przecież swoich jurgielników miały też inne ambasady w ówczesnej Warszawie. Takie były realia tej nieszczęsnej epoki.

Dlatego stawiam proste pytanie: Gdzie są papiery pozostałych ambasad? Z jakich powodów nie szukamy rozwiązań zagadek, z których składa się cała tamta epoka? Z różnych skandalicznych demaskacji i rewizji historii, które czytelnik znajdzie w „Polskich biesach", poza biografią Hugona Kołłątaja radykalnie przenicowaną, będzie też nowy rys do biografii legendarnego szewca Jana Kilińskiego, który patrzy na nas z pomnika na murach Starego Miasta w Warszawie.

I jemu odmawia pan szczerego porywu patriotycznego w kwietniu 1794 r. w czasie wydarzeń insurekcji kościuszkowskiej w Warszawie?

Opierając się przede wszystkim na lekturze pamiętników samego Kilińskiego, definiuję fakty. A fakty są takie, że Jan Kiliński był informatorem ambasadora rosyjskiego, gen. Osipa Igelströma. Żeby było jeszcze śmieszniej i straszniej, on sam o tym pisze i to wcale nie półgębkiem w swoich pamiętnikach. Tylko że legenda patriotyczna przysposobiła sobie Kilińskiego po to, żeby egzaltować i agitować kolejne pokolenia polskich insurgentów od powstania listopadowego aż po powstanie warszawskie. I dlatego, choć pamiętniki Kilińskiego były wiele razy drukowane i wznawiane, nie doczekały się wcześniej takiej realistycznej analizy.

Skoro przywołał pan postać Kilińskiego, to przyjrzyjmy się także bez znieczulenia patriotycznie poprawnej legendzie postaci Naczelnika insurekcji 1794 r., Tadeusza Kościuszki. Postać ze spiżu, która patrzy na nas z dziesiątków pomników w całej Polsce?

To po prostu był kondotier rewolucji światowej. Kościuszko to kluczowa postać dla narracji, która redukuje polski patriotyzm do insurekcjonizmu. Kościuszko do spółki z Kilińskim i Kołłątajem jest wręcz niezastąpiony. Wiedzieli o tym nasi polscy jakobini, ci agenci pruscy, którzy przygotowywali insurekcję kościuszkowską, w sposób bardzo nowoczesny, rozprowadzając po całym kraju obrazki z Kościuszką, po to, żeby uświadomić narodowi, gdzie leży jego szczęście i w kim należy pokładać nadzieję.

Jednocześnie wówczas kolportowano też naprędce opublikowane w Dreźnie dzieło „O ustanowieniu i upadku Konstytucji 3 maja" tych naszych monopolistów na patriotyzm, czyli zbankrutowanych autorów przewrotu 3 maja, Kołłątaja, Potockich, w tej spółce autorskiej był jeszcze Dmochowski. Ten ostatni był tłumaczem Homera, a w czasie insurekcji kościuszkowskiej widziany był wśród tych, którzy dźwigali belki na szubienice dla zdrajców. Wśród których to zdrajców nie wszyscy nimi rzeczywiście byli. Niektórzy byli Bogu ducha winni. Ale wracając do dzieła wydrukowanego w Dreźnie. Był to paszkwil na króla Stanisława Augusta, antytargowicki czarny PR, który w skuteczny sposób zamaskował wtedy tę prusko-brytyjsko-francusko-masońską prowokację.

eprasa.pl 72fac7a599

Konstytucja 3 maja, druga konstytucja na świecie po amerykańskiej, była masońską prowokacją? Kilkanaście pokoleń Polaków wychowało się w jej chwalebnym micie. Ma pan podstawy do tak głębokiej rewizji tego mitu?

Proszę zwrócić uwagę, bo to naprawdę fenomenalne, rokrocznie obchodzimy rocznicę Konstytucji 3 maja, oczywiście ona była na cenzurowanym za czasów PRL. Pamiętam, jak za pierwszej Solidarności, pierwszy raz od 1939 r. z egzaltacją obchodzono otwarcie rocznicę Konstytucji 3 maja. No i ten nimb legendy patriotycznej, który otacza całe to dzieło, a tymczasem książka przeze mnie wspomniana, czyli „O ustanowieniu i obaleniu Konstytucji 3 maja" pozostaje, nie licząc jednego wznowienia w XIX w., niewydana. Nad tym trzeba się zadumać.

Oprócz Rosji, Austrii i Prus zaborcą Polski była również Wielka Brytania. Ale naszych zaborców łącznie było pięciu. Ten piąty zaborca to oczywiście diaspora żydowska

To jedna z centralnych rocznic w kalendarzu celebry patriotyczno-państwowej, a fundamentalne dzieło napisane przez pierwszoplanowych autorów tej konstytucji nie może się doczekać wznowienia, choćby tylko w Bibliotece Narodowej czy Ossolineum z jakimiś przypisami i wstępem naukowym. Otóż było to tak piramidalne szalbierstwo propagandowe, że nie wyglądałoby to dobrze i żaden historyk czy edytor nie chce się za to zabrać. Proszę zauważyć, że epoka oświecenia miała swoje złote czasy, jeśli chodzi o edycje za Stalina, a u nas Bieruta. Jan Kott, a także wówczas młodzi staliniści, Jerzy Ziomek, Maria Janion i inni na wyprzódki opracowywali i oddawali do druku klasykę tamtej epoki. Ale tego jednego dzieła nie wydali. Ani za PRL, ani za post-PRL. A więc po ponad 235 latach byłby najwyższy czas, żeby dokonać rewizji tej historii. Na dobry początek chociażby krytycznie opracować „O uchwaleniu i obaleniu Konstytucji 3 maja" Kołłątaja et consortes.

Czy przekleństwem Polski nie jest to, że od XVIII w. zmieniają się tylko dekoracje historyczne i obsady personalne, ale mechanizmy pozostają takie same? Nie jesteśmy w stanie wyjść z klinczu zdrady, zaprzaństwa i prywaty tuczonej dobrem publicznym.

Właśnie mając takie najgłębsze przeświadczenie, zabrałem się za spisywanie tych moich fragmentarycznych ustaleń, spostrzeżeń i hipotez. Właśnie dlatego, że tak jak pan redaktor to stwierdza, odczuwam jako bardzo przejmujące, i to przejmujące nawet dreszczem grozy te analogie, które się nasuwają. Powiedziałem, że Polska miała czwartego zaborcę. Poza Rosją, Austrią i Prusami Wielką Brytanię. Ale naszych zaborców łącznie było pięciu. Ten piąty zaborca to oczywiście anonimowe mocarstwo, czyli diaspora żydowska, wówczas jeszcze niedysponująca takim narzędziem działania, jak własne państwo w Palestynie. Chociaż już wtedy, niektórzy by się zdziwili, koncepcje reaktywacji państwa żydowskiego w Palestynie były bardzo skonkretyzowane. Przecież to w tamtych latach działał rabin Szneur Zalman, założyciel sekty Chabad Lubawicz. Diaspora żydowska jest jednym z wykonawców wyroku wydanego na Rzeczpospolitą.

Ówczesna Polska upada m.in. dlatego, że Polacy nie wzięli sobie do serca życzliwych przestróg, które kierował do nas papież Benedykt XIV w swojej specjalnie adresowanej do Polaków encyklice „A quo primum" z 1751 r. Papież w sposób bardzo grzeczny, oględny, aż do naiwności elegancki zwraca Polakom uwagę, że tracą kontrolę nad własnym państwem i terytorium. Jakże znamienny jest fakt, że wtedy na scenę dziejową wstępuje Jakub Frank, człowiek, którego postać jest w naszych czasach, można powiedzieć, wtórnie zmistyfikowana przez noblistkę Olgę Tokarczuk. Jest ważnym faktem historycznym, że to właśnie kolejne pokolenia frankistów należą do ścisłych gremiów inicjujących i realizujących kolejne przewroty rewolucyjne w dziejach Polski, które my nauczyliśmy się nazywać powstaniami. Polscy patrioci są tak wychowani. I ja do nich należę, z mojego pochodzenia i wychowania. Przynależę do tych, którzy do legendy polskich powstań podchodzili od dziecka bardzo długo zupełnie bezkrytycznie, za to bardzo emocjonalnie, wręcz ekstatycznie. Ten stan nie pozwala nam dostrzec aktywności biesów, które się mocno krzątają, czy to wchodząc do polskiego stanu szlacheckiego, poprzez dyskusyjnej szczerości konwersje frankistów. Zadziałał mechanizm, według którego konwersja na katolicyzm skutkowała formalnoprawnie nabyciem pełni praw politycznych Rzeczypospolitej Polskiej. A ponieważ towarzyszył temu proces przybierania polsko brzmiących nazwisk, w kolejnych pokoleniach my już tych ludzi nie widzimy. A oni są. Wtedy, kiedy uchwala się Konstytucję 3 maja, wtedy, kiedy rozpętuje się kolejne powstania. To jest jeden z wątków, na który zwracam uwagę w swojej książce. Zadajmy pytanie: Kto na tym wszystkim zyskał? W Warszawie po rzezi Pragi przez wojska Suworowa w 1794 r. właścicielem wielkich nieruchomości na prawym brzegu Wisły stał się Szmul Zbytkower, jeden z lichwiarzy nadwornych Stanisława Augusta, który już wtedy Warszawę opuszcza i trafia do Grodna na wygnanie. Szmul Zbytkower tymczasem nie płacze ani po Rzeczypospolitej, ani po królu. Robi interes z królem pruskim, od którego nabywa to, co do niedawna jeszcze nazywano Szmulowizną lub Szmulkami. Jego wielkie nabytki stanowił rejon współczesnego Targówka.

Podążajmy za pieniędzmi. To pozwala odkryć ukryte bądź nieznane karty historii...

Właściwie można by moją książkę, moją gawędę, zdefiniować też jako swoisty remanent historyczny, którego efektem jest lista wakatów autorskich i braków bibliotecznych. Otóż nie ma w polskiej historiografii chociażby tak niezbędnych dla zrozumienia procesu dziejowego książek, jak np. „Wymiar finansowy rozbiorów Rzeczypospolitej" albo „Kto zyskał, a kto stracił na upadku I Rzeczypospolitej". Jest książka Wiktora Kornatowskiego „Kryzys bankowy w Polsce w 1793 roku", ale proszę sobie wyobrazić, że pierwsze i jedyne wydanie miała ona krótko przed drugą wojną światową i od tamtej pory ograniczona liczba egzemplarzy jest do znalezienia w zakamarkach akademickich bibliotek. To wymowne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 72fac7a599



Jan Fiedorczuk

Od wyborów prezydenckich Prawo i Sprawiedliwość napina muskuły, zwracając się głównie do prawicowego elektoratu. Realne działania tej formacji z ostatnich miesięcy podważają jednak wiarygodność buńczucznych deklaracji tej partii. Ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego jest bowiem tak długo prawicowe, jak długo tejże prawicowości nie musi potwierdzać czynami



Prezes PiS Jarosław Kaczyński oraz jeden z wiceprezesów partii Przemysław Czarnek FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP

PiS mocny w gębie

W dwa lata – między wyborami parlamentarnymi w 2023 r. a prezydenckimi w 2025 r. – elektorat PiS skurczył się o niemal 2 mln wyborców. Karol Nawrocki ostatecznie wygrał wyścig o prezydenturę, ale dzięki zwolennikom Sławomira Mentzena oraz Grzegorza Brauna, a nie PiS-owskiej „bazie". Co więcej, wbrew przewidywaniom niektórych ekspertów Konfederacja oraz Korona wyraźnie umocniły się na polskiej scenie politycznej, wprost rzucając wyzwanie Jarosławowi Kaczyńskiemu. Paradoksalnie PiS od zwycięskich wyborów prezydenckich znajduje się zatem w defensywie, desperacko próbując zatrzymać przy sobie wyborców. Aby odeprzeć konserwatywną konkurencję, partia próbuje przywdziać prawicowy kostium. Problem w tym, że realne działania tej formacji w ostatnich miesiącach przeczą gromkim deklaracjom o konserwatywnym zwrocie.

POSZUKIWANIE KOMPROMISÓW

Prawicowy zwrot – w domyśle odejście od linii Mateusza Morawieckiego – miało uwiarygodnić wysunięcie Przemysława Czarnka jako kandydata PiS na urząd premiera, który miałby objąć w 2027 r. Rzecz w tym, że „skrajnie prawicowy" wizerunek byłego ministra edukacji ma wymiar głównie medialny. Najmocniej widać to na przykładzie tematu migracji.

Kilka tygodni temu Czarnek całkiem otwarcie opowiedział się za otwarciem granic dla przybyszów z odległych państw. „Jeśli ktoś chce pracować w Polsce albo studiować w Polsce, to my się z tego cieszymy" – przekonywał w Kanale Zero. Jak podkreślił, „legalna migracja zależy od tego, ile jest miejsc pracy do zagospodarowania w Polsce", czyli – mówiąc wprost – rynek, a nie obywatele, powinien być głównym weryfikatorem polskiej polityki migracyjnej. „Rządzący nie przyjmą żadnych nielegalnych migrantów, żadnej relokacji przymusowej, natomiast przedsiębiorcy w Polsce decydują o tym, ile potrzebują rąk do pracy i my im tego utrudniać nie będziemy" – stwierdził kandydat PiS na premiera.

Tak więc, mówiąc w skrócie, masowa migracja jest zła, gdy chce ją forsować Komisja Europejska, ale gdy to samo robi rynek, to już nie ma problemu. Szkopuł w tym, że to, kto otwiera granice, jest drugorzędne względem tego, że granice są przekraczane. Istotą zagadnienia jest sama masowość migracji, a nie to, w jaki sposób przybysze dostali się do kraju. Kwestia legalności, tego czy są dla zarobków, czy dostali się mocą decyzji KE – to wszystko jest drugorzędne w stosunku do faktu, że w ogóle znaleźli się w kraju. I oczywiście nie jest możliwe szczelne zamknięcie państwa, można jednak rozsądnie zarządzać tym, kto do Polski przybywa, a kto takiej możliwości nie otrzyma.

Sprawa nie dotyczy deklaracji i wypowiedzi medialnych, ale realnych poczynań. W latach 2015–2023, gdy PiS sprawował całkowitą władzę nad krajem, granice państwa polskiego były szeroko otwarte dla milionów migrantów. Partia zinstrumentalizowała naturalny strach drzemiący w społeczeństwie dla doraźnych zysków politycznych – budowała wizerunek formacji antyimigranckiej, jednocześnie pompując gospodarcze wskaźniki dzięki taniej sile roboczej sprowadzanej z zagranicy. Gdy z kolei w kwietniu było głosowanie nad poprawką dotyczącą ograniczenia ułatwień w zatrudnianiu cudzoziemców, to właśnie Przemysław Czarnek wstrzymał się od głosu (a razem z nim 146 innych posłów PiS).

Warto też spojrzeć na dane, jak stopniowo rosła liczba zezwoleń na pracę dla cudzoziemców. W 2014 r. było to 40 tys.; na półmetku rządów PiS w 2019 r. – 444 tys.; pod koniec rządów w 2023 r. – 320 tys. Zatem to za rządów PiS doszło do radykalnego zwiększenia liczby migrantów w Polsce.

Z jednej strony zatem PiS stara się pozycjonować jako twarda prawica, prawica „bardziej prawicowa" niż Konfederacja i Braun, ale jednocześnie co jakiś czas na wierzch wypływają kolejne dowody

eprasa.pl 72fac7a599

świadczące o pozorności tegoż ideowego zwrotu.

Nie chodzi jedynie o sprawę migracji. Po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji eugenicznej politycy PiS zaczęli wycofywać się ze swego największego sukcesu na polu wojny kulturowej, obawiając się spadku sondaży. Już po utracie władzy Mateusz Morawiecki, pytany o największy błąd PiS, wskazał na „radykałów", którzy mieli wywierać presję na Trybunał Konstytucyjny, by ten zajął się sprawą aborcji. Jego zdaniem była to „praprzyczyna" porażki PiS. Podobnie zdaje się myśleć sam Kaczyński, który ledwie miesiąc po klęsce wyborczej w rozmowie z „Tygodnikiem Solidarność" stwierdził w kontekście aborcji, że „państwo nie powinno zbyt głęboko ingerować w ludzką prywatność". „To ogromne wyzwanie, ale trzeba przynajmniej spróbować zbudować w sprawach obyczajowych kompromis między myśleniem konserwatywnym a liberalnym" – mówił prezes PiS.

O co chodzi w sprawie aborcji, najbardziej otwarcie wyjaśnił chyba Jacek Sasin rok po odsunięciu od władzy. „Tuż przed wyrokiem w sprawie aborcji w naszych wewnętrznych badaniach dochodziliśmy do absolutnie rekordowego poparcia nawet 47 proc." – wspominał polityk z rozrzewnieniem. Dlatego też część polityków zaczęła szukać jakiegoś eleganckiego sposobu na odklejenie się od wyroku Trybunału Konstytucyjnego. Tobiasz Bocheński np. mówił, że osobiście jest przeciwnikiem aborcji, ale gdyby to od niego zależało, to zdecydowałby się na rozpisanie referendum w sprawie prawa do przerywania ciąży. Zresztą sam Kaczyński jeszcze w 2021 r. stwierdził, że są ogłoszenia w prasie, „które każdy średnio rozgarnięty człowiek rozumie i może sobie taką aborcję za granicą załatwić, taniej lub drożej". To kluczenie polityków PiS, brak chęci wzięcia odpowiedzialności za zmiany w prawie, jest być może rozsądne z punktu widzenia parlamentarnej arytmetyki, ale na pewno nie wpisuje się w „prawicowy zwrot", który ogłasza partia.

Podobnych zaskoczeń dotyczących sfery światopoglądowej było więcej (choć może nie tak spektakularnych jak w przypadku aborcji). Już po utracie władzy politycy PiS poparli np. lewicową definicję gwałtu, forsowaną przez rządzący obóz. Nowelizacja znacząco rozszerzyła dotychczasową definicję gwałtu oraz była ostro krytykowana ze względu na to, że łamie fundamentalną zasadę domniemania niewinności, i to oskarżony o gwałt musi dowodzić swojej niewinności. Andrzej Duda podpisał ustawę.

NIESKUTECZNE PRZEBIERANKI

Być może najbardziej dojmujące jest jednak podejście największej polskiej prawicowej partii do tematu suwerenności. Tematu, którym PiS wymachuje niczym sztandarem i który pojawia się w każdej debacie, w każdej dyskusji z udziałem polityka z partii Jarosława Kaczyńskiego.

Wystarczyło ledwie kilka tygodni odsunięcia od państwowych apanaży, aby politycy PiS zaczęli słać prośby do Brukseli, a następnie – do USA. Jeszcze w grudniu 2023 r. – dosłownie w miesiącu, w którym doszło do przejęcia władzy przez Donalda Tuska – do sieci wyciekło nagranie, na którym politycy PiS otoczyli przebywającą w Sejmie Věrę Jourovą i zaczęli prosić ją o pomoc w „obronie"… PiS-owskiej TVP, którą wówczas rząd próbował – faktycznie, brutalnymi metodami – spacyfikować. Osiem lat pod adresem polityków liberalno-lewicowych padały zarzuty dotyczące zdrady i „targowicy" za donoszenie na polski rząd, ale gdy PiS znalazł się w opozycji, zaczął postępować w podobny sposób. „Mamy prawo, a nawet obowiązek, głośno za granicą mówić, jak deptane są prawa tutaj u nas w Polsce" – podkreślał Mateusz Morawiecki w lutym 2024 r.

Przez ostanie lata PiS wielokrotnie odwoływał się do zagranicznego arbitra, który miałby rozsądzać wewnętrzne spory polskiego państwa. Zapowiadano skargi do Komisji Europejskiej (sprawa Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika), Anna Zalewska chciała organizować debatę w Parlamencie Europejskim, a kolejni politycy apelowali o pomoc do administracji Donalda Trumpa, a nawet wysyłano jej dokumenty oczerniające polskiego premiera.

Utożsamienie interesów Polski z interesami Donalda Trumpa (stricte Trumpa jako osoby, bo już nawet nie USA ani nawet republikanów) jest szczególnie wymowne. Skandowanie nazwiska obcego polityka w Sejmie po rozstrzygnięciu wyborów w USA było jedynie zapowiedzią poważniejszego procesu uzależniania PiS od zagranicznego partnera. Wszak jeszcze przed amerykańskimi wyborami szef klubu PiS Mariusz Błaszczak stwierdził, że jeżeli wygra Donald Trump, to w odpowiedzi Donald Tusk i cały rząd powinni podać się do dymisji. Ciężko być obrońcą woli narodu i demokracji, a jednocześnie od sympatii zagranicznego przywódcy uzależniać skład własnego rządu. Jak Donald Trump najeżdża Wenezuelę, to politycy PiS prześcigają się w pochwałach, jak wybucha spór na linii USA – marszałek polskiego Sejmu, to automatycznie biorą stronę USA, domagając się dymisji marszałka, a nawet jak po ataku na Iran ropa zaczyna drożeć, to i wtedy znajdzie się odpowiednie usprawiedliwienie dla działań Białego Domu. Na przykład Stanisław Karczewski, pytany o wojnę na Bliskim Wschodzie, stwierdził, że „ceny ropy będą na pewno szły w górę, ale pokój i demokracja nie mają ceny".

PiS za premierostwa Mateusza Morawieckiego podjął wiele decyzji, które spotkały się z krytyką prawicowego elektoratu („piątka dla zwierząt", obostrzenia covidowe, rozbudowane transfery socjalne, uległość wobec UE itd.). Niemniej PiS był wówczas centrowo-prawicową formacją, która może nie dokonała konserwatywnej kontrrewolucji, ale pozostawała przynajmniej wiarygodna dla umiarkowanego, centrowego elektoratu.

Po zwycięstwie Karola Nawrockiego i wzroście poparcia dla Konfederacji oraz Brauna w PiS uznano najwyraźniej, że konieczne jest odcięcie się od dziedzictwa Morawieckiego i obranie kursu na stricte prawicowy elektorat. Z tym nastawieniem wiąże się kilka problemów. PiS stara się prezentować jako formacja „prawdziwie konserwatywna", ale jednocześnie z miejsca odrzuca możliwość wejścia w koalicję z Grzegorzem Braunem i Sławomirem Mentzenem. Można odnieść wrażenie, że dla „bardzo prawicowego PiS" nawet Lewica jest mniejszym złem niż Korona. Co więcej, sukcesywny spadek poparcia dla PiS (potwierdzają to wszystkie wielomiesięczne, regularnie prowadzone sondaże) dowodzi, że prawicowy zwrot nie został zaakceptowany przez elektorat. Ludzie po prostu nie uwierzyli w konserwatywną przemianę PiS. Patrząc po tym, jak politycy tej partii działali w ciągu ostatnich trzech lat, trudno się dziwić wyborcom.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 72fac7a599



Kadr z nagrania przedstawiający mężczyznę, który werbalnie zaatakował ukraińskie nastolatki w autobusie w Bielsku-Białej FOT. MICHAŁ STELNIKOV/FACEBOOK

Polityka przymusowej przyjaźni



Łukasz Warzecha

Po incydencie w autobusie w Bielsku-Białej politycy Koalicji Obywatelskiej powielali jeden przekaz, powtarzany na zasadzie kopiuj-wklej w ich wpisach w mediach społecznościowych: „Ten bydlak, który słownie zaatakował ukraińskie dziewczynki w Bielsku-Białej, nie zaczął pierwszy. Dzielnie kontynuuje to, co zaczął Braun, Zajączkowska, Mentzen, a teraz na sztandary wziął Czarnek i Morawiecki. Takiej Polski chce ta koalicja nienawiści". To klasyczne nakręcanie emocji. Zamiast dawać się wkręcić, spójrzmy na tę sytuację na chłodno, aby pojąć, kto zawinił i kto zbija na tym interes

Co wiemy? Wciąż nie tak wiele. Nie trzeba być przecież specjalnie obeznanym w internetowych praktykach, aby zrozumieć, że wstawiony przez ukraińskie dziewczyny filmik nie pokazywał całej sytuacji, a do innych materiałów dostępu nie mamy i mieć nie będziemy, co jasno oświadczył już bielski zakład autobusowy.

To w tego typu sprawach klasyka: ktoś pokazuje wycinek sytuacji okrojony tak, aby on sam jawił się w jak najlepszym świetle. Film udostępniony przez dziewczynki nie pokazywał przecież pierwotnej przyczyny spięcia: tego, że jedna z nich trzymała nogi na fotelu (czy jego oparciu), czyli zachowywała się w sposób nieodpowiedni.

Nie jest to zresztą jedynie wynalazek epoki internetowej. Na niebezpieczeństwa związane z takim wycinkowym przedstawianiem rzeczywistości zwracano uwagę od niemal początku epoki nowoczesnych mediów. Zaledwie kilka dni temu zwiedzałem Muzeum Prasy (Internationales Zeitungsmuseum) w Akwizgranie, gdzie część ciekawej wystawy poświęcono właśnie wycinkowemu ukazywaniu rzeczywistości m.in. poprzez specjalnie wykadrowane zdjęcia prasowe. Zatem w przypadku zdarzenia z Bielska-Białej całość obrazu sytuacji musiałaby obejmować nagrania z autobusu od samego początku spięcia, najlepiej ze ścieżką audio, a także kompleksowe zeznania świadków i wyjaśnienia sprawcy. Przypominam, że nawet sąd, orzekając w sprawach takich jak choćby pobicie, bierze pod uwagę zachowanie poszkodowanego i może orzec niższą karę dla sprawcy, jeśli uzna, że poszkodowany w jakiś sposób sprowokował sprawcę. I to dopiero sąd będzie miał dostęp do całości materiałów sprawy.

Jednak mimo braku tego kompleksowego obrazu sytuacji mężczyzna, który werbalnie zaatakował nastolatki, został już poddany publicznemu linczowi. Nie tylko był w najgorszy sposób wyzywany przez polityków w mediach społecznościowych, lecz także został zwolniony z pracy w bielskiej spółce komunalnej. Nie jest to zresztą pierwszy raz, gdy ktoś zostaje w taki sposób potraktowany przed pojawieniem się jakichkolwiek wiążących ustaleń w jego sprawie. Podobny los spotkał sprawcę śmierci posła Łukasza Litewki. Zdaje się jednak, że nikt się tym nie przejmuje.

SZERSZY KONTEKST

Naszkicujmy mapę emocji, które starają się budzić politycy i komentatorzy w tej sprawie. Widoczna jest tutaj rozbieżność pomiędzy głosem części tzw. zwykłych ludzi a głosem większości elity politycznej. Elita w różnym natężeniu, ale jednak zachowanie mężczyzny potępiła. Co ciekawe, tak samo uczynił – aczkolwiek w sposób umiarkowany – Krzysztof Bosak, podczas gdy Sławomir Mentzen głosu w tej sprawie nie zabierał. „Wyładowywanie swojego gniewu i frustracji na przypadkowych osobach to zło, niezależnie od kontekstu, a już szczególnie wobec kobiet czy dzieci. Pamiętajmy, by w takich sytuacjach reagować, a nie tylko przyglądać się czy nagrywać" – napisał lider Ruchu Narodowego. Smaczku dodaje fakt, że marszałek Bosak podał dalej wpis internauty z załączonym nagraniem incydentu, który to internauta nie tylko obraził go zaraz w następnym wpisie i oskarżył o doprowadzenie do takich sytuacji, lecz także nawoływał do internetowego linczu na sprawcy („Zróbcie mu sławę w Internecie").

Dołączyła się do tego pobudzona emocjami część opinii publicznej, przede wszystkim ta, dla której – powiedzmy umownie – ukrainopozytywizm jest częścią pakietu światopoglądowego. Natomiast ta część opinii internetowej, która od początku konsekwentnie opowiada się po stronie ukrainorealizmu, nie tyle może broni agresora – bo też nie bardzo jest czego – ile zwraca uwagę na

eprasa.pl 72fac7a599

kontekst zdarzenia. I ten szczegółowy, i ten ogólniejszy.

Kontekst szczegółowy, który raczej nie budzi już wątpliwości, to zachowanie dziewczynek w autobusie. Agresja mężczyzny według pierwszych relacji była spowodowana nieskutecznością jego upomnień, jednak takiej tezie przeczy oświadczenie bielskich zakładów autobusowych, powołujące się na analizę monitoringu. Materiał dowodowy ocenią dopiero prokuratura i sąd. Mężczyzna miał się przyznać do winy, aczkolwiek tu również nie mamy jasności, co jego wyjaśnienia zawierały – prokuratura nie dzieli się takimi informacjami.

Można jednak z dużym prawdopodobieństwem zrekonstruować, co zaszło w głowie człowieka, który zelżył dziewczynki. Ten proces myślowy i emocjonalny ma swoje źródło w szerszym kontekście, wyjaśniającym nastawienie osób, których emocje mogą zacząć się odbijać na przypadkowych Ukraińcach. Również tych, którzy przyjechali do Polski lata temu, zapuścili tu korzenie, dobrze się zintegrowali i obecna sytuacja uderza w nich najmocniej, bo całkowicie bez powodu. Te osoby bowiem – co trzeba przypominać – nie korzystają z wciąż istniejących specjalnych uprawnień, przysługujących ukraińskim uchodźcom.

Od 2022 r. rząd Prawa i Sprawiedliwości, potem rząd KO prowadził politykę przymusowej przyjaźni z Ukrainą. Przejawów tego było mnóstwo. Grana przez PiS i częściowo przez KO melodia zmieniła się dopiero ostatnio, pod wpływem afery z nadaniem ukraińskiej jednostce wojskowej imienia „Bohaterów UPA". Na to nałóżmy to, co ludzie widzieli na własne oczy na co dzień: Ukraińcy w drogich samochodach, często powodujący wypadki po pijanemu czy Ukrainki przesiadujące całymi dniami w centrach handlowych. Polacy mieli świadomość, że te wszystkie osoby mają uprawnienia do specjalnego traktowania przez polskie państwo. Na to nakładało się postrzeganie uchodźców jako roszczeniowych oraz niestosujących się do polskich norm kulturowych. Taka percepcja wynikała z badań, prowadzonych cyklicznie przez niestety nieżyjącego już dr. Roberta Staniszewskiego, politologa z Uniwersytetu Warszawskiego. Oczywiście mówimy tu o stereotypach, ale emocja społeczna ma źródło właśnie w stereotypach, co przeanalizował już Gustave Le Bon w swojej „Psychologii tłumu".

Wszystko to dla wielu Polaków tworzy trudny do zniesienia emocjonalny kontekst sytuacji, w której widzą, jak Ukrainiec wydaje się nadużywać przyznanych mu praw. Prawdopodobnie to właśnie zagrało w przypadku incydentu z Bielska-Białej, gdzie agresor, pracownik zakładów autobusowych, zapewne uznał, że ma do czynienia z przejawem bezczelności kogoś, kto w Polsce jest gościem. To nie usprawiedliwia wyzwisk, zwłaszcza kierowanych w stronę dziecka, ale tłumaczy, skąd się wzięły. Zrozumienie przyczyn to nie usprawiedliwianie zachowania.

Można dzisiaj śmiało postawić tezę, że gdyby nie forsowana przez kolejne rządy obowiązkowa miłość do Ukrainy i Ukraińców – oraz wyidealizowany obraz tego kraju i narodu, prezentowany w polskich mediach – dziś odbicie w drugą stronę byłoby znacznie bardziej umiarkowane, a przejawy niechęci znacznie rzadsze. Prawdziwymi winowajcami tego, co się dzieje, nie są Grzegorz Braun czy Sławomir Mentzen, ale ludzie tacy jak Andrzej Duda, Paweł Jabłoński czy cały chór bezmyślnie proukraińskich partyjnych powtarzaczy narracji Donalda Tuska.

WALKA Z „MOWĄ NIENAWIŚCI"

Wydarzenie z Bielska-Białej zostało natychmiast zdyskontowane przez kilka środowisk. Po pierwsze – przez środowisko agresywnych ukraińskich aktywistów w rodzaju Nataliji Panczenko, którzy bardzo konsekwentnie prowadzą w Polsce działania na rzecz radykalnego umocnienia ukraińskiej mniejszości i jej politycznego wzmocnienia. Po drugie – przez koalicję rządzącą z jej tępym przekazem, w ramach którego pojawia się teza o „brunatnieniu" Polski. Ten obóz polityczny korzysta na każdym incydencie tego typu, bo każdy z nich zwiększa polaryzację, daje amunicję przeciwko Konfederacji i PiS oraz pozwala wzmacniać opowieść o tym, że konieczne są w Polsce coraz dalej idące ograniczenia wolności słowa, aby walczyć z „mową nienawiści".

Do ustawy w tej sprawie – czyli nowelizacji Kodeksu karnego – zablokowanej przez prezydenta Andrzeja Dudę – nawiązał we wpisie na X senator Krzysztof Kwiatkowski, stwierdzając, że po to właśnie ta ustawa miała być. To oczywiście nieprawda – ustawa miała służyć wprowadzeniu faktycznej cenzury w postaci efektu mrożącego, czyli mechanizmu, w ramach którego obywatele zaczynają cenzurować się sami w obawie przed konsekwencjami wynikającymi z otwartego wyrażania swoich poglądów. Niestety, w tym wypadku ten efekt i tak może zostać osiągnięty. Postawienie na baczność całego państwa z powodu tego, że gdzieś w Polsce jakiś człowiek naubliżał nastolatkom z Ukrainy, dokładnie taki efekt tworzy.

Rządzący starają się teraz stworzyć wrażenie, że skala incydentów, w których ktoś zachowuje się agresywnie wobec Ukraińców, jest ogromna. Nie ma jednak na poparcie takiej tezy żadnych statystyk – a brać by tu trzeba pod uwagę stosunek takich wydarzeń do liczby Ukraińców przebywających w Polsce. Mamy, jak się zdaje, do czynienia z klasycznym przypadkiem paniki moralnej, czyli rozdymania na polityczne potrzeby zjawiska, które szczęśliwie nadal pozostaje marginalne.

Można też założyć, że – po trzecie – skorzysta Grzegorz Braun, którego notowania skoczą o kolejny punkt procentowy.

Gdyby rządzącym zależało naprawdę na wytłumieniu emocji, błahy w gruncie rzeczy incydent w autobusie w mniejszym polskim mieście pozostałby na poziomie takim, na jakim tego typu sprawy powinny z zasady lądować: zająłby się nim lokalny komisariat policji, ewentualnie prokuratura rejonowa, a nie najważniejsi politycy w kraju. Wszak nie mieliśmy do czynienia z niczym w zasadzie nadzwyczajnym – awantury między dorosłymi a nastolatkami zdarzają się w Polsce tysiące razy w roku i w żadnym z tych przypadków nie robi się tak żenującej pokazówki.

Efektem w tym wypadku będzie dalsze podgrzewanie emocji. Sam minister Żurek gorliwie zapowiada, że w grę będzie wchodził art. 257 Kodeksu karnego, czyli znieważenie z powodu przynależności narodowej. Tu kara może sięgnąć nawet trzech lat pozbawienia wolności, a człowiek, który najwyraźniej ma problem z utrzymaniem swoich emocji na wodzy, wyrośnie dla wielu na bohatera. Bezzasadnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 72fac7a599



Rafał A. Ziemkiewicz

Swawolny Radzio

Jest tajemnicą poliszynela, że w koalicji rządowej nikt Radosława Sikorskiego nie lubi – w kuluarach ludzie władzy mówią o wybujałym ego, pyszałkowatości, pomiataniu ludźmi i, co w tych kręgach najważniejsze, nielojalności. A jednak z jakiegoś powodu polityk ten jest Donaldowi Tuskowi potrzebny

Winston Churchill mawiał, że dyplomata to taki człowiek, który trzy razy pomyśli, zanim czegoś nie powie. Obecny szef dyplomacji III RP jest literalnym odwróceniem tej zasady. Radosława Sikorskiego bardziej niż cokolwiek innego pasjonuje zbieranie internetowych „lajków": korzysta z każdej okazji, by popisać się w mediach społecznościowych złośliwością wobec politycznych przeciwników. Widać przy tym, że kiedy przychodzi mu do głowy jakiś greps, którym może uderzyć w prezydenta RP, Prawo i Sprawiedliwość albo którąś z Konfederacji, nie traci ani chwili na zastanowienie, jak ma się kolejny wymyślony przez niego internetowy „zwischenruf" do powagi urzędu, który mu powierzono, interesów Polski czy nawet zwykłego zdrowego rozsądku. Widać przy tym, że Sikorski jest szczerze zachwycony swoją błyskotliwością i poczuciem humoru, w czym zapewne upewniają go komentarze publiczności, do której się zwraca – konsumentów Soku z Buraka, uczestników giertychowskich sieci internetowych trolli i innych przedstawicieli żelaznego elektoratu rządzącej koalicji. Opinie pozostałych najwyraźniej go nie obchodzą, bo zwyczajnie je blokuje.

„Wow, OZE-sroze chce dopuścić Putina nad polską granicę. Wyścig z Konfederacjami na antyukraińskość odbiera im rozum" – to o słowach Przemysława Czarnka, że powinno się



FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/FORUM

eprasa.pl 72fac7a599

wstrzymać finansowanie Ukrainy dopóty, dopóki nie odrzuci gloryfikowania rodzimej odmiany nazizmu i czczenia kolaborantów III Rzeszy. „Ho, ho, ho, nasza prawica zaczyna dostrzegać ryzyka nacjonalizmu. Alleluja, choć na razie tylko u innych" – po wyrażeniu przez polityka opozycji zaniepokojenia wzrostem nastrojów neonazistowskich w Niemczech. „Nacjonaliści szczują, a ich wyborcy biorą sprawy w swoje ręce" – to z kolei komentarz do incydentu w Bielsku-Białej, gdzie pasażer autobusu ubliżał trzem ukraińskim dziewczętom (równoległego incydentu z Bytowa, gdzie trzech Ukrainców zaatakowało na ulicy polskie małżeństwo i pobiło mężczyznę na śmierć, minister nie odnotował). „Przy podobnej ilości polskich ofiar ludobójstwo Polaków w ZSRR nie budzi takich emocji jak Zbrodnia Wołyńska. Dlaczego?" – tak uczcił Sikorski rocznicę „krwawej niedzieli" i rzezi wołyńskich. „Ryzykujący życie dla ojczyzny pod rosyjskimi bombami płk Łukasiewicz wypowiedział się w chrześcijańskim duchu, wybaczamy i prosimy o wybaczenie. Bo w obliczu wspólnego zagrożenia pracuje na rzecz pojednania. A nacjonalistyczni sekciarze szczują bratnie narody na siebie, służąc zupełnie innym interesom" – to obrona zachowania podwładnego, który podczas uroczystości upamiętniających tę rocznicę relatywizował ludobójstwo przypominaniem „polskich win" wobec Ukraińców. „Zamach smoleński i zamach ząbkowicki. Równie wiarygodne" – to z kolei wpis z najnowszej „miesięcznicy", obchodzonej przez PiS każdego 10. dnia miesiąca.

WOJNA Z PREZYDENTEM

Nie sposób pominąć najgłośniejszego chyba wykwitu internetowej twórczości ministra – komentarza do rozmowy Karola Nawrockiego z Wołodymyrem Zełenskim podczas szczytu NATO w Ankarze: „Dziękuję prezydentom Polski i Ukrainy za to, że podczas szczytu NATO w Ankarze tak intensywnie starają się rozwiązać problem, który sami stworzyli". Oskarżanie prezydenta RP o współodpowiedzialność za kryzys w stosunkach polsko-ukraińskich, wywołany demonstracyjnym uczczeniem przez ukraińskiego przywódcę „Bohaterów UPA", to jedna z wiodących tez politycznej propagandy Koalicji Obywatelskiej i jej mediów. Problem w tym, że wypowiedzi Sikorskiego jako ministra docierają też za granicę.

Sikorski w mediach społecznościowych nie tylko dzieli się płodami własnego intelektu, udostępnia też wybrane opinie cudze – przeważnie pochwały dla siebie prorządowych mediów, lecz także zacytował np. wpis byłego prezydenta Rosji Dmitrija Miedwiediewa: „Prezydent Polski w końcu pozbawił nazistowskiego wyznawcę z Kijowa, degenerata, Orderu Orła Białego. Teraz na jego zielonej bluzie będzie więcej miejsca na hitlerowski Krzyż Żelazny" – sugerując, że odebranie Zełenskiemu najwyższego polskiego odznaczenia było w jakiś sposób skoordynowane z polityką Kremla. Niedawno zaś „podbijał" Sikorski w swoich „społecznościówkach" elukubracje swego przyjaciela i politycznego sojusznika, Romana Giertycha, który przy okazji szczytu w Ankarze przypomniał swoją starą tezę z roku 2022, iż „specjalna operacja wojskowa" ogłoszona przez Władimira Putina i „pełnoskalowe" wkroczenie armii rosyjskiej na Ukrainę było skutkiem tajnego układu o rozbiorze tego państwa, zawartego między Putinem, Viktorem Orbánem i Jarosławem Kaczyńskim; według Giertycha Kaczyński chciał w ten sposób przyłączyć do Polski Lwów, by następnie „ogłosić się królem". Przypomnijmy: po ogłoszeniu przez Giertycha tej sensacji po raz pierwszy Radosław Sikorski w rozmowie w Polskim Radiu uznał scenariusz przedstawiony przez „consigliere" swej partii za prawdopodobny, stwierdzając, że PiS „co najmniej miał takie pokusy". Dlaczego chytry pakt rozbioru nigdy nie wszedł w życie ani Sikorski, ani Giertych nie wyjaśnili, choć ten drugi mówił, a pierwszy milcząco potwierdzał, iż zgłoszony wówczas przez Kaczyńskiego postulat wprowadzenia na zaatakowaną Ukrainę międzynarodowych sił pokojowych miał służyć właśnie zamaskowaniu polskiej okupacji Lwowa i okolic.

Minister Sikorski żyje jednak nie tylko ujawnianiem spisków i zbrodni Prawa i Sprawiedliwości oraz innych „nacjonalistów", jak od pewnego czasu, zgodnie z unijną manierą, konsekwentnie nazywa wszystkich swych przeciwników. Istotnym wątkiem publicystycznej wojny Sikorskiego jest domaganie się od prezydenta – we właściwy sobie, obcesowy sposób – by podpisał nominacje wyznaczonym przez niego nielegalnie „ambasadorom". W ponad połowie państw, w tym przede wszystkim w tych kluczowych dla naszej polityki, RP nie ma bowiem przedstawicieli należytej rangi od czasu, gdy Sikorski zapragnął pokazać prezydentowi Dudzie „kto tu rządzi" i bez konsultacji z nim odwołał hurtem wszystkich ambasadorów, którzy rozpoczęli misję za rządów PiS, i „powołał" nowych, wielu z nich wybierając specjalnie pod kątem prowokacji – placówkę w Waszyngtonie powierzył Bogdanowi Klichowi, znanemu z obelżywych wypowiedzi pod adresem Donalda Trumpa („diagnozował" u niego publicznie chorobę psychiczną), a w Rzymie skompromitowanemu finansowym cwaniactwem i aktywnością w antypisowskiej „konferencji ambasadorów" Ryszardowi Schnepfowi.

Sikorski jest szczerze zachwycony swoją błyskotliwością i poczuciem humoru, w czym zapewne upewniają go komentarze publiczności, do której się zwraca, jak choćby konsumenci Soku z Buraka

Odwołać miał prawo, ale powołać nowych mógłby, zgodnie z konstytucją tylko w porozumieniu z prezydentem i z jego kontrasygnatą. Sikorski uważał, że tupiąc na Andrzeja Dudę, wymusi na nim akceptację dla tej wielkiej czystki – w istocie były prezydent uległ w kilku przypadkach – bądź liczył na to, że obce państwa opowiedzą się po jego stronie i uznają ludzi nieposiadających formalnego uwierzytelnienia za jakichś „ambasadorów de facto". Rezultatem tej megalomanii ministra jest ciągnący się od lat paraliż polskich ambasad, zarządzanych przez „kierowników placówek" (prawo w ogóle nie przewiduje takiej funkcji,

eprasa.pl 72fac7a599

więc nominaci Sikorskiego właściwie pobierają wynagrodzenia nielegalnie). Od czasu do czasu w polskich ambasadach odbywa się jakiś koncert chopinowski czy pokaz lepienia pierogów i na tym aktywność dyplomacji się za Sikorskiego wyczerpuje.

Prezydencki minister Marcin Przydacz komentuje tę sytuację i ponawiane przez Sikorskiego oskarżenia – które ten z krańcową obłudą ozdabia w swych tweetach frazesami w rodzaju: „sprawy bezpieczeństwa potrzebują zgody narodowej. Rząd i prezydent powinni mówić jednym głosem: tego wymaga od nas społeczeństwo" – ujawnił, że Kancelaria Prezydenta Nawrockiego prowadziła z Sikorskim rozmowy, mające wyłonić akceptowalnych dla obu stron ambasadorów i – jak stwierdził – „praktycznie osiągnięto już porozumienie". Wtedy jednak miał zainterweniować Donald Tusk, surowo zakazując zarówno Sikorskiemu, jak i innym swoim ministrom zawierania jakichkolwiek porozumień z Prezydentem RP: stałe eskalowanie wojny z „Dużym Pałacem" jest bowiem osią politycznej strategii Koalicji Obywatelskiej i jej nadzieją na przetrwanie u władzy.

Informacje ujawnione przez Przydacza Sikorski skomentował w typowy dla siebie sposób – tym razem nie w mediach społecznościowych, ale w wywiadzie radiowym: „Ministerstwo Spraw Zagranicznych rozmawia z Iranem, rozmawia z Koreą Północną, więc oczywiście rozmawia też z Kancelarią Prezydenta", i sam pierwszy się ze swego kolejnego bon motu uśmiał.

Wydaje się, że tutaj właśnie tkwi „klucz do Sikorskiego". Sikorski, wieczny i nigdy niezrealizowany kandydat Platformy, a potem Koalicji Obywatelskiej, do odegrania jakiejś istotnej roli jest potrzebny Tuskowi bynajmniej nie jako sprawny szef dyplomacji, bo w jego koncepcji uległego realizowania wytycznych płynących z Unii Europejskiej dyplomacja z zasady nie jest potrzebna. Tuskowi Sikorski potrzebny jest w roli bulteriera, bezustannie atakującego Karola Nawrockiego i „nacjonalistyczną" opozycję, moczącego ich w Putinie, w kryptowalutach, w „rozpętywaniu nienawiści wobec walczącej Ukrainy i Ukraińców w Polsce", w czym tam aktualnie każe partyjny „przekaz dnia". Uważa, że z kilku przyczyn właśnie Radosław Sikorski nadaje się do tej roli lepiej niż którykolwiek inny z jego „żołnierzy".

Jakie to przyczyny? Tusk uważa – a comiesięczne sondaże zaufania do polityków wydają się to potwierdzać – że na Polaków i na zagranicznych sojuszników wciąż działa czar „oksfordzkiego wykształcenia" i sławnej w świecie żony, kreowanej przez rządowe media na autorytet rangi Henry'ego Kissingera czy Zbigniewa Brzezińskiego. W istocie Anne Applebaum ze swą obsesyjną nienawiścią do obecnego prezydenta USA i gotowością przypisania mu najbardziej nawet absurdalnych win postrzegana jest jako publicystka coraz mniej poważna – Peter Turchin we wstępie do sławnej książki „Czasy ostateczne" bezlitośnie wykpiwa jej spiskowe wyjaśnienia sukcesu Trumpa, na dodatek nie wymieniając nawet ich autorki z nazwiska. Polacy nie znają też osobliwości brytyjskiej edukacji, pozwalającej zaliczyć prestiżowe studia bez żadnych egzaminów czy dyplomów, w randze „bachelora" – stopień pośredni między naszą maturą a licencjatem, w istocie mniej wart niż np. wykształcenie Aleksandra Kwaśniewskiego.

SYNDROM SZTOKHOLMSKI CZY WYCZEKIWANIE NA SWÓJ MOMENT?

Niektórzy twierdzą, że Tusk ma wobec Sikorskiego kompleksy – zazdrości mu obycia, doskonałego angielskiego, łatwego wstępu, dzięki żonie, na światowe liberalne salony z Grupą Bilderberg na czele (a przecież obaj wyszli z podobnych blokowisk). Pseudoerudycyjne wywody w książce Tuska „Szczerze" zdają się o skłonności do takich kompleksów zaświadczać, ale nic nie wskazuje, by akurat Sikorski był tu obiektem zazdrości.

Wyjaśnienia, dlaczego Tusk, który zniszczył bezlitośnie wszystkich potencjalnych konkurentów w partii, z Sikorskim nie ma żadnego problemu, szukałbym gdzie indziej. Premier wie po prostu to, czego sam Sikorski nie wie albo nie przyjmuje do wiadomości – że nie jest on w stanie Tuskowi zagrozić. Jest tajemnicą poliszynela, że w koalicji nikt Sikorskiego nie lubi – w kuluarach ludzie władzy mówią o wybujałym ego, pyszałkowatości, pomiataniu ludźmi i, co w tych kręgach najważniejsze, nielojalności. Obiektem szczególnych kpin jest skąpstwo ministra. Z opowieści w rodzaju: Sikorski zaprasza do superrestauracji, zamawia co najdroższe, odgrywa komedię: „Oj, zapomniałem portfela, zapłać, rozliczymy się potem", a „potem" nie odbiera telefonów, można by ułożyć sporą antologię. Mówiąc krótko, Sikorski nie ma żadnego zaplecza w partii i na nikogo liczyć nie może, „wisi" wyłącznie na Tusku i na swoim medialnym wizerunku. Poza tym Sikorski już kilkakrotnie został przez Tuska krańcowo upokorzony, oszukany i wystawiony do wiatru – np. gdy uwierzył, że walczy o stanowisko w UE dla siebie, nie dla szefa, gdy nie dostał wsparcia Tuska w staraniach o fotel w NATO, nie mówiąc o dwukrotnym wepchnięciu w rolę „zająca" w partyjnych prawyborach. Wszystko to zniósł bez szemrania i bez jakiejkolwiek próby buntu lub zemsty.

Być może szefa MSZ łączy z premierem swoisty syndrom sztokholmski, a być może wierzy on, że musi cierpliwie wyczekać na swój moment. Tusk w końcu wróci do struktur unijnych, a wtedy, podpowiada Sikorskiemu jego własna próżność i internetowi pochlebcy, właśnie on stanie się naturalnym, wręcz jedynym możliwym przywódcą obozu „europejskiego", może nawet poszerzonego o „nienacjonalistyczną", mentzenowską część Konfederacji. I wszyscy w partii, chcąc czy nie, będą się musieli z tym pogodzić. Trzeba tylko donieść do tego momentu popularność, internetowe zasięgi i wysoką pozycję w rankingach zaufania. Najlepszy sposób na to widzi Sikorski w obsługiwaniu radykalnych emocji, przelicytowywaniu wszystkich w jadowitych napaściach na „nacjonalistów" i „putinowców", podgrzewaniu w żelaznym elektoracie strachu przed nimi i przed „wyprowadzeniem z Europy" oraz utwierdzaniu tegoż żelaznego elektoratu w poczuciu wyższości nad ciemną masą.

Jest to analogiczna recepta, którą swego czasu, w innej dziedzinie – kariery medialnej – stosował Tomasz Lis. Bynajmniej nie przyniosła mu sukcesu. Ale ten przykład albo nie przyszedł Sikorskiemu do głowy, albo po prostu go nie odstrasza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 72fac7a599



Piotr Semka

Powrót „prezesa wyklętego”

Mateusz Matyszkowicz wraca do życia publicznego. To utrudni mu zachowywanie tajemniczego milczenia wokół wydarzeń sprzed trzech lat, kiedy wysłannicy nowo utworzonego rządu Donalda Tuska przejęli telewizję publiczną

Jeszcze trzy lata temu było to po prawej stronie nazwisko znane i wpływowe. Mateusz Matyszkowicz to niegdysiejsza gwiazda „Frondy Lux”, komplementowany eseista, nadzieja środowiska „Teologii Politycznej”, a potem bohater błyskotliwej kariery telewizyjnej – najpierw szef TVP Kultura, a potem prezes TVP po Jacku Kurskim.

Krążyły plotki, że potrafił zainteresować swoją osobą samego Jarosława Kaczyńskiego. Ponoć lider Prawa i Sprawiedliwości lubił długie rozmowy z Matyszkowiczem na tematy intelektualne. Po cichu Matyszkowicza miał też wspierać premier Mateusz Morawiecki. Wszystko to skończyło się w grudniu 2023 r. w czasie przejęcia TVP przez ekipę Donalda Tuska. W tamtych dniach w prawicowych mediach spekulowano, dlaczego Matyszkowicz nie zapobiegł zdradzie ze strony telewizyjnego biura ochrony – dlaczego oddał swój gabinet bez żadnego oporu i pozwolił na przejęcie emisji przez ludzi wysłanych przez Platformę Obywatelską. Padały pytania, czy wydarzenia go przerosły czy też od pewnego czasu był w zmowie z agresorami? Matyszkowicz w tej sprawie konsekwentnie milczał i nadal milczy. Zarzuty o zdradę ignoruje.

Jego stare numery telefonów nie odpowiadają, a nowe znają tylko ci, z którymi ma ochotę się kontaktować.

SŁABY ODDŹWIĘK

Od grudnia 2023 r. były prezes TVP mocno ograniczył swoją obecność w życiu publicznym. Jeśli dawał o sobie znać, to m.in. publikując teksty w „Gazecie Polskiej” oraz czasopiśmie „Wszystko Co Najważniejsze”. Tymczasem ósmego lipca br. portal teatrdlawszystkich.pl ogłosił: „Pierwsi informujemy, Mateusz Matyszkowicz rekomendowany na stanowisko dyrektora Teatru Osterwy w Lublinie”. Padła informacja, że komisja konkursowa podlegająca urzędowi marszałkowskiemu w Lublinie wyłoniła byłego prezesa TVP jako rekomendowanego kandydata, który objąć ma stanowisko dyrektora lubelskiego teatru. Według portalu Mateusz Matyszkowicz uzyskał pięć głosów „za”, dwa były „przeciw”, a dwa wstrzymujące się. Protokół głosowania jest tajny, więc lubelskie media mogły jedynie spekulować, że przeważyły głosy trzech przedstawicieli urzędu marszałkowskiego, reprezentujących marszałka Jarosława Stawiarskiego, rekomendowanego przez PiS.

Ten zaskakujący dla niektórych polityczno-artystyczny powrót Matyszkowicza do życia publicznego odbił się zaskakująco słabym oddźwiękiem w mediach. „Gazeta Wyborcza” ponarzekała, że jest to przykład „drogi ewakuacyjnej dla dawnych luminarzy PiS-owskiego infotainmentu”, choć jak na standardy dziennika z Czerskiej poinformowano o sprawie w bardzo oględny sposób. Owszem, „Wyborcza” kpiła, że „na dyrektora teatru wybrano byłego szefa TVP, filozofa od średniowiecza”, ale też przyznała, że jego kontrkandydaci nie byli fachowcami z wysokiej półki. Jak czytamy w „GW”: „Matyszkowicz praktycznie nie miał z kim przegrać. Oprócz niego do drugiego etapu konkursu poszli aktorzy: Marek Żerański z Teatru Polskiego w Szczecinie i Bogdan Krzysztof Kozyra realizujący nagrania poezji i małe formy filmowe m.in. o »Żołnierzach Wyklętych«, od 35 lat poza zawodowym teatrem”.

Po prawej stronie mediów powrót Matyszkowicza w większości przemilczano. Czy chodzi tylko o ogromny zawód spowodowany wydarzeniami z przejmowania TVP przez ekipę Tuska czy też, zdawałoby się, zaskakujący fakt, że Matyszkowicz dostaje posadę w województwie rządzonym przez PiS? Człowiek na każdą okazję czy też mistrz politycznego przetrwania? – to pytanie zadają sobie byli znajomi bohatera tego tekstu, których zapytałem o przyczyny tego specyficznego come backu.

WIECZNIE „DOBRZE ZAPOWIADAJĄCY SIĘ”

Mateusz Matyszkowicz urodził się w 1981 r. w Żywcu. Jako uczeń od zawsze sprawiał wrażenie prymusa. Uczęszczając do I Liceum Ogólnokształcącego im. Mikołaja Kopernika w Żywcu, trzykrotnie brał udział w Ogólnopolskiej Olimpiadzie Filozoficznej, by w 1998 r. zostać jej finalistą, a w 2000 r. zdobywcą pierwszego miejsca. Od klasy III uczył się w systemie indywidualnego toku nauki. Był to dobry start do studiów z zakresu filozofii i teologii na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Znajomości zawarte w kręgach krakowskich konserwatystów spowodowały kolejny awans. W 2007 r. został w wieku 26 lat doradcą ministra edukacji narodowej Ryszarda Legutki. W tym czasie zbliży się też do środowiska „Teologii Politycznej”, a następnie kwartalnika „Fronda Lux”. W 2013 r. przejął nawet od Tomasza Terlikowskiego funkcję naczelnego tego pisma. Stopniowo wypracowywał swój wizerunek „człowieka od kultury” po prawej stronie. W Radiu Wnet prowadził

eprasa.pl 72fac7a599

audycję Fronda Wnet, a w TV Republika był autorem magazynu „Literatura na trzeźwo".

Jeden z ludzi z kręgu „Frondy", pytany przez „Do Rzeczy" o jego szefowanie, odpowiada: – Już wtedy Matyszkowicz doskonale opanował sztukę sprawiania wrażenia kogoś młodego i dobrze zapowiadającego się. Po prawej stronie zawsze był deficyt takich ludzi i on to umiejętnie wykorzystywał. Ale na pozycje „Frondy Lux" to się nie przekładało. Nie miał pomysłu na to, czym ma być kwartalnik. Ale w ramach zachęty „Teologia Polityczna" wydała mu zbiór esejów pt. „Śmierć rycerza na uniwersytecie". Były efektowne, ale przyznam szczerze, że żaden nie utkwił mi specjalnie w pamięci. Po wygranej PiS i wejściu na fotel prezesa Jacka Kurskiego został dyrektorem TVP Kultura. W radiowej Trójce prowadził audycję „Chuligan literacki". Potem w ramach TVP został wicedyrektorem do spraw repertuaru biura programowego TVP i wreszcie w 2019 r. został włączony do zarządu TVP.

Jego dawni znajomi niechętnie chcą mówić o tym okresie jego życia. Ogólnikowo dają do zrozumienia, że praca na Woronicza nauczyła go umiejętności lawirowania między PiS a specyficzną strukturą i stylem myślenia ludzi z publicznego medium. Jeszcze inni zwracają uwagę na to, że w tym czasie zdołał wypracować sobie specyficzne relacje z Jarosławem Kaczyńskim.

Jeden z rozmówców zauważa: – Kaczyński zawsze miewał osoby, z którymi lubił prowadzić długie, eklektyczne w tematyce, debaty przy dobrym winie. W ten sposób zdobyli sobie jego uznanie, m.in. niegdyś Andrzej Urbański, potem Ryszard Legutko, Zdzisław Krasnodębski, Mateusz Morawiecki, ale także Matyszkowicz. W tym czasie krążyła nawet plotka, że szef TVP Kultura tymi biesiadami wypracuje sobie z czasem stanowisko prezesa TVP. I pamiętam moment, kiedy dowiedziałem się, że 5 września 2022 r. zastępuje na tym stanowisku Jacka Kurskiego. Powiem szczerze, w ogóle nie byłem zaskoczony.

Matyszkowicz jako prezes TVP chwalony bywał jako ktoś, kto wzmocnił pozycję Teatru Telewizji. Ale w kształt „Wiadomości" i innych programów informacyjnych TVP nie ingerował. Jeden z szefów firm producenckich z prawej strony wspomina go z tamtego czasu: – Pamiętam go jako postać, której nie da określić się w jakichś wyraźnych konturach. Rozmowy z nim były miłe, ale nic z nich nie wynikało. Obiecywał, że poprze jakiś projekt, a potem tygodniami nie można było się do niego dodzwonić. Pamiętam, że żartowano wtedy, że każdemu jest w stanie obiecać wszystko, tyle że w każdym wypadku nic nie kończy się żadnym konkretem.

Poprzedni dyrektor Teatru Osterwy, Redbad Klijnstra, został odwołany z funkcji po konflikcie z marszałkiem województwa lubelskiego. Pytany o nominację dla Matyszkowicza odpowiada: – Nigdy nie miał nic wspólnego z teatrem



FOT. ALBERT ZAWADA/PAP

Od dnia wyborów 15 października 2023 r. było wiadomo, że Platforma Obywatelska prędzej czy później stworzy większość rządową. Niegdysiejsi pracownicy TVP kojarzeni z prawą stroną zgodnie wskazują, że Matyszkowicz nie zrobił nic, aby przygotować się na scenariusz siłowego przejęcia TVP.

Piotr Zaremba wspominał w Salonie Dziennikarskim w telewizji wPolsce24 w grudniu 2024 r.: „Kilka tygodni przed przejęciem telewizji rozmawiałem z Mateuszem Matyszkowiczem i on mi powiedział wtedy, że nie będzie się bronił [przed siłowym przejęciem telewizji – przyp. autora] i motywował to tym, że obawia się, że mogą go aresztować z zarzutami działania na szkodę spółki".

20 grudnia 2023 r. atak ekipy Tuska stał się faktem. Jacek Kurski, który nie krył już wcześniej swego krytycyzmu wobec następcy, wprost nazwał zachowanie Matyszkowicza w tamtych dniach zdradą. Zarzucił mu, że przekazał telewizję ludziom Tuska, pozwolił przejąć im sygnał i poza jednym wystąpieniem w Telewizji Republika nawet się nie zdobył na żadne publiczne wystąpienie potępiające zachowanie wysłanników nowego ministra kultury i dziedzictwa narodowego Bartłomieja Sienkiewicza.

Gdy niemal rok później dziennikarz telewizji wPolsce24 Marcin Tulicki przygotowywał film „Przejęcie" o tamtych dramatycznych dniach – wysłał e-mailem pytania do Matyszkowicza o jego rolę w wydarzeniach z grudnia 2023 r. Matyszkowicz odesłał odpowiedzi, ale Tulicki dziś ocenia je bardzo krytycznie: – Odpisał mętnie. Nic się tam nie zgadzało.

W swojej odpowiedzi Matyszkowicz pisał: „Marcin, dziękuję, że pytasz. Świadomie nie wypowiadam się publicznie od tamtego czasu. Nie dlatego, że mam cokolwiek do ukrycia. Wiesz z naszych rozmów, że inaczej widziałem kwestie związane z ciągiem dalszym projektu telewizyjnego. Nie chciałbym teraz swoim opiniami nikomu zaszkodzić […]. Można krytykować strategię, która proponowałem, ale nie można mówić o zdradzie. Dopytywałeś o wyłączenie sygnału. Robota przypisania mi udziału w tym jest szyta grubymi nićmi. Stoją za tym ludzie, którzy

eprasa.pl 72fac7a599



byli w TVP awansowani za czasów PiS i nadal pełnią istotne funkcje w neo-TVP. Nie mam dowodu, ale mam na podstawie poszlak prawie pełny obraz. Do podzielenia się pewnego dnia. Możesz mi wierzyć bądź nie – nie miałem z tym nic wspólnego i sam zostałem tym pokrzywdzony".

ZASKAKUJĄCY AWANS

Powtórzmy: „Świadomie nie wypowiadam się publicznie od tamtego czasu" – napisał Matyszkowicz w liście do Marcina Tulickiego. I jest to prawda. Nie udało mi się znaleźć nigdzie żadnej innej wypowiedzi byłego prezesa TVP na ten temat w jakichkolwiek mediach od grudnia 2023 r. W tym sensie Matyszkowicz jest konsekwentny. Jednak płaci też za to cenę.

Ci, którzy odeszli z TVP w o wiele bardziej dramatycznych okolicznościach niż niegdysiejszy szef „Frondy Lux", zadają mało przyjemne dla Matyszkowicza pytania. Czy prawdą jest to, że mimo odejścia z funkcji nadal długo mieszkał w mieszkaniu służbowym TVP? Czy dostawał od władz neo-TVP honoraria za kolejne scenariusze i konsultacje? Inni z kolei zwracają uwagę, że o ile prokuratura prowadzi śledztwa w sprawie dotacji z Funduszu Sprawiedliwości dla rozmaitych inicjatyw medialnych, o tyle nikt w prokuraturze nie zajmuje się kluczową postacią w tamtym okresie, czyli prezesem TVP. Pojawia się jednak i taki głos, że Matyszkowicz jest na prawicy oceniany zbyt surowo. Jeden z byłych pracowników TVP stwierdza: – On się znalazł w tragicznym położeniu. Oczywiście, decydując się na prezesurę TVP musiał mieć świadomość tego, w co wchodzi. Niemniej czasem nam się wydaje, że sprostamy jakiemuś wyzwaniu, a potem rzeczywistość nas przerasta. To chyba właśnie przypadek byłego prezesa TVP. Natomiast kulturotwórcze ambicje, z jakimi przyszedł do tej firmy warto docenić.

„Gazeta Wyborcza" poinformowała zaś, że po swoim odejściu z funkcji szefa na Woronicza Matyszkowicz „zniknął z pola widzenia, próbując działać w branży filmowej i założył firmę producencką Roma Film". Szukając w Internecie, nie udało mi się znaleźć żadnej informacji na temat jakiejkolwiek zrealizowanej produkcji firmy o tej nazwie.

Na tle tej paroletniej mocno ograniczonej obecności w życiu publicznym – wiele osób pamiętających Matyszkowicza z dawnych czasów zaskoczonych było jego pojawieniem się na powierzchni i uzyskaniem funkcji dyrektora Teatru im. Juliusza Osterwy w Lublinie. Zaskoczenie było tym większe, że w zgodnej opinii ta nominacja niemożliwa byłaby bez cichego wsparcia marszałka województwa lubelskiego Jarosława Stawiarskiego reprezentującego PiS. Jeden z byłych dziennikarzy TVP mówi: – Matyszkowicz to mistrz spadania na cztery łapy. Potrafił znaleźć ścieżki do PiS-owskiego marszałka województwa lubelskiego. Jak to zrobił? Nie wiem, ale skuteczności nie można mu odmówić.

Inni starają się go jakoś zrozumieć. Padają słowa: – To co? Ma siedzieć w domu i patrzeć w sufit? To normalne, że szuka dla siebie jakiejś nowej roboty. Ma zostać pokutującym do kresu życia pustelnikiem?

Tyle że fotel lubelskiej placówki potrafi parzyć. Poprzedni dyrektor Teatru Osterwy, Redbad Klijnstra, został odwołany z funkcji po konflikcie z marszałkiem Stawiarskim, ale w sądzie wygrał sprawę o ustalenie braku podstaw do dymisji. Nie zmienia to faktu, że w sierpniu br. formalnie przestanie być dyrektorem Teatru Osterwy. Pytany o nominację dla Matyszkowicza odpowiada: – Nigdy nie miał nic wspólnego z teatrem. Wskazuje się na jego nadzór nad Teatrem Telewizji TVP, ale to zupełnie coś innego. Szefowanie teatrowi wymaga zupełnie innych umiejętności. A tak już zupełnie na marginesie to mu nie zazdroszczę. Nie ma pojęcia, na co się pisze. Najwyraźniej nie wie, jak skomplikowany splot rozmaitych interesów otacza ten teatr.

Tak czy inaczej, Mateusz Matyszkowicz wraca do życia publicznego. To utrudni mu zachowywanie tajemniczego milczenia wokół wydarzeń sprzed trzech lat. Trudno przypuszczać, by pytania o tamten kluczowy moment w dziejach polskich mediów przestały go ścigać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 72fac7a599



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Natura, sport i zaskakujące pasje. W mediach społecznościowych politycy pokazują drugą, zdecydowanie bardziej ludzką twarz



Nagrania lidera Agrounii Michała Kołodziejczaka na TikToku zbierają mnóstwo wyświetleń

FOT. MICHAŁ KOŁODZIEJCZAK/TIK TOK

Politycy na luzie

Michał Kołodziejczak przebierający kapustę, a w tle piosenka Lany Del Rey – 390 tys. wyświetleń na TikToku. Kołodziejczak zsiadający z motocykla na sejmowym podjeździe, układający włosy w lusterku w rytmie wakacyjnego hitu „L'Italiano" – ponad 560 tys. Kolejne nagrania z pola publikowane w mediach społecznościowych przez byłego wiceministra rolnictwa budzą ogromne zainteresowanie. Szczególnie te, na których uśmiechnięty Kołodziejczak po prostu pokazuje naturę i z nieskrywaną radością zachwala życie na wsi. – Jak już wyjeżdżam do Warszawy, bo się zbliża posiedzenie Sejmu, to zabieram ze sobą to, co mi w ogródku urosło. Cebula, no bo jak to bez cebuli. Mam rzodkiewkę, jest super rzodkiewka. Jest pietrucha, jest koper do ziemniaków, które też tutaj zabieram. Jest botwina i są piękne truskawki. To jedzie ze mną – opowiada na filmiku, który obejrzano ponad pół miliona razy. Film ze zrywaniem czereśni osiągnął ok. miliona wyświetleń, a materiał z jazdy traktorem ponad 800 tys.

TROCHĘ RADOŚCI

Lider Agrounii przyznał w rozmowie z portalem Plotek, że tworząc treści do mediów społecznościowych, chce dzielić się pozytywną energią i wywoływać uśmiech na twarzach internautów. Przyznaje, że zaskakuje go skala pozytywnych reakcji. – Jesteśmy bombardowani przez polityków strachem, zagrożeniem i podziałami. Mam tego dość. Ludziom należy się też trochę radości – stwierdził. – Chciałbym, żeby politycy pokazali swoją normalną twarz. Czasem, gdy przekraczają próg Sejmu, stają się bufonami albo próbują być kimś innym. To źle wpływa i na nich, i na odbiór naszej pracy – dodaje poseł KO. Kołodziejczak mówi, że sam prowadzi swoje profile, a jeszcze do niedawna zatrudniał specjalistów. – Dwa miesiące temu zwolniłem wszystkich ludzi odpowiedzialnych za komunikację i social media. Nauczyłem się nawet montować filmy. Mam jedną osobę, która czasem pomaga przy bardziej skomplikowanych materiałach, ale cała koncepcja jest moja – podkreśla.

Według byłego wiceszefa Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi „polityk powinien być przede wszystkim człowiekiem. Mam wrażenie, że kiedy człowiek zostaje politykiem, przestaje być człowiekiem. A przecież powinno być dokładnie odwrotnie". Z kolei w rozmowie z Polsat News Kołodziejczak powiedział: „W momencie, kiedy większość posłów, może nawet 90 proc., nosi kij w tyłku, myślę, że to potrzebne jest pokazanie normalności". Sam o sobie pisze na TikToku tak: „Przede wszystkim zadowolony z życia człowiek, rolnik, poseł na Sejm". W czerwcu ubiegłego roku Michał Kołodziejczak odszedł z rządu. – Czasem do jednego punktu są różne drogi dojścia. Okazuje się, że moja wizja jest nieco inna niż ministra Siekierskiego, też tempo prac. Co nie znaczy, że jedna czy druga wizja jest lepsza czy gorsza. Czasem po prostu warto pozwolić realizować swoją drogę tym, którym powierzone jest dane stanowisko. Ja zrealizowałem to wszystko, o czym niejednokrotnie rozmawiałem z premie-

eprasa.pl 72fac7a599

rem Tuskiem. Pomagałem, jak mogłem, dawałem tyle rad, ile mogłem. Często w rozmowach w cztery oczy, czasem przez media – wyjaśniał swoją decyzję.

GRZYBY, PSY I KONIE

Najbardziej znanym grzybiarzem wśród polityków (a i pewnie politykiem wśród grzybiarzy) jest z pewnością były wicepremier i minister gospodarki, obecnie prezes Izby Przemysłowo-Handlowej Polska-Azja Janusz Piechociński. Często dzieli się relacjami ze zbiorów, publikując zdjęcia koszy pełnych grzybów. „W niedzielę dobrze popadało, w poniedziałek poprawiło, w środę też. I??? Lecę na moje ulubione zagajniki brzozowe powiatu piaseczyńskiego, a tu ani śladu czegokolwiek przypominającego grzyba. A we śnie wracają marzenia" – żalił się Piechociński w lipcu. Były prezes PSL przekazuje swoim obserwatorom aktualizacje grzybowej sytuacji. „Uwaga, GRZYBOMIANIACY. Mam dobre wiadomości. Pojawiły się GRZYBY . W podwarszawskich zagajnikach brzozowych ładne koźlarze. Zamierzam wracać do domu z co najmniej 200 sztukami…" – ogłosił we wrześniu 2024 r. Piechociński publikuje też „raporty grzybowe": „Całotygodniowy raport grzybowy: z dnia na dzień coraz gorzej, coraz suszej – bez perspektywy na grzyby. 3-krotnie wyprawy i poniżej 10 szarych koźlarzy + 3 czerwone koźlarze. KATASTROFA". W innym wpisie na portalu X czytamy: „Kto rano wstaje, ten grzyby na koniec sezonu dostaje… czas 49 minut, miejsce zagajniki brzozowe powiatu piaseczyńskiego. Zbiór 32 czerwone koźlarze, ponad 50 zielonych gąsek. Darz Bór Grzybiarze Miast i Wsi". Janusz Piechociński ma nawet „grzybowe marzenia". „Nie każdy może, kiedy chce iść czy pojechać na grzyby. Moje niezrealizowane plany grzybowe ostatnich lat: Pireneje, Szwecja, Finlandia, zachodnia Syberia, Białoruś, Litwa, lasy Adobe – Kazachstan, a z krajowych zachodniopomorskie, podkarpackie, lubuskie. Ale spoko w dobrej formie zamierzam dożyć do minimum setki to nadrobię" – zapewnia. Polityk wystawił też wspólne grzybobranie na aukcję Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Była jedną z najpopularniejszych licytacji podczas 32. Finału WOŚP w 2024 r. Zwycięzca wylicytował wyprawę do mazowieckich lasów za kwotę 10 tys. złotych. Zebrane wtedy grzyby zabrał ze sobą.

Ciekawą pasją może pochwalić się także europoseł KO Andrzej Halicki, który prowadzi hodowlę psów rasy dog niemiecki. „Mój dziadek miał dwa dogi, wujek miał doga, inny wujek – z dalszej rodziny – też miał dwie dożyce. Sam w dzieciństwie miałem małego pieska, foksteriera – to był wybór rodziców ze względu na warunki mieszkaniowe" – opowiadał polityk w rozmowie z portalem weekend.gazeta.pl. Hobby dzieli z żoną. Eurodeputowany aktywnie prowadzi media społecznościowe poświęcone czworonogom. Pokazuje codzienne życie z tymi, imponujących rozmiarów, psami. Odpowiada na pytania dotyczące dogów. – Najważniejsze pytanie i najczęściej powtarzające się – czy dogi są agresywne? No, nie są. Dogi są bardzo łagodne, bardzo blisko człowieka, bardzo kochające. Mogą być w rodzinie, z dziećmi. Dog jest po prostu członkiem rodziny, o ile nie prowokuje się zachowań, które dla tak dużego psa nie są wskazane […]. Trzeba po prostu z nimi bardzo przyjacielsko, spokojnie, razem jak najwięcej przebywać, mówić, głaskać. A one będą bardzo, bardzo miłe i bardzo przyjazne – przekonuje Halicki. Polityk KO zaprezentował też zimowe ubieranie psów na spacer. – Ubieramy nasze piękności – derka, jaka piękna, dla najstarszej. To jest Afry derka. Tu, proszę, z takimi cekinami Arfa będzie szła. Główka wychodzi przez komin, tu mamy rzepy i pod brzuchem. Zapinamy od góry – prezentuje na jednym z TikToków. Internetowa działalność Andrzeja Halickiego cieszy się sporym zainteresowaniem. „Politycznie jesteśmy na dwóch biegunach, ale ma pan serce do psiaków, to pana bardzo podziwiam" – brzmi jeden z komentarzy.

Niezwykle popularnym hobby polityków jest sport, szczególnie bieganie. W kampanii biegał Karol Nawrocki (teraz prezentuje w mediach społecznościowych częściej obrazki z siłowni), premier Donald Tusk, europoseł PiS Waldemar Buda, poseł Marcin Józefaciuk (ultramaratończyk) oraz eurodeputowany KO Borys Budka (maratończyk). Z kolei wiceprezes PiS Mateusz Morawiecki dobrze gra w ping-ponga (jako uczeń trenował we wrocławskim klubie Burza i był ósmy w kraju). Poseł PiS Bartłomiej Wróblewski wspina się po górach, a na koncie ma niemały wyczyn – zdobycie Korony Ziemi. Niezależnie od barw politycznych chętnie chwalą się pasją na Instagramie czy Facebooku.

Na internetowych portalach społecznościowych nie zobaczymy pasji Marka Suskiego z PiS, za to w grudniu 2025 r. w Sejmie, dzięki pełniącemu jeszcze funkcję marszałka Szymonowi Hołowni, zorganizowano wystawę jego prac. Ekspozycja pt. „Konie i nie tylko" przedstawia wybrane obrazy, grafiki, karykatury i metaloplastykę związane z tymi zwierzętami. – Malarstwo łagodzi, bo przy tym człowiek się uspokaja. Polecam niektórym politykom, żeby sobie czasami coś spróbowali namalować, będzie spokojniej w Polsce – podkreślił w rozmowie z Polskim Radiem polityk PiS. Marek Suski wskazał, że szczególnie bliskie mu są techniki takie jak miniatura olejna, akwarela, monogramy i metaloplastyka. Marek Suski zaprezentował swoje obrazy i grafiki prezesowi Jarosławowi Kaczyńskiemu. Prezes PiS stwierdził, że Suski jest nie tylko utalentowany, lecz także niebywale wszechstronny. – Ta inna twarz tej prawej strony nawet bardzo twardych przedstawicieli, bo Marek jest politykiem bardzo twardym, została pokazana i to, to jest dobre – ocenił.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Sprostowanie

VFS Global nie jest firmą indyjską, lecz międzynarodowym holdingiem. Jest większościowo kontrolowana przez fundusz Blackstone, a do jej mniejszościowych akcjonariuszy należą m.in. Kuoni i Hugentobler Foundation, Temasek oraz Dubai Holdings. VFS Global prowadzi punkty przyjmowania wniosków wizowych w 168 krajach w imieniu 71 rządów. Działalność VFS Global w Rosji i na Białorusi stanowi część tej globalnej sieci i ogranicza się do administracyjnej obsługi wniosków wizowych. Ani komisja śledcza, ani prokuratura nie wykazały związku VFS Global z aferą wizową ani masowym sprowadzaniem migrantów do Polski.

w imieniu VFS Global:
r.pr. Andrzej Pietruszyński
Kancelaria Prawna Wypychowska,
Pietruszyński spółka jawna

eprasa.pl 72fac7a599

W cieniu imperium





Piotr Gociek

„Wróbel Galaktyki" to zbiór esejów o fantastyce i wywiadów z gwiazdami gatunku (m.in. Sheckley, Card, Carroll, Resnick, Martin)

Rzekł kiedyś śp. Lech Jęczmyk, jeszcze w latach 80. XX w., podczas dyskusji nad polską sytuacją geopolityczną i sytuacją naszej literatury: „Jak się ma imperium, to się jest Kiplingiem". Nie wiem, czy był to jego własny bon mot, czy też kogoś cytował (erudytą – jak wiadomo – był tęgim). Rozmowa odbywała się w kontekście odwiecznego sporu o to, jakie i wobec kogo obowiązki ma pisarz. Nieważne, czy poeta, czy fantasta.

Oczywiście można wybrać odpowiedź wymijającą i oświadczyć, że pisarz nie ma żadnych obowiązków wobec nikogo, byle zapisywał co mu w duszy gra, i byle czytelnik był zadowolony z lektury tych zapisków. I byłaby to prawda. Niejedyna. Bo choć pisanie to fach samotny, to pisarz jest także istotą społeczną.

Zatem z jednej strony bywa naczyniem, w które w niepojęty sposób jakaś nieuchwytna siła wyższa wlewa coś unikatowego, ale jednocześnie jest przecież dziecięciem swej epoki, swej ojczyzny, swego stanu społecznego, swego wychowania itd. I o tym, czy będzie zwierciadłem przechadzającym się po gościńcu, czy bajarzem, czy surowym nauczycielem albo i kaznodzieją w dużo większym stopniu decyduje nie fakt, czy owa nieuchwytna siła zwana geniuszem nawiązuje z nim bliższe lub dalsze relacje, ale właśnie splot owych wymienionych przeze mnie praprzyczyn.

Gdy ma się imperium, jest się więc Kiplingiem i można patrzeć na świat z perspektywy obywatela imperium, nad którym słońce nigdy nie zachodzi. Ale gdy żyje się w cieniu imperium, lub, co gorsza, pod jego butem, perspektywa jest zgoła inna. O czym świadczy doskonale także i fantastyka powstająca przez kilka dekad sowieckiej okupacji naszej części Europy. Podczas gdy na Zachodzie przez wszechświat wędrowali gwiezdni kupcy i powstawały gwiezdne handlowe faktorie,

eprasa.pl 72fac7a599

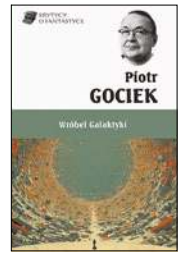


FOT. ADOBE STOCK

myśmy opisywali gwiezdne gułagi. Gdy Alfred Bester wołał buńczucznie „Gwiazdy moim przeznaczeniem!", Stanisław Lem odpowiadał „Powrotem z gwiazd", chyba najbardziej przejmującą polską antyutopią. Gdy George Lucas opowiadał o walce z bajkowym złem „w odległej galaktyce", myśmy – z pomocą Zajdla – zastanawiali się, czy tu, na Ziemi, jest możliwe „Wyjście z cienia" rzucanego przez banalne, codzienne zło.

Rzecz jasna, upraszczam, bo fantastyka polska jest dużo bogatsza, co nie zmienia faktu, że przez 250 lat jej rozwoju zaznała pełnej wolności jedynie przez… no właśnie, jak długo? Pierwsza polska powieść fantastyczna, czyli „Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki", ukazała się 15 marca 1776 r., zatem już cztery lata po pierwszym rozbiorze Rzeczypospolitej. Oznacza to, że jedynie 20-lecie międzywojenne oraz okres po 1989 r. to czas, gdy obce panowanie nie definiowało kształtu polskiej kultury. Zatem i literatury. Zatem i fantastyki. Spójrzmy zresztą na treść powiastki bp. Krasickiego. Jej bohater trafia do utopijnej krainy Nipu, by przejść, hm… dobrym słowem byłaby reedukacja. Nie od dziś powtarzam: strzeżmy się naprawiaczy światów i strzeżmy się tych, którzy szykują pierekowkę dusz.

Wszystko to oznacza, że dyskurs postkolonialny czy postimperialny musi być jednym z kluczy do zrozumienia także i fantastyki polskiej (a także tego, jak odbieraliśmy fantastykę zachodnią wydawaną w Polsce). To ciśnienie było po prostu zbyt potężne, by je ominąć i udawać, że jest się Kiplingiem.



PIOTR GOCIEK „WRÓBEL GALAKTYKI" STALKER BOOKS 2026

DUCH FANTASTÓW

Książka ta nie jest jednak historią polskiej fantastyki pod ciśnieniem, lecz zbiorem luźnych notatek z rozmaitych lektur. Zaczynam ją jednak od spojrzenia na Wschód. Zatem o dyskursie postkolonialnym wspomnieć trzeba.

Trzeźwo spojrzeć trzeba więc nie tylko na to, jak cudze rządy wpływały na stan ducha fantastów i ich dzieła, lecz także na to, jak w dziedzinie fantastyki wyglądały oddziaływania między imperium a kolonią, między centrum a peryferiami, między Moskwą a Warszawą. Takie trzeźwe spojrzenie nie jest łatwe.

Sam należę do pokolenia, którego wyobraźnię i gust literacki w dużym stopniu ukształtowały przekłady z rosyjskiego. Choć powinniśmy raczej używać terminu „z radzieckiego", bo przecież literatura fantastyczna w Związku Sowieckim była jeszcze mniej wolna (i mniej rosyjska) niż ta wydawana w PRL, a ta wydawana w PRL wolna nie była.

„Powie ktoś, że w tej balladzie intencja nieczysta / Jam po prostu jest rusofil antykomunista" – śpiewał przed laty Jacek Kaczmarski w piosence „Rehabilitacja komunistów". Gdy rozpadł się Związek Sowiecki, zdawało się, że i problem indoktrynacji poprzez fantastykę radziecką przestał istnieć. Skoro komunizmu już nie było, to można było cieszyć się prawdziwą kulturą rosyjską.

Och, jakże żałosne były to złudzenia. A nimi żyliśmy po przełomie. Zdawało się, że to, co carsko-imperialne w dziejach Rosji zostało nieodwracalnie pogrzebane, że komunizm tamtą „białą", antypolską Rosję usunął bezpowrotnie z mapy świata. Przecież przez bardzo wielu komunizm postrzegany był bardziej jako zniewolenie ideologiczne, a nie zagrożenie narodowego bytu przez wielkoruski imperializm. Stąd popularność tezy o tym, że wszyscyśmy jednako ofiarami komunizmu: Polacy, Czesi, Węgrzy, Rumuni, Kubańczycy, Chińczycy. I Rosjanie też. I idące za tym przeświadczenie, że nas wspólna niedola łączy. Że wspólnie pobieramy lekcje ku wspólnej lepszej przyszłości.

Gdy Kaczmarski przedstawiał się jako „rusofil antykomunista", trwał jeszcze PRL i trwała sowiecka dominacja nad Europą Środkową. Ale koniec imperium zła był już blisko. Zdawało się, że kiedy wielkie komunistyczne więzienie ludów runie, to związani wspólną tragiczną przeszłością budować będziemy lepszy świat, wolny i od carskiej rusyfikacji, i od komunistycznej indoktrynacji. To była wielka nadzieja na przyszłość, której oczywiście nie podzielali ci, co klucza do historii Rosji szukali raczej w dziełach takich jak „Od białego do czerwonego caratu" Jana Kucharzewskiego, a nie w szlachetnych enuncjacjach sowieckich dysydentów.

ZAŚLEPIENIE

Po rozpadzie bloku wschodniego i po rozwiązaniu Związku Sowieckiego okazało się, że życie złudzeniem o wielkiej przemianie rosyjskiej duszy przynosi fatalne skutki.

Zaczęło się od zaślepienia. Od założenia, że skoro w Moskwie stawiają już restauracje McDonald's, ogłaszają wolne wybory i przyjmują zachodnich doradców gospodarczych, to wszystko potoczy się już dalej tak, jak w europejskich krajach wyzwolonych spod sowieckiej dominacji. Że taki jest naturalny kierunek zmian – ku wolności, kapitalizmowi, demokracji. I że zawrócić się nie da. Żyliśmy w najlepszym z możliwych

eprasa.pl 72fac7a599

światów, uczył Francis Fukuyama w „Końcu historii". Pozostało robić swoje i czekać, aż inni też nadążą. Ci z Moskwy również. I dosiądą się do ekspresu z napisem „Ostateczny triumf demokracji liberalnej".

W latach 90. i ja odwracałem wzrok od Wschodu, przekonany, że wszystko się tam jakoś ułoży. No bo dlaczego miałoby się nie ułożyć? Tymczasem tyle było innych rzeczy do przeczytania i obejrzenia, po roku 1989 szeroką falą płynęły do nas książki i filmy z Zachodu. Zamiast szlifować rosyjski, trzeba się było jak najszybciej podciągnąć w angielskim.

Pierwsze otrzeźwienie dopadło mnie znienacka w miejscu, gdzie w ogóle się go nie spodziewałem. Było to w Cannes, podczas festiwalu filmowego w 1999 r., skąd nadawałem codzienne korespondencje jako filmowy reporter radia RMF FM. Wśród filmów pokazywanych poza konkursem głównym znalazł się wtedy najnowszy film Nikity Michałkowa „Cyrulik syberyjski".

Na ekranie zobaczyłem to wszystko, co uważałem za dawno i nieodwracalnie minione: pokaz imperialnej pychy pływający w mętnym sosie rozważań na temat wyjątkowości rosyjskiej duszy przeciwstawionej zepsuciu Zachodu.

Przypomnę: był rok 1999 (do rosyjskich kin ten film trafił już w roku 1998 i był wielkim przebojem), na Kremlu zasiadał wciąż jeszcze Borys Jelcyn i nikomu jeszcze nie śniło się, że zastępował go będzie Władimir Putin. Ani że płomień rosyjskiego imperializmu wybuchnie wkrótce z tak wielką siłą. Tymczasem ja już ujrzałem na ekranie nadchodzącą przyszłość.

W tym quasihistorycznym dramacie Michałkowa, w tym nibymelodramacie o romansie Amerykanki i carskiego kadeta, dostaliśmy w istocie wykład o świętości Rusi, której mądrość i dziedzictwo stają się obiektem ataku z Zachodu. Symbolem zgnilizny i zagrożenia jest Amerykanka, która okazuje się słaba i kłamliwa (i oczywiście porzuci miłość dla osobistych korzyści) oraz – co ważniejsze – zachodni wynalazca, który chce w Moskwie sprzedawać nowoczesne gigantyczne machiny do wyrębu lasu. Michałkow buduje doskonale znane z późniejszej propagandy imperialnej Putina przeciwstawienia. „Natura – mądrość – wieś – Rosja" przeciwstawione są „Maszynie – kłamstwu – cywilizacji - Zachodowi". Sam Michałkow zagrał w tym filmie rolę cara Aleksandra III, przedstawionego – dosłownie – jako zbawca imperium na białym koniu.

Wracam często w myślach do tamtej chwili, gdy natykam się w literaturze przedmiotu na wywody o tym, jak Putin odmienił Rosję, wskrzeszając jej imperialne ambicje. Otóż prawda jest głębsza: było to sprzężenie zwrotne. Entuzjazm, z którym Michałkow kręcił „Cyrulika syberyjskiego" oraz z jakim przyjęli ten film rosyjscy widzowie, przypomina, że ówczesna Rosja już wtedy czekała na kogoś takiego jak Putin. I nie byli to tylko zwykli, tęskniący za „kimś, kto zrobi porządek" obywatele. Tego powstania z kolan oczekiwała także duża część rosyjskiej elity intelektualnej, której opinii wyrazicielem był właśnie Nikita Michałkow. Krótko mówiąc, sięgając do słów Stefana Kisielewskiego, kagebista na Kremlu „to nie kryzys, to rezultat".

Geopolityka i polityka to zbyt ważne sprawy, by nie zajmowała się nimi fantastyka

Od tamtych chwil uważnie śledziłem to, co działo się w rosyjskiej polityce, kulturze i popkulturze – a więc także i w fantastyce. A nie działo się dobrze. Gdy ma się imperium, to jest się Kiplingiem. Gdy żyje się w cieniu imperium, trzeba zawsze być gotowym do obrony – i zawsze bić na alarm.

W Moskwie tymczasem wraz z potęgą Putina rosła w siłę fantastyka obrzydliwa, fantastyka imperialna, fantastyka rasistowska i – nie waham się użyć tego słowa – ludobójcza. O niektórych jej przejawach wspominam na kartach tej książki.

Są takie chwile, kiedy myślę: „Nie, po prostu nigdy się nie zrozumiemy, nigdy". Bo jeżeli nawet przyjazny ponoć Polsce i demokracji Kiryl Bułyczow w swojej książce „Pasierbica epoki" twierdzi, że Ferdynand Antoni Ossendowski to pisarz rosyjski – cóż, to o czym właściwie mielibyśmy rozmawiać? Ossendowski, powtórzę. Przed wojną drugi najpopularniejszy polski pisarz na świecie (po Henryku Sienkiewiczu).

Ukułem zatem frazę: „W Rosji nawet przeciwnicy Imperium są zwolennikami Imperium".

Nie dlatego, że „jak się ma imperium, to jest się Kiplingiem". Tylko dlatego, że „jak się ma imperium, to się ma imperium".

Jak sądzicie, gdyby miasto Wielki Guslar istniało naprawdę, a nie tylko w wyobraźni Bułyczowa, to gdzie byliby dziś jego mieszkańcy? Bo ja obawiam się, że na froncie, w ramach „specjalnej operacji wojskowej". Czy bardzo by protestowali? Myślę, że nie bardzo.

METODA DEKODOWANIA ŚWIATA

Fantaści mogą mówić, że nie interesują się polityką. Ale polityka interesuje się i fantastami, i fantastyką. Na szczęście sytuacja międzynarodowa jest dziś lepsza niż w połowie XX w., gdy Gustaw Herling-Grudziński pisał, że „losy Europy Środkowo-Wschodniej zależą niemal wyłącznie od zmian i przeobrażeń w samej Rosji". Ale wciąż zależą od sytuacji w Rosji w zbyt dużym stopniu, by nie spoglądać w tamtą stronę.

Piszę o tym wszystkim dlatego, żeby wskazać, że geopolityka i polityka to zbyt ważne sprawy, by nie zajmowała się nimi fantastyka. Na szczęście zajmuje się – choć nie tak często, jak by mogła.

Kocham fantastykę jako język opowiadania świata, była moją nauczycielką literatury, jest moim ulubionym gatunkiem do pisania (zaraz po wierszach). Nic więc dziwnego, że jest dla mnie także jedną z metod dekodowania współczesnego świata. W końcu jak pisał Sławomir Mrożek: „Jutro to dziś, tylko że jutro". A William Gibson oceniał: „Przyszłość już nadeszła – tylko nie jest równomiernie dystrybuowana". Dodam więc swoje: żeby zrozumieć jutro, trzeba zrozumieć dziś. Nic więc dziwnego, że w moich podróżach po fantastyce głównie rozglądam się dookoła i wstecz, zamiast zerkać tylko naprzód. Tak jest w tej książce moich rozproszonych uwag na temat literatury fantastycznej, tak będzie i w kolejnych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Fragment wstępu do książki Piotra Goćka „Wróbel Galaktyki", śródtytuły pochodzą od redakcji. Tom do kupienia wyłącznie w księgarni internetowej wydawcy: Esef.com.pl.

eprasa.pl 72fac7a599

Meblowanie głów



Krzysztof Masłoń

Ponad 400 lat temu za sprawą Miguela de Cervantesa Saavedry narodziła się nowożytna powieść. Jej twórca – żołnierz i poeta, banita skazany za pojedynkowanie się, wieloletni niewolnik w Algierze, intendent i poborca podatkowy, więzień, kobieciarz i hazardzista, wynalazł – jak powiada Filip Łobodziński w szkicu „Czytelniku Błędny…", poprzedzającym przekład „Przemyślnego szlachcica Don Kichota z Manczy" dokonany przez Wojciecha Charchalisa – „coś bardzo dużego, co potrafi się stać najbardziej intymnym, zaufanym przyjacielem, dostawcą snów i realnych przeżyć, coś, co potrafi podjudzać do dalszych czytelniczych wypraw, otwierać nowe wszechświaty, umeblować głowę – a wszystko to za pomocą słów zestrojonych w Naturalnie, próżno szukać „Don Kichota" na listach lektur szkolnych. Ta historia szlachcica z La Manczy, który postanowił zostać błędnym rycerzem, wcielając w życie średniowieczne ideały, nie miała u nas szczęścia do literaturoznawstwa w wydaniu szkolnym. W efekcie wszyscy znają Don Kichota z imienia, słyszeli o jego giermku Sancho Pansie i o damie serca szalonego rycerza – Dulcynei z Toboso, w rzeczywistości prostej wieśniaczce. Ten i ów kojarzy nawet konia Don Kichota – Rosynanta. Ale żeby wczytywać się w utwór Cervantesa, co to, to nie.

Nad tym, że wychudzona postać błędnego rycerza przygniotła z czasem osobę jego twórcy, nie ma nawet sensu się rozwodzić. Podobnie jak nad tym, że epizodem w gruncie rzeczy jest walka Don Kichota z wiatrakami, a to ów epizod stał się najważniejszym fragmentem powieści. Wojciech Charchalis przesadza zapewne, dowodząc, że przynajmniej w Polsce „Don Kichot" skazany został na nieczytanie i po części za sprawą niedoskonałych przekładów kurzy się na półkach, „ciesząc się sławą książki – w zależności od osoby – genialnej lub infantylnej, ale na pewno nie takiej, którą się czytuje". To już, niestety, przypadłość wszelkiej klasyki, tyle że w tym wypadku rzeczywiście niemało złego zrobiły „spolszczenia" powieści dla młodzieży, a i nie za mądre filmiki z importu w rodzaju kreskówki nadawanej na dobranoc przez Telewizję Polską w latach 80. zeszłego wieku.

Nasi mędrcy od układania coraz bardziej kurczących się list książek do obowiązkowej lub choćby tylko zalecanej w szkole lektury mogliby jednak wziąć pod uwagę wyniki wszystkich zestawień najwybitniejszych tytułów w dziejach literatury, zamiast wdzięczyć się do uczniów, dopytując, jakie to książki chcieliby „przerabiać" na lekcjach polskiego. Oczywiście teoretycznie garnąca się do wiedzy młódź najchętniej nie czytałaby niczego, stąd też wysiłki Nowackiej Barbary idące w tym samym kierunku mogą liczyć na poparcie, niech będzie, że umiarkowane.

Faktem jest, że „Przemyślny szlachcic Don Kichot z Manczy" to są himalaje literatury i bez znajomości takich dzieł jak ta historia błędnego rycerza, któremu karczma wydaje się zamkiem, a wiatrak olbrzymem, pozostajemy z naszą nauką o literaturze w ciemnym dole. A znaczenie tej wydanej w 1605 r. książki kapitalnie ujął Milan Kundera w „Sztuce powieści": „Kiedy Bóg opuszczał z wolna miejsce, z którego sprawował niegdyś władzę nad wszechświatem i jego porządkiem wartości, oddzielając dobro od zła i nadając sens każdej rzeczy, Don Kichot wyszedł ze swego domu i nie umiał już świata rozpoznać. Jakoż świat, pod nieobecność Najwyższego Sędziego, objawił się nagle w przerażającej wieloznaczności; boska Prawda, prawda jedyna, rozpadła się na setki prawd względnych, którymi podzielili się ludzie. Tak oto narodził się świat Czasów Nowożytnych, a wraz z nim, na jego wzór i obraz, powstała powieść".

Wiem, wiem, że już setki razy ogłaszano koniec powieści, ale jest z nim analogicznie jak z końcem historii. To tylko pobożne życzenie tych, dla których świata jest za mało, jak dla Bonda, czy za dużo, jak dla Olgi Tokarczuk, która tak właśnie zatytułowała swoją najnowszą i, podobno, ostatnią powieść „Świata jest za dużo".

Nie, świata jest w sam raz. Problem mamy jedynie z wiatrakami, o czym przekonująco pół wieku temu tak pisał Wojciech Młynarski w „Balladzie o późnej starości Don Kichota":

Don Kichot z Manczy, jak się snadnie
Przekona ten, co rusza głową,
Nie umiał się zestarzeć ładnie.
Nie chciał spierniczeć sielankowo.



Don Kichot na rysunku Zygmunta Waliszewskiego

FOT. DOMENA PUBLICZNA

W związku z powyższym gapił się bez końca na stojący na wzgórzu wiatrak, którego widok zachęcał go, by raz jeszcze wskoczyć na Rosynanta, pochylić kopię i:

Bić w te skrzydła dwa, te skrzydła, co
Bezczelnie w niebo sterczą
I wciąż się zda, wciąż ci się zda,
Że śmieją się szyderczo.

Niestety, okrutny czas nie jest łaskawy dla starzejących się rycerzy, co skłoniło autora ballady do sformułowania następującego przesłania:

Wielka jest Twoja menażeria,
Lecz proszę, dojrzyj nas o Panie,
Gdy nam już po donkiszoteriach,
Przyjdzie spierniczeć i skapcanieć.

Spraw wtedy, boś Ty mądry sternik,
By nas nie trzęsła szajba taka,
By mógł spokojnie każdy piernik,
Obok swojego przejść wiatraka.

Za sprawą Pauliny Hennig-Kloski i kilku jeszcze prominentnych osób wiatraki wywołują w niejednym z nas uczucie podobne do tego, jakim darzył je Don Kichot. A szajba ta, jak się zdaje, trzęsie już chyba całym narodem. Tym bardziej przydałaby się nam wszystkim interwencja Opatrzności. Na razie pocieszenie znaleźć możemy w wielkiej księdze genialnego Hiszpana, tak naprawdę traktującej o pragnieniu dobra i sprawiedliwości, i o rozczarowaniu, jako że są one nieosiągalne. Niestety. ©℗

eprasa.pl 72fac7a599



DANNY MOLOSHOK/INVISION/AP/EAST NEWS



PIOTR GOCIEK

POŻEGNANIE

Od Żuławskiego po dinozaury

Pierwszy raz zwróciłem na niego uwagę, oglądając „Fortepian" Jane Campion, wcześniej kojarzył mi się głównie z rozmaitej jakości filmami rozrywkowymi, od „Martwej ciszy", przeboju kaset VHS, po „Polowanie na Czerwony Październik" widziany w kinie. Ale wkrótce odkryłem też jego rolę w „Opętaniu" Andrzeja Żuławskiego, która utwierdziła mnie w przekonaniu, że to aktor nietuzinkowy, kryjący więcej możliwości, niż się wydaje.

Światową sławę przyniósł mu „Park Jurajski" Spielberga – dla zdecydowanej większości widzów Sam Neill to dr Alan Grant, naukowiec od dinozaurów. Takimi rolami przechodzi się do historii kina nie dlatego, że to wybitne kreacje, ale dlatego, że takie filmy na własnych warunkach stają się klasyką.

Pracowity, charyzmatyczny, lubiany, charakterystyczny. Zdawał się stworzony do grania roli porządnych gości, ale częścią jego uroku było to, że gdy lekko przekrzywił głowę i przymrużył oczy, nagle widziało się, że może w nim drzemać mrok. Taki aktor to skarb. Jego kariera trwała pół wieku; zaczynał w połowie lat 70. od niskobudżetowych produkcji nowozelandzkich. Jego ostatnim dokonaniem na małym ekranie była rola w serialu Netflixa „Dzikość", gdzie błyszczeli wraz z Erikiem Baną. Ostatnie role kinowe dopiero ujrzymy, gdy w przyszłym roku wejdą na ekrany filmy „Godzilla x Kong: Supernova" oraz „The Last Resort".

„Nigdy nie myślałem, że będę aktorem" – mówił w wywiadzie z 2023 r., wspominając życie, które sam określał jako błogosławione – lepsze, niż mógł sobie wymarzyć. Od roku 2022 walczył z chłoniakiem. „To bój mego życia" – wyznawał. Nie dał się, pracował. Na ekranie nigdy nie szarżował, należał do tego rzadkiego typu aktorów, którzy rozumieją, że mniej znaczy więcej, że to, co pozostaje niedopowiedziane jest bardziej intrygujące lub przerażające od tego, co się wykrzyczy. Jedni będą mieli go w pamięci dzięki roli kard. Thomasa Wolseya w „Tudorach", inni dzięki postaci mjr. Chestera Campbella w „Peaky Blinders". Ja bardzo cenię jego kreację w zapomnianym filmie Johna Carpentera „W paszczy szaleństwa". Każdy znajdzie coś dla siebie: Sam Neill zagrał role w setce filmów i niemal 50 produkcjach telewizyjnych. Zawsze miał do siebie dystans, więc pewnie chciałby, żebyśmy zamiast się smucić – cieszyli się tym, co pozostawił. Zmarł 13 lipca 2026 r. ©℗

GRA TYGODNIA: „ASSASSIN'S CREED BLACK FLAG RESYNCED"

Słodko-gorzka to premiera, ponieważ najlepszy „Assassin's Creed" ostatnich lat to „Assassin's Creed" sprzed 13 lat. Odświeżony „Black Flag" nie tylko robi wrażenie pod względem wizualnym, mnóstwo mniejszych i większych (w tym usunięcie zbędnego, rozpraszającego wątku współczesnego) zmian sprawia, że gra się w to dziś bez bólu zębów. A nawet ze szczerym uśmiechem, bo fabularnie to jedna z lepszych odsłon serii, a bitwy morskie robią dziś jeszcze lepsze wrażenie. ©℗



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** akcji, TPP
- **Platforma:** PS5, XSX, PC
- **Producent, wydawca:** Ubisoft

eprasa.pl 72fac7a599

Jak zabić NATO?

prime video



★★★☆☆☆

REŻ. ILIA NAJSZULLER
„SOJUSZNICY” („HEADS OF STATE”)
USA 2025

wyst. John Cena, Idris Elba, Priyanka Chopra Jonas

Zamknijmy oczy i wyobraźmy sobie amerykańskiego prezydenta w typie Reagana: byłego aktora, lecz nie atencjusza. Dajmy mu do towarzystwa premiera Wielkiej Brytanii, który rządzi od sześciu lat, nie obiecuje gruszek na wierzbie, jednak szanują go nawet przeciwnicy. Mało? W porządku – dorzucam do puli globalny system inwigilacji, przy którym Pegasus jest zabawką dla przedszkolaków, prawdziwie niezależnego dziennikarza, superagentkę sprawniejszą fizycznie od Bonda i Sojusz Północnoatlantycki znajdujący się na krawędzi rozpadu (to ostatnie jest najłatwiejsze). Teraz już bez napinki możemy obejrzeć „Sojuszników” – komedię udającą dziarskiego akcyjniaka. W drodze z Londynu do Triestu bohaterowie zahaczają o zapyziałą Warszawę: pod filarem Mostu Gdańskiego mieści się jednoosobowa placówka CIA. Narzekać nie warto, gdyż Białoruś została pokazana w jeszcze gorszym świetle, jako kraina pijaków w dresach, atakujących cudzoziemców sierpem i młotem.

Fabułę napędza pomysł rodem z „Obywateli prezydentów”. Dwaj zwaśnieni na co dzień politycy muszą zawrzeć rozejm, by wspólnie ratować świat przed chaosem, w który zamierza go wepchnąć rosyjski handlarz bronią. Pierwsza scena masakry w sosie pomidorowym budzi pewne nadzieje, lecz z każdą kolejną minutą intryga coraz bardziej grzęźnie w fabularnych kliszach. „Sojuszników” należałoby skrócić o jakieś pół godziny, całkiem zrezygnować z wątku melodramatycznego tudzież epatowania prostodusznością. Szczęśliwie zdarzają się przebłyski, uroczy epizod zalicza Quaid junior. Elba wbrew oczekiwaniom nie zjada aktorsko Ceny (byłego wrestlera) na śniadanie. Czyżby Schwarzenegger doczekał się w końcu godnego następcy?

Lider z kwadratową szczęką, który stoczyłby i wygrałby wojnę ze złem, panoszącym się w świecie, jest postacią ze świata baśni. Cieszmy się więc tym, co mamy: deklarowaną niezniszczalnością Air Force One i prezydenckiej limuzyny zwanej Bestią. W obliczu nadciągającej fali upałów „Sojusznicy” jawią się propozycją wartą rozważenia. Zwłaszcza że twórcy tego filmu są zdolni do samokrytyki. Przyznają się do błędu, popełnionego w tytule: w Wielkiej Brytanii głową państwa jest król. ©℗

Wiesław Chełminiak

LATO Z SIURPRYZĄ

Memento dla wyjeżdżających na wakacje: w bagażu zawsze znajdzie się miejsce na wasze problemy. Ta zasada dotyczy nawet lekkoduchów z Italii. Gdy dwie zaprzyjaźnione pary decydują się naładować akumulatory w pięknym jak sen Tangerze, z góry wiadomo, że będą z tego kłopoty. Związek Anny i Paola znajduje się w fazie terminalnej. Carlo, mądrala wykładający filozofię moralności (!), nie zamierza zostawić Elisy, jednak pokusa ucieleśniona w osobie bezpruderyjnej studentki okazuje się nie do odparcia. Kochanka uwielbia zaś „nagłe zwroty akcji”. Radzę oglądać uważnie, fabuła zawiera bowiem zwiastuny przyszłych wydarzeń. Wnioski? Włoszki to wariatki, a Włosi w kryzysowych momentach biją rekordy impotencji. Podobieństwo charakterów i sytuacji do spotykanych pod inną szerokością geograficzną jest całkowicie przypadkowe. ©℗



KINO

★★★★☆☆

REŻ. GABRIELE MUCCINO
„O CZYM SOBIE NIE MÓWIMY”
WŁOCHY 2026

wyst. Stefano Accorsi, Miriam Leone, Claudio Santamaria

DO ZOBACZENIA

Elegancja w cieniu PRL



RADOSŁAW WOJTAS



FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Kolejna odsłona dokonań „Mody Polskiej” prezentowana przez Muzeum Narodowe w Krakowie. Na wystawie brylują prace trzech wybitnych twórców: Kaliny Paroll, Magdy Ignar oraz Jerzego Antkowiaka.

Paroll zachwyca wirtuozerią i szacunkiem do tradycyjnego rzemiosła. Jej jedwabne kreacje, współtworzone z legendarnymi malarniami w Milanówku – jak choćby suknia „Motyl”, wprost inspirowana witrażami Wyspiańskiego – stanowią bezsprzeczny dowód, że nawet w epoce słusznie minionej potrafiliśmy kreować piękno na iście światowym poziomie. Magda Ignar serwuje klasyczną elegancję z odrobiną kontrolowanej prowokacji. Jej czarna, welurowa suknia, z pozoru ugrzeczniona i zapięta pod szyję, figlarnie odsłaniała nieco zbyt wiele jak na surowe standardy socjalistycznej moralności. I wreszcie projekty Antkowiaka. Oprócz awangardy z lat 90. znajdziemy jego podszytą wisielczym humorem odpowiedź na gospodarczy absurd lat 80. – wielkie, ocieplane spódnice. Na ekspozycji nie mogło, rzecz jasna, zabraknąć słynnego płaszcza z „Mody Polskiej” – ówczesnego Świętego Graala polskich elegantek. ©℗

GDZIE? ***Kamienica Szołayskich***
KIEDY? ***do czerwca 2027 r.***

eprasa.pl 72fac7a599



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Potęga smaku

Komisarz Salvo Montalbano z naprawdę nieistniejącej sycylijskiej Vigaty, bohater książek zmarłego siedem lat temu włoskiego pisarza Andrei Camilleriego, to postać wyjątkowa. Właśnie z niejakim ukontentowaniem odłożyłem na półkę po przeczytaniu wydany przez Noir sur Blanc 24. kryminał tego autora z Montalbano w roli głównej – powstałe w 2016 r. „Ostatnie cięcie".

Tym razem komisarzowi przychodzi zmierzyć się z zagadką śmierci właścicielki miejscowego krawieckiego atelier, zadźganej nożycami w swoim miejscu pracy. Naturalnie, do czego już przyzwyczaili się czytelnicy serii, odrzuca on wszystkie nasuwające się hipotezy wskazujące na morderstwo w afekcie i powoli dochodzi do wyjaśnienia tajemnicy mającej swoje źródła w odległej, zdawałoby się, przeszłości i bynajmniej nie na Sycylii, ale w innym rejonie Italii. Przy okazji znajduje powody do takich oto przemyśleń: „Jakim cudem te zaawansowane technologie, którymi się dzisiaj dysponuje, a do których kiedyś tylko James Bond miał dostęp, zamiast ułatwiać dochodzenia, tylko je komplikują? Z policją jest jak z medycyną: funkcjonariusze utracili intuicję i biernie przyjmują naukowe wyniki, tak jak lekarze utracili zmysł diagnostyczny i zawierzyli jedynie analizom". Do tego wszystkiego dzieje się to „w kraju, gdzie każdy uważa się za policjanta, lekarza sądowego, sędziego i prokuratora, stając po jednej albo po drugiej stronie z zapalczywością równą kibicom, którzy udają się na mecz piłki nożnej".

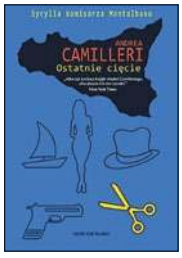
A Sycylia zmaga się właśnie z inwazją uchodźców, codziennie przybywających na wyspę. W tej kwestii Montalbano jest poprawny politycznie, oburzając się, że „łodzie uginają się od biednych uchodźców, którzy w większości są wyznania islamskiego, i jeśli nie zaczniemy odróżniać muzułmanów od bojowników ISIS, to tylko przyczynimy się do pogłębiania dezinformacji oraz do podsycania paniki i wrogości, na co właśnie liczą terroryści". Zauważa jednak, że podczas gdy „nasze ojczyźniane pudła pękają w szwach od tych nieszczęśników", „w Unii Europejskiej nic, tylko debatują nad rozwiązaniem kwestii nielegalnej migracji podczas bankietów, przy suto zastawionym stole, na którym królują nasze ryby".

Ta wzmianka o rybach nie powinna dziwić. Komisarz jest smakoszem, uwielbia m.in. solone barweny i suszone dorsze, zresztą zachwycają go i inne dania, w zdecydowanej większości proste i wywodzące się z kuchni ludowej, a to jakieś pitaggio z bobu, grochu i karczochów, a to canicciola – makaron z kapustą i ziemniakami, to znów zwykłe spaghetti z mulami. Wszystko to wprawia go w zachwyt, pewnie dlatego, że sam potrafiłby jedynie usmażyć sobie jajko i zjeść je z chlebem i serem. Dlatego wielce poważa Enza, właściciela trattorii, w której spędza rzadkie, niestety, wolne chwile, i Adelinę przygotowującą dla niego domowe posiłki. Nie żadne wyszukane potrawy, a skądże! Ale jakąż wspaniałością okazuje się np. zwykła zapiekanka ryżowa, zwłaszcza że Bóg jeden wie, od jak dawna jej nie jadł. Nic dziwnego, że „nawet nie nakrył do stołu, rozłożył tylko na ceracie dużą serwetkę, na niej postawił szklankę i butelkę wina, z szuflady wyjął widelec i rzucił się na zapiekankę, nie wyciągając jej z blachy.

Udało mu się dokonać niewielkiego cudu, czyli nie dopuścić do świadomości żadnej myśli. Jego mózg przypominał czarną tablicę. Pojawiały się na niej jedynie wyrazy podziwu dla smaku, który z ust rozlewał się po całym ciele, aż do palców u stóp i z powrotem".

A na spacerach nad morzem, na których spala kalorie, miewa okazję, by porozmawiać sobie nad morzem, z dajmy na to, napotkanym krabem, którego pyta, co myśli o Europie? Krab wprawdzie nie wypowiada się w tej kwestii, za to komisarz ma okazję się rozwinąć: „Ja myślę – orzekł – że gdy już urzeczywistniliśmy wspaniały sen o zjednoczonej Europie, zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, żeby zniszczyć ją od podstaw. Spieprzyliśmy historię, politykę, a nawet gospodarkę. Jedyne, czego się nie tknęliśmy, to idea pokoju. Bo wyżynaliśmy [błąd: w tym znaczeniu obowiązkowe jest „rz" – przyp. K.M.] się nawzajem przez stulecia i mieliśmy już tego dość. Zdążyliśmy jednak zapomnieć, jak to było, dlatego wykręcając się uchodźcami, wróciliśmy do granic, starych i tych nowych z drutu kolczastego. Mówią, że wśród uchodźców kryją się terroryści, zamiast powiedzieć, że ci nieszczęśnicy właśnie przed terrorystami uciekają".

Powiedzieć, że Andrea Camilleri w kwestii uchodźców prezentował poglądy szlachetne może, ale mocno oderwane od rzeczywistości, to nic nie powiedzieć. I że „Ostatnie cięcie" na mojej prywatnej liście książkowych przebojów sytuuje się niżej „Kształtu wody" czy „Wycieczki do Tindari" to też prawda. W sumie to jednak niezła lektura. Wróć: smakowita. ©℗



★★★★★★

ANDREA CAMILLERI „OSTATNIE CIĘCIE"
NOIR SUR BLANC, WARSZAWA 2026

eprasa.pl 72fac7a599



PIOTR GOCIEK

POŻEGNANIE

Tadeusz Baranowski (1944–2026)

Trzech nauczycieli humoru miałem w dzieciństwie, gdy rozmiłowałem się w komiksach. Henryk Jerzy Chmielewski, autor „Tytusa, Romka i A'Tomka"; Janusz Christa, twórca „Kajka i Kokosza", i Tadeusz Baranowski, którego komiksy ukazywały się najrzadziej, więc były najbardziej wyczekiwane. Baranowski zmarł 7 lipca. Straciliśmy ostatniego z wielkich – twórcę, który wraz z dwoma wymienionymi już rysownikami wychował całe pokolenia czytelników.

Kreska Baranowskiego była niezrównana: oryginalna i unikatowa, nie było i nie ma drugiego takiego rysownika. Równie unikatowe było jego poczucie humoru: surrealistyczne, oparte na zaskakujących grach językowych. Ale przecież humor sytuacyjny także był w jego komiksach rozgrywany perfekcyjnie. Fani twórczości Baranowskiego do dziś porozumiewają się cytatami z jego komiksów: „Ależ wodzu, co wódz", „Czemu się śmiejesz, smutny zwierzaku", „Może jestem powolny, ale jak się rozkręcę", „Słoń może zasłonić fortepian, ale czy fortepian może słonia zafortepianić" itd.

Mieliśmy w osobie Baranowskiego swojego Terry'ego Pratchetta, tyle że nieskażonego pesymizmem i mizantropią, które cechowały brytyjskiego humorystę. „Na co dybie w wielorybie czubek nosa Eskimosa", „Skąd się bierze woda sodowa", „W pustyni i w paszczy", „Antresolka profesorka Nerwosolka" – lista klasycznych tytułów Baranowskiego jest długa. A przecież były jeszcze grafika książkowa i ilustracja prasowa. Ostatnie dekady to natomiast powrót Baranowskiego do pierwszej wielkiej pasji, czyli malarstwa. Był wszak absolwentem Wydziału Grafiki i Malarstwa ASP w Warszawie i członkiem grupy „AUT", której innym czołowym przedstawicielem był Antoni Fałat. Wernisaże obrazów Baranowskiego odbywały się w ostatnich latach jak Polska długa i szeroka.

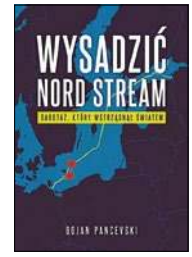
Tak jak fantaści czczą pamięć Janusza A. Zajdla, przyznając nagrody literackie jego imienia, tak polskie środowisko komiksowe oddaje hołd Baranowskiemu nagrodą Orient Mena, przyznawaną od 2020 r. Orient Men to jeden z najbardziej lubianych (i najbardziej absurdalnych) bohaterów komiksów Tadeusza Baranowskiego: „Śmieszy, tumani, przestrasza". W postaci tej doskonale sparodiował autor komiks superbohaterski, każąc swemu protagoniście wiecznie umykać przed Eskimosem domagającym się naprawy zepsutego kaloryfera. Jeśli uśmiechnęliście się w tej chwili, to zapewniam: dużo więcej uśmiechu czeka na was w albumach Baranowskiego. ©℗



FOT. FOTON/PAP

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Sabotaż, który wstrząsnął światem" to podtytuł książki korespondenta „Wall Street Journal". Choć o sprawie było w 2022 r. głośno, to wiemy o niej bardzo mało – a Pancevski prowadzi drobiazgowe, reporterskie śledztwo.



BOJAN PANCEVSKI „WYSADZIĆ NORD STREAM" ZYSK I S-KA

Zapomniany klasyk literatury rosyjskiej („Skrzydła", „Przygody Aimé Lebeufa") i krótka, ale precyzyjnie skonstruowana i pysznie napisana opowieść, w której nie brak i polskich tropów. Przekład Robert Papieski.



MICHAIŁ KUZMIN „CUDOWNE ŻYCIE HRABIEGO CAGLIOSTRA" SEDNO

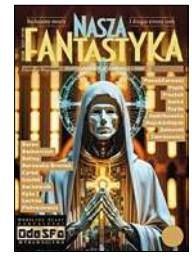
Opowieść o psiaku, który ma ADHD? Gdyński terapeuta pracujący z dziećmi i młodzieżą proponuje książkę, która łączy czystą frajdę obcowania z ciekawą historią oraz cenne przesłanie. Plus świetne ilustracje Patrycji Bryszewskiej.



SZYMON BANASZCZYK „GRINGO" CENTRYFUGA

Temat przewodni najnowszego numeru kwartalnika to religia i metafizyka w fantastyce. Wśród autorów m.in. Wojciech Szyda, Mirosława Sędzikowska, Janusz Cyran, Jacek Inglot. 300 stron literatury i publicystyki.

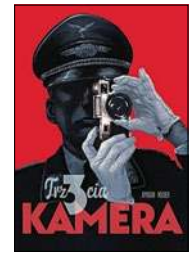
recenzuje Piotr Gociek



AUTORZY RÓŻNI „NASZA FANTASTYKA", NR 4 ODESFA

KOMIKS TYGODNIA:
PRAWDA MIGAWKI

Komiks historyczny, którego akcja rozgrywa się tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej. W Niemczech trwają przygotowania do procesów norymberskich. Kapitan Horowitz gromadzi fotograficzne dowody winy niemieckich zbrodniarzy. Oznacza to zgłębienie sekretów aparatu propagandowego III Rzeszy, w której służbie działali reporterzy wojenni, podtrzymujący obraz świata wedle wytycznych Goebbelsa.



CÉDRIC APIKIAN, DENIS RODIER „TRZECIA KAMERA" EGMONT 2026

Piotr Gociek

eprasa.pl 72fac7a599



Lech Mażewski

Gdyby mężczyźni z Ukrainy, przedstawiani jako bohaterscy obrońcy Europy, przybyli do swoich rodzin w Polsce, to nie poszliby pracować na budowie w charakterze robotników. Natomiast oczekiwaliby jakichś alimentów od państwa polskiego za swoje wyczyny wojenne. Gdyby ich nie otrzymali, próbowaliby dochodzić tych wyimaginowanych praw nawet z użyciem siły



Co nam grozi ze strony Ukraińców?

16 lipca 1990 r. przyjęto w Kijowie Deklarację suwerenności państwowej Ukrainy, która zakładała m.in. pierwszeństwo prawa ukraińskiego przed sowieckim. 24 sierpnia 1991 r. ogłoszono Deklarację niepodległości. Referendum w sprawie niepodległości odbyło się 1 grudnia 1991 r. Ponad 90 proc. głosujących poparło istnienie niepodległej Ukrainy. Tydzień później zawarto układ białowieski, na mocy którego przestał istnieć Związek Sowiecki jako podmiot prawa międzynarodowego. W rezultacie Ukraińcy nie tyle odzyskali niepodległe państwo, ile uzyskali państwo, którego nigdy przedtem nie posiadali, poza efemerydalnymi bytami w latach 1917–1921.

Mija 35 lat od tych wydarzeń. Jest to dobra okazja, żeby zapytać, jak układają się obecnie relacje między Polską a Ukrainą i Ukraińcami.

ROK 1991

W punkcie startu Ukraina była częścią pasa państw pozablokowych w sensie braku przynależności do struktur militarnych Zachodu, bo Układu Warszawskiego już nie było. Pas ten obejmował Finlandię i Szwecję Litwę, Łotwę i Estonię aż po Białoruś, Ukrainę i Mołdawię, choć nieco naruszało to powstanie na początku 2000 r. tworu o nazwie Państwo Związkowe Rosji i Białorusi (PZRiB), a w 2004 r. przyjęcie do NATO państw bałtyckich.

W ten sposób mogłaby się pojawić bardzo obszerna przegroda między Zachodem w militarnym sensie, nawet z udziałem dawnych europejskich państw socjalistycznych, w tym Polski, a Rosją. Z pewnością w takiej sytuacji nie wybuchłby żaden konflikt rosyjsko-ukraiński, chyba żeby Kijów przystąpił do gwałtownej ukrainizacji obszarów rosyjskojęzycznych w imię wymagań galicyjskiego nacjonalizmu zamiast budowy państwa regionów na wzór Hiszpanii czy Włoch.

W interesie Kijowa było powstanie takiego tworu geopolitycznego, bo dzięki temu to wielkie terytorialnie państwo z ludnością liczącą u progu niepodległości w 1991 r. ponad 50 mln mieszkańców i znaczącym przemysłem, chociażby kosmicznym, mogłoby przeżywać prosperity, gdyby oczywiście nie ukształtowała się tam żerująca nań oligarchia, czemu towarzyszyła powszechna korupcja. Także my powinniśmy byli chcieć, aby ten pas państw utrzymał się, gdyż Polska nie tylko nie stałaby się państwem frontowym, lecz także Rosja zostałaby odsunięta daleko od naszych granic. Co więcej, można to było osiągnąć bez wojny.

eprasa.pl 72fac7a599



FOT. ADOBE STOCK

A dziś przedstawiciele fundacji Strategy and Future uważają, że tylko pokonanie Moskwy może nam to zapewnić.

Kwestia statusu tych państw mogła się pojawić w odpowiedzi na rosyjskie żądania z 17 grudnia 2021 r. w sprawie nowej architektury bezpieczeństwa w Europie, ale USA z tego nie skorzystały. Sednem tych żądań było wyrzeczenie się przez Ukrainę możliwości wejścia do NATO, ale nie zakaz stania się częścią Unii Europejskiej. Ostatecznie szanse na realizację takiego rozwiązania geopolitycznego zostały pogrzebane 24 lutego 2022 r. wraz z intensyfikacją konfliktu rosyjsko-ukraińskiego, aż do otwartej wojny, a następnie – z przystąpieniem Finlandii, a potem i Szwecji, do NATO.

SYTUACJA DZIŚ

Toczony od lutego 2022 r. konflikt na południowy wschód od naszych granic może zakończyć się w trojaki sposób: zwycięstwem Moskwy, sukcesem Kijowa i wreszcie starcie może mieć charakter nierozstrzygnięty. W pierwszym przypadku wojska rosyjskie stanęłyby nad Bugiem, czego nie byłoby, gdyby doszło do utrzymania pasa państw pozablokowych, z czym mieliśmy do czynienia w momencie upadku ZSRS. W drugim przypadku Ukraina, być może wracając nawet do granic sprzed 2014 r., pełniłaby funkcję regionalnego ośrodka siły, a Polska rzeczywiście stałaby się sługą narodu ukraińskiego, jak chciał tego były rzecznik polskiego MSZ. Jeszcze do niedawna wydawało się, że do tego nie dojdzie, ale po ostatnich wydarzeniach związanych z odebraniem Orderu Orła Białego prezydentowi Ukrainy nie jest to już takie pewne.

Bez wątpienia najlepszym rozwiązaniem dla nas byłoby, aby wojna nad Dnieprem miała charakter nierozstrzygnięty, przypominając nieco sposób zakończenia konfliktu koreańskiego w 1953 r. Ukraina, co prawda, zachowałaby suwerenność wobec Rosji, pozostając jednak całkowicie zależna od państw zachodnich, będąc jednocześnie uszczuplona terytorialnie i z wielkimi stratami zarówno ludzkimi, jak i materialnymi. Również Rosja nie byłaby w stanie zaliczyć tej wojny do swoich największych sukcesów, ponieważ znacznie pomniejszony zostałby jej potencjał, a to z kolei powodowałoby, że przestawałaby być zagrożeniem dla Polski. W rezultacie nie mogłoby być mowy, aby Kijów odgrywał rolę regionalnego ośrodka siły, na co zanosiło się w momencie uzyskania przez Ukrainę niepodległości; to miejsce należałoby do Warszawy.

Wydarzenia jednak układają się inaczej. Ukraina będzie państwem upadłym. Nie będzie w stanie odzyskać swojego potencjału z 1991 r., bo nie ma takich pieniędzy ani podmiotu, które mogłyby doprowadzić do jej odbudowy; w efekcie stanie się czymś na kształt kozackiej siczy z przełomu wieków XVI i XVII. Nie byłoby tam żadnego przemysłu, uzbrojenie nadchodziłoby z zagranicy, być może składane na miejscu, nie istniałaby praktycznie żadna działalność gospodarcza, poza rabunkową uprawą czarnoziemu, a środki na utrzymanie tej siczy dostarczałaby Unia Europejska. To armia miałaby państwo, funkcjonujące za unijne subwencje i kredyty, które nigdy nie będą spłacone. A kto płaci, ten wymaga, decydując o losach kozackich formacji. Kontraktowi żołnierze mogliby służyć również poza granicami Ukrainy, jak się to zresztą już dziś dzieje. Nasuwająca się analogia z Prusami jest o tyle ułomna, że Berlin sam utrzymywał swoją armię, suwerennie decydował o jej przeznaczeniu i nie miał żołnierzy na eksport.

Kijowskim politykom wydaje się, że tego rodzaju sicz mogłaby wspólnie z Finlandią, Szwecją, państwami bałtyckimi oraz Turcją, ale bez Polski, utworzyć blok państw powstrzymujących Rosję. Przede wszystkim byłby to rachunek bez gospodarzy, bo interesy Szwecji i Finlandii związane są bardziej z USA i wspólnym kontrolowaniem wyjścia z Oceanu Lodowatego na Atlantyk, a Turcja ma swoje domeny na Bliskim Wschodzie i Azji Centralnej, a nie tylko nad Morzem Czarnym. W efekcie sicz mogłaby stanąć z garstką Bałtów przeciwko Rosji, będąc całkowicie zależna od pomocy ze strony UE. Zmiana polityki Brukseli, a w gruncie rzeczy Berlina, oznaczałaby, że Kijów zostałby zmiażdżony, wyjąc o zdradzie Zachodu. Tak mogłoby zakończyć się fantazjowanie przywódców współczesnej siczy nad Dnieprem na temat jej geopolitycznego znaczenia. A wtedy Rosja stanęłaby na Bugu i musielibyśmy się z tym faktem uporać.

STATYSTYKA

Główny Urząd Statystyczny podaje, że na koniec 2025 r. na terytorium Polski przebywało 2,3 mln cudzoziemców, którzy stanowili blisko 6 proc. wszystkich osób mieszkających w Polsce. Spośród nich 73 proc. to obywatele Ukrainy, co daje 1,679 mln osób. Najwięcej cudzoziemców odnotowano w województwie dolnośląskim (9,8 proc.) i mazowieckim (9,3 proc.). Osoby nieposiadające polskiego obywatelstwa przebywały przede wszystkim w dużych aglomeracjach miejskich i ich strefach podmiejskich. We Wrocławiu udział cudzoziemców wyniósł 19,5 proc., w Warszawie 14,5 proc., w Poznaniu 12,5 proc. i w Krakowie 11,3 proc. Siłą rzeczy w większości województw obywatele Ukrainy dominowali pośród cudzoziemców; w województwie mazowieckim było to 346,1 tys. osób, a następnie w dolnośląskim 237,3 tys. osób.

Na początku 2025 r. Urząd do Spraw Cudzoziemców poinformował, że większość obywateli Ukrainy korzysta z ochrony czasowej, czego

eprasa.pl 72fac7a599

potwierdzeniem jest otrzymanie numeru PESEL zgodnie z ustawą o pomocy obywatelom Ukrainy w związku z konfliktem zbrojnym na terytorium tego państwa. Wtedy zarejestrowanych na tej podstawie było 993 tys. osób, z czego kobiety stanowiły ok. 61 proc. tej grupy, natomiast wśród osób pełnoletnich ilość ich wzrasta do 77 proc. Trzymając się tej proporcji, mielibyśmy ogółem na terenie Polski ok. 1,2–1,3 mln Ukrainek. Zapewne do dziś nic się tu nie zmieniło albo zmieniło bardzo niewiele.

Kwestia sprowadzałaby się do tego, czy te kobiety po zakończeniu walk nad Dnieprem wrócą do siebie czy zostaną w Polsce wraz z mężami, ojcami ich dzieci czy kochankami, dotychczas służącymi w armii, a którzy pojawiliby się u nas. Zależeć to będzie głównie od jednego czynnika: od tego, czy wspomniane Ukrainki będą nadal czuły się w sensie kulturowym czy społecznym, nie politycznym, częścią ruskiego miru (dla jasności: ten przymiotnik to od Rusi, a nie element języka pogardy dużej części Polaków wobec Rosji i Rosjan). Jeśli tak, to oznacza to, że w ramach tego porządku rodzina ma charakter wielopokoleniowy i jest najważniejszą strukturą życia dla tych kobiet, a ta rodzina została nad Dnieprem i do niej należy wrócić. Gdyby jednak te kobiety uległy przyspieszonej westernizacji, to rodzina składałaby się dla nich już tylko z rodziców i dzieci. Wtedy czekałyby one na swoich mężczyzn w Polsce. Byłoby to źródłem kolejnych problemów, może nawet nieszczęść, które spadłyby na Polskę. Skąd by to się brało?

Zapewne ci bohaterscy obrońcy Europy, w tym Polski, przed nawałą rosyjską, jak twierdzi propaganda kijowska, a co bezmyślnie powtarzają za nią środowiska liberalno-lewicowe w Polsce, nie poszliby do pracy na budowie w charakterze robotników. Oczekiwaliby natomiast jakichś alimentów od Polski za swoje wyczyny wojenne. Gdyby ich nie otrzymali, próbowaliby dochodzić tych wyimaginowanych praw nawet z użyciem siły. Doskonale przypominałoby to sytuację Kozaków rejestrowych, którzy po tym, jak skończył się czas służby w wojsku, odmawiali powrotu do odrabiania pańszczyzny, uważając się za rodzaj szlachty wojskowej. W tym momencie wybuchały antypolskie ruchawki czy powstania kozackie, które trzeba było tłumić z użyciem coraz większej ilości wojska. Jeśli obecnie chcielibyśmy uniknąć permanentnego konfliktu z bohaterami znad Dniepru, to musielibyśmy utworzyć coś na kształt dawnego rejestru kozackiego i płacić im za gotowość do podjęcia walki zapewne nie na nasz rozkaz.

Białoruś, Rosję i trumpistowskie USA łączy obrzydzenie do świata lewicowo-liberalnego, a ponadto chęć wytworzenia takiego systemu równowagi w naszym regionie, aby sicz ukraińska nie była zagrożeniem dla swoich sąsiadów

Jest i następny problem. Nic nie wskazuje na to, żeby Ukraina była przyjęta do UE, ale jest możliwe, że otrzyma pewne uprawnienia, które posiadają państwa członkowskie. Może to odnosić się nie tylko do uczestnictwa we wspólnym rynku, lecz także oznaczać przyznanie Ukraińcom prawa do udziału w wyborach samorządowych (względnie regionalnych) na takich samych zasadach, jak inni obywatele UE. W naszym przypadku, po powrocie pogromców Rosji, mielibyśmy jakieś 2,5 mln Ukraińców, z czego można założyć, że 2 mln z nich uzyskałoby prawo do udziału w wyborach samorządowych. Ukraińcy to obecnie en masse element bardzo postępowy, oddaliby zatem głos na siły lewicowo-liberalne, wzmacniając ich dominację w naszych największych miastach. Zapewne partia ukraińska oczekiwałaby z tego tytułu stosownego rewanżu ze strony rodzimych sił postępu. Nie byłoby tak, gdyby Ukrainki wróciły nad Dniepr, bo wtedy partia ukraińska byłaby, co najwyżej, hałaśliwym marginesem.

Z Ukraińcami możemy mieć jeszcze jeden problem. Otóż Niemcy zapowiedziały, że w 2039 r., a więc w 100. rocznicę agresji na Polskę w 1939 r., chcą mieć najsilniejszą armię w Europie, ale nie mają i nie będą mieli dostatecznej ilości własnego rekruta. Takiego rekruta może dać sicz; już dziś najemnicy ukraińscy walczą w państwach czarnej Afryki, Libii i sunnickich monarchiach nad Zatoką Perską. W tym przypadku nie chodziłoby o oficerów, może z pewnymi wyjątkami, a jedynie o prostych żołnierzy i podoficerów. Tak już było w okresie drugiej wojny światowej. Odnosiło się to do jednostek Wehrmachtu, Waffen SS czy policyjnych oddziałów w strukturze SS.

POTRZEBA MACHTPOLITIK

Trzydzieści pięć lat stosunków polsko-ukraińskich od momentu uzyskania przez Kijów niepodległego państwa nie napawa jakimś specjalnym entuzjazmem. Początkowo Ukraina, wraz z innymi państwami regionu, mogła spełnić funkcję istotnego elementu odgradzającego Zachód, w tym Polskę, od Rosji, ale jest to już nieaktualne. Dziś mielibyśmy sicz na południowo-wschodniej granicy, być może zaciężnych Ukraińców w służbie Niemiec nad Odrą i Nysą, a także nie da się wykluczyć ich znaczącego udziału w życiu wewnętrznym Polski. Wymagałoby to odpowiedzi z zakresu Machtpolitik, a nie nędznych próśb do prezydenta Wołodymyra Zełenskiego o opamiętanie czy pacyfistycznych labidzeń płynących ze strony „Myśli Polskiej". Bez współpracy ze wszystkimi tymi, których interesy narusza Kijów nie obędzie się. Na początek byłaby to Białoruś, później być może Rosja, a w tle trumpistowskie Stany Zjednoczone. Wszystkie te państwa, z wyjątkiem Polski, łączy obrzydzenie do świata lewicowo-liberalnego, a ponadto chęć wytworzenia takiego systemu równowagi w tej części Eurazji, aby sicz ukraińska nie była zagrożeniem dla swoich sąsiadów.

Skromne Ukrainki, których właściwie nie zauważamy w marketach czy innych miejscach, gdzie są zatrudnione, mogą mieć istotny wpływ na to, co w najbliższym czasie będzie się działo w Polsce. Jeśli w sensie kulturowym czy społecznym pozostaną częścią ruskiego miru, to mimowolnie wyświadczą nam wielką przysługę, inaczej przyczynią się do pojawienia się w Polsce kolejnych problemów, których źródłem będą bohaterowie znad Dniepru, przybywający gremialnie do nas po ustaniu walk.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 72fac7a599

Technokratyczny by-pass władzy



Mariusz Jagóra

Według ustaleń holenderskiej gazety „Telegraaf" Komisja Europejska środki z unijnego programu LIFE przeznaczyła na działania lobbingowe. Jedna z ujawnionych umów opiewała na kwotę 700 tys. euro i dotyczyła konkretnych działań mających na celu przekonywanie posłów do Parlamentu Europejskiego oraz polityków w państwach członkowskich do poparcia polityki Zielonego Ładu

Organizacje pozarządowe, popularnie zwane NGO (z angielskiego Non-Governmental Organization) to z definicji niezależne, dobrowolne organizacje, które działają w interesie publicznym lub na rzecz określonych grup społecznych, nie są kontrolowane przez rząd i są zazwyczaj non profit, co oznacza, że ich celem nie jest generowanie dochodów dla właścicieli czy udziałowców, lecz realizacja misji społecznych, środowiskowych, kulturalnych, edukacyjnych lub humanitarnych.

Tyle teoria. W praktyce organizacje pozarządowe są dla rządów niezbędne dla realizacji niepopularnych celów, które są zazwyczaj zbieżne z kierunkiem działań korporacji międzynarodowych zarządzanych przez miliarderów, a ich działalność jest źródłem wysokich dochodów dla „aktywistów" realizujących zlecenie (w 2023 r. Fundacja Ocalenie przeznaczyła ponad 12 mln zł brutto na wynagrodzenia, co stanowiło gigantyczny wzrost w porównaniu z 2021 r., gdy na ten cel przeznaczono niecałe 2,5 mln). NGOs, te finansowane przez rządy lub korporacje, mają budować pozory oddolnej presji obywatelskiej, która pozwoli na forsowanie przez rządzących niepopularnych ustaw, podejmowanie kontrowersyjnych decyzji. Umiejętne zarządzanie strachem (COVID, płonąca planeta, zmiany klimatu) dodatkowo ułatwia manipulowanie społeczeństwami, które ogłupione propagandą chętnie zaakceptują wszystkie ograniczenia wolności osobistych i praw podstawowych pod pozorem wyższego, wspólnego dobra. Tyle że nie chodzi o wspólne dobro, lecz o mnożenie majątków „elity" finansowej świata.

Elon Musk, w rozmowie z Joe Roganem (podcast z 28 lutego 2025 r.), wypowiadając się krytycznie na temat organizacji pozarządowych finansowanych przez George'a Sorosa, zarzucając im manipulowanie polityką, destabilizację społeczną oraz działania sprzeczne z interesem publicznym, postawił trafną diagnozę, że wiele NGOs jest narzędziem do takich działań, których rząd sam nie mógłby legalnie przeprowadzić, a które możliwe są dzięki synergii polityków: „George Soros jest jak haker systemu, zrozumiał, jak można zhakować system. Jest geniuszem arbitrażu. Zorientował się, że można wykorzystać niewielką kwotę pieniędzy, by stworzyć organizację non profit, a potem lobbować polityków, aby dotowali tę organizację ogromnymi dotacjami. Możesz wziąć, powiedzmy, 10 mln dol. na stworzenie NGO i przekształcić to w organizację wartą miliard dolarów [...]. Samo określenie »organizacja non profit« jest mylące. To po prostu organizacja pozarządowa, którą z czasem rząd finansuje. Będzie miała ładnie brzmiącą nazwę jak Instytut na rzecz Pokoju, ale w rzeczywistości to maszynka do przekrętów".

KWESTIA KLIMATU

W marcu 2016 r. Rockefeller Family Fund (RFF) – niewielka fundacja należąca do rodziny Rockefellerów – ogłosiła zamiar pozbycia się wszystkich udziałów w paliwach kopalnych, w tym klejnotu koronnego rodziny Rockefellerów, firmy ExxonMobil. Również znacznie większa fundacja rodziny, Rockefeller Brothers Fund, ogłosiła, że w związku z walką ze zmianami klimatu zacznie wycofywać się z węgla i piasków roponośnych. Rodzina Rockefellerów oskarżyła własną, rodzinną firmę Exxon o to, że ta wiedziała o zmianach klimatycznych już od lat 80. i próbowała wprowadzić opinię publiczną w błąd, rozpowszechniając wątpliwości co do teorii antropogenicznych zmian klimatu. W efekcie Exxon został postawiony w stan oskarżenia przez prokuratorów stanowych w Nowym Jorku i Kalifornii za okłamywanie akcjonariuszy i opinii publicznej na temat powagi zmian klimatycznych. Akt oskarżenia został zainicjowany przez finansowany przez Rockefellera Instytut

eprasa.pl 72fac7a599



Odpowiedzialności za Klimat (Climate Accountability Institute).

Potęga i bogactwo rodziny zostały zbudowane na biznesie naftowym, który umożliwił rozwój przemysłowy XX w., rewolucję rolniczą, rozwój przemysłu farmaceutycznego, bogacenie się klasy średniej i masową motoryzację. Rodzina, która przez dziesięciolecia uzależniała świat od ropy naftowej, zajmuje teraz pozycję jej głównego krytyka, deklarując, że spalanie paliw kopalnych jest niemoralne, destrukcyjne i grzeszne, a ludzie są głównymi sprawcami zmian klimatycznych na Ziemi. Przemysł naftowy staje na czele aktywistów społecznych przeciwnych neoliberalizmowi i globalizacji, takich jak Naomi Klein, oraz aktywistów klimatycznych, takich jak Bill McKibben (co znamienne – oboje są członkami finansowanej przez Rockefellera organizacji 350.org). Łącznie Rockefellerowie stworzyli i finansują 990 instytucji, fundacji i grup aktywistów zajmujących się „zmianami klimatu".

Dlaczego potężna rodzina Rockefellerów zajmująca się ropą naftową i finansami, mająca ogromny wpływ zarówno na przemysł naftowy, jak i globalizację gospodarczą ostatnich dziesięcioleci, jest także od lat tak głęboko zaangażowana we wprowadzenie kwestii klimatu do międzynarodowej agendy politycznej? Doktor Jacob Nordangård, autor książki „Rockefeller: Kontrola Gry", uważa, że chęć ratowania świata przed zagładą klimatyczną jest filantropijną fasadą, za którą „kryje się pragnienie zarządzania zarówno populacją, jak i zasobami naturalnymi planety za pomocą dialektyki heglowskiej, aby osiągnąć pożądaną syntezę – zrównoważoną utopię i nowy system gospodarczy. Przyglądając się działaniom rodziny Rockefellerów od momentu założenia Standard Oil do ich dzisiejszego aktywizmu klimatycznego, ich oskarżenia wobec własnej flagowej firmy wydają się być częścią planu realizowanego od ponad wieku – planu konsolidacji władzy na skalę światową i stworzenia globalnego modelu zarządzania, z nowym systemem gospodarczym".

DZIAŁANIA LOBBINGOWE

Ważnym elementem działań prowadzonych w celu uzyskania synergii operacyjnej, finansowej i strategicznej jest udział w tym procesie zarówno międzynarodowych organizacji globalnych (ONZ), jak i bardziej lokalnych, jak Unia Europejska. W styczniu 2025 r. holenderski dziennik „De Telegraaf" opublikował wyniki śledztwa, które ujawniło, że Komisja Europejska w poprzedniej kadencji, gdy za politykę klimatyczną odpowiadał Frans Timmermans, zawierała umowy z organizacjami pozarządowymi, które w zamian za hojne dotacje miały lobbować na rzecz Zielonego Ładu. Według ustaleń gazety Komisja Europejska środki z unijnego programu LIFE, przeznaczone na projekty związane z ochroną środowiska z budżetem 5,4 mld euro, przeznaczyła na działania lobbingowe. Jedna z ujawnionych umów opiewała na kwotę 700 tys. euro i dotyczyła konkretnych działań mających na celu przekonywanie posłów Parlamentu Europejskiego oraz polityków w państwach członkowskich do poparcia polityki Zielonego Ładu.

Organizacje ekologiczne, które otrzymywały fundusze, miały wyznaczone cele lobbingowe, takie jak liczba polityków, których należy przekonać, czy konkretne działania, dla których trzeba było znaleźć poparcie. Według „Telegraaf" w niektórych przypadkach organizacjom przekazywano nawet listy z nazwiskami eurodeputowanych, do których organizacje musiały dotrzeć. Jedną z wymienianych organizacji było Europejskie Biuro Ochrony Środowiska (European Environmental Bureau, EEB), które miało otrzymywać środki na działania wspierające zaostrzenie polityk Zielonego Ładu. EEB, choć formalnie niezależne, było finansowane w dużej części przez KE, co rodzi pytania o przejrzystość i etyczność takich praktyk.

Zdaniem Elona Muska wiele NGOs jest narzędziem do takich działań, których rząd sam nie mógłby legalnie przeprowadzić, a które możliwe są dzięki synergii polityków

Grupa Patrioci dla Europy (Patriots for Europe, PfE) dotarła do listy 70 tys. organizacji korzystających z grantów Komisji Europejskiej. Europosłanka Anna Bryłka informowała: „Dotarliśmy do listy 70 tys. organizacji pożytku publicznego, które w nietransparentnym procesie dostały kilkadziesiąt miliardów euro grantów od Komisji Europejskiej". Raport Europejskiego Trybunału Obrachunkowego (ETO), opublikowany w kwietniu 2025 r., wskazuje na fundamentalne niedociągnięcia w unijnym systemie finansowania organizacji pozarządowych.

eprasa.pl 72fac7a599


FOT. ADOBE STOCK

Brak jednolitej definicji NGO, spójnego systemu rejestracji wnioskodawców oraz łatwo dostępnego rejestru przyznanych dotacji to nie tylko kwestie biurokratyczne, lecz także potencjalne źródło nadużyć. Dane o przepływie środków są rozproszone, często ukryte, błędnie oznaczone lub niedostępne, co sprawia, że śledzenie, kto i na co otrzymuje fundusze, jest „praktycznie niemożliwe". W latach 2021–2023 UE przeznaczyła 7,4 mld euro na ok. 12 tys. NGOs, z czego 40 proc. tej kwoty (około 3 mld euro) trafiło do zaledwie 30 organizacji.

Oddajmy raz jeszcze głos Annie Bryłce: „Szef brukselskiego MCC [think tanku Mathias Corvinus Collegium] Frank Furedi, twierdzi, że od dawna nie jest dla nikogo tajemnicą, że Komisja Europejska pracuje ręka w rękę z pewnymi organizacjami pozarządowymi, żeby się legitymizować. Działa to w ten sposób, że na konsultacjach z interesariuszami większość zaproszonych NGOs to te, które powiedzą to, co komisja chce usłyszeć. Komisja może wtedy twierdzić, przecież to jest zdanie ekspertów albo że taki jest konsensus naukowy czy społeczny. To fikcja, bo polega na sztucznym aranżowaniu sytuacji, w której pomysły Komisja Europejskiej otrzymują zadany certyfikat od najemnych NGOs i powiązanych z nimi aktywistów. Organizacje pozarządowe stały się opłacanymi niesformalizowanymi departamentami Komisji Europejskiej. Mamy więc w istocie do czynienia z sytuacją, gdzie wąska grupa organizacji wpływa na myślenie urzędników, europosłów i całych społeczeństw. I nie chodzi tylko o klimat. Podobne mechanizmy występują w dziedzinie światopoglądu, kultury, mediów, migracji, właściwie wszystkich dziedzin życia publicznego […]. Jest to także narzędzie finansowe Komisji Europejskiej do przewracania demokratycznych wyborów w państwach członkowskich. Komisja Europejska i polski komisarz do spraw budżetu Piotr Serafin już dawno przyznali, że przez wiele lat z budżetu wartego łącznie 5,5 mld euro, czyli grubo ponad 20 mld zł, finansowano właściwie społeczne poparcie dla inicjatywy Europejskiego Zielonego Ładu, a także wpływano na decydentów i autorytety".

WIZJE PRZYSZŁOŚCI

Czy wspomniana synergia działania miliarderów, NGOs i polityków to próba przejęcia władzy, poza demokratycznymi procesami, przez elity finansowe i technologiczne, w celu wprowadzania systemu quasikomunistycznego, w sposób ewolucyjny, pod nazwą rządu światowego? A jak wiadomo, etapem przejściowym komunizmu jest socjalizm. Herbert George Wells, autor takich powieści jak „Wehikuł czasu" i „Wojna światów", wydał w 1940 r. książkę „New World Order", w której wzywał do zbudowania tytułowego Nowego Porządku Świata, z naciskiem na większą współpracę międzynarodową, kolektywizm i federalizację, z ustanowieniem globalnych instytucji i zbiorowym zaangażowaniem na rzecz pokoju i postępu, stwierdzając, że droga ku lepszej przyszłości dla ludzkości leży w przyjęciu ideałów socjalistycznych.

W 1968 r. Edward Griffin w jednym z wykładów powiedział, że „komunizm zmienił nazwę na socjaldemokrację, ale nadal jest dynamiczną siłą rewolucyjną na całym świecie". Opierając się na marksistowskich podręcznikach, Griffin pokazał, że istnieją dwa rodzaje rewolucji: jedna gwałtowna i druga bez użycia przemocy, w imię demokracji. Według Griffina socjalizm z definicji oznacza kontrolę nad ludźmi. Jeśli rząd posiada i kontroluje całą własność – wszystkie środki produkcji, wszystkie drogi handlu, to ma pełną kontrolę nad ludźmi. Jeśli jesteśmy zależni od rządu, gdy chodzi o żywność, ubrania, schronienie, pracę, opiekę medyczną, to jesteśmy znacznie skuteczniej kontrolowani przez tych, którzy sprawują władzę polityczną, niż gdyby stali nad nami żołnierze z bronią. Dlatego komuniści tak ochoczo wspierają programy socjalne typu Zielony Ład czy jakkolwiek zdecydują się to nazwać, ponieważ takie programy pozwalają im skutecznie wprowadzać komunizm. Wiedzą, że większość go nie chce, ale nauczyli się manipulować ludźmi tak, żeby zaakceptowali oni idee socjalizmu, stosując precyzyjną i dobrze przetestowaną strategię rewolucyjnego parlamentaryzmu, z mechanizmem – jak to Griffin określa – politycznego ruchu kleszczowego, wywierającego presję polityczną z góry i z dołu.

„Mówiąc o naciskach z góry – wyjaśnia Griffin – mam na myśli wykorzystywanie rządu do przedstawienia oficjalnych zaleceń dotyczących ustawodawstwa, które są oczywiście oferowane jako rozwiązania problemów narodowych. Ale gdy zostaną przyjęte jako prawo, ich jedynym prawdziwym skutkiem będzie znaczne zwiększenie władzy rządu. Nacisk od dołu polega na wykorzystaniu wpływu rządu na różne organizacje obywatelskie, aby stworzyć pozory ogromnego poparcia społecznego dla tych zaleceń. Oczywiście członkowie tych organizacji nigdy nie będą podejrzewać, że są wykorzystywani do promowania programu komunistycznego. Milcząca większość, widząc szanowanych rzeczników rządu wzywających do wprowadzenia socjalistycznego ustawodawstwa oraz tłumy demonstrantów domagających się tego samego, skłania się ku temu, co uważa za demokratyczną wolę większości, poddając się politycznej presji wyższości rzekomych korzyści w interesie narodu, ponad wolności obywatelskie, i godzą się na kolejne odebranie im praw i wolności podstawowych. Następnie cały proces zaczyna się od nowa z nowymi zaleceniami z góry, nowymi żądaniami z dołu i nową kapitulacją. W ten sposób naród może przesuwać się w lewo wielkimi krokami, aż ostateczny cel, jakim jest komunizm, zostanie osiągnięty całkowicie legalnie poprzez proces konstytucyjny i w imieniu narodu".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 72fac7a599

Wywrócenie stolika



Podczas mundialowego pojedynku Paragwajczyk Matías Galarza (pierwszy od lewej) bezpardonowo faulował francuską gwiazdę Kyliana Mbappégo

FOT. SIMON STACPOOLE/OFFSIDE/GETTY IMAGES

Filip Memches

Piłkarze paragwajscy w meczu z reprezentacją Francji łamali reguły gry demonstracyjnie. Być może zawodnicy z Ameryki Południowej okazali się trendsetterami nowych wzorców w piłce nożnej, które mają swoje źródło w kontestacji liberalnego porządku światowego

Świat przechodzi mocne turbulencje polityczne, które dają o sobie znać również poza polityką, choćby w globalnym piłkarstwie. Zjawisko to można było zaobserwować na zakończonym właśnie mundialu, choć sam format tegorocznego turnieju świadczy raczej o tym, że decydenci z Międzynarodowej Federacji Piłki Nożnej (FIFA) wciąż są pod wpływem przebrzmiałego dyskursu.

Już samo zwiększenie liczby uczestników mundialu z 32 do 48 – o czym pisałem w „Do Rzeczy" (nr 28/2026) – to przejaw myślenia w kategoriach strategii DEI (skrót od Diversity, Equity, Inclusion, czyli po polsku od Różnorodności, Równości, Inkluzywności). Tyle że ta jest w odwrocie, jak to pokazuje zwłaszcza sytuacja w amerykańskim wielkim biznesie. Dlatego jeśli pewne wydarzenia, do których doszło podczas mistrzostw świata w Kanadzie, Meksyku i Stanach Zjednoczonych będziemy rozpatrywać w dużo szerszym, niż sportowy, kontekście, to możemy dostrzec, że przesilenie polityczne, które następuje w świecie, znajduje swoje odzwierciedlenie też w globalnym piłkarstwie.

KLĘSKA WILLKOMMENSKULTUR

Zacznijmy od kwestii wielokulturowości. Przed mundialem od wielu lat przy rozmaitych okazjach komentatorzy z liberalno-progresywnej „bańki" zwracali uwagę na etniczną strukturę składów tych piłkarskich reprezentacji narodowych z Europy, które odnosiły turniejowe sukcesy i zawdzięczały je zawodnikom pochodzącym spoza Starego Kontynentu (zwłaszcza tym o korzeniach afrykańskich). Miał to być argument za wielokulturowością jako czynnikiem „ubogacającym" te drużyny.

Rzeczywiście, przyglądając się na tegorocznym mundialu grze dwóch drużyn, które dotarły do strefy medalowej, czyli ekipom Anglii i Francji, można dojść do wniosku, że ich siłę stanowią piłkarze mający wśród przodków osoby czarne. Trudno sobie wyobrazić Synów Albionu bez Jude'a Bellinghama oraz Trójkolorowych bez Kyliana Mbappégo. Znakomita gra zawodników spod znaku koguta galijskiego po raz kolejny zadała kłam narzekaniom zawartym w głośnej książce Érica Zemmoura „Francuskie samobójstwo". Ten znany francuski polityk prawicowy i publicysta odnosząc się w niej do zdobycia przez reprezentację jego kraju mistrzostwa świata w roku 1998, stwierdził: „Robak wielokulturowy był już w owocu asymilacyjnym" i gorzko skonstatował, że potem Francuzi tak daleko nigdy nie zaszli. Tyle że Zemmour swoją książkę napisał w roku 2014 i nie wiedział jeszcze o tym, że reprezentacja Francji sięgnie znowu po złoto na mundialu w 2018 r.

Tymczasem warto zdać sobie sprawę, że wieloetniczna struktura kadr narodowych Anglii i Francji to pokłosie nie tyle polityki proimigracyjnej, ile dziedzictwa kolonializmu. Jeszcze bardziej dotyczy to innej piłkarskiej drużyny – reprezentacji Portugalii. Ale w tegorocznym mundialu brała udział jednak ekipa, w przypadku której wieloetniczność to skutek jak najbardziej polityki imigracyjnej. Chodzi o reprezentację Niemiec. Wprawdzie państwo niemieckie miało zamorskie posiadłości, ale były one na tyle skromne i mało

eprasa.pl 72fac7a599

znaczące, że nie uczyniły z niego potęgi kolonialnej. Do drugiej połowy XX w. Niemcy stanowiły państwo białych ludzi.

Znamienne, że największe osiągnięcia niemieckiej drużyny narodowej w futbolu przypadły na czasy, w których nie grali w niej zawodnicy pochodzący spoza Europy. Przede wszystkim chodzi o trzy mistrzostwa świata oraz trzy mistrzostwa Europy w drugiej połowie XX w. Natomiast, jak do tej pory, XXI stulecie to okres ewidentnego regresu niemieckiej piłki nożnej. I tak się złożyło, że dzieje się to wtedy, gdy w ekipie Niemiec coraz większą liczbę zawodników stanowią śniado- i czarnolicy piłkarze z rodzin imigranckich. Ewidentnie wielokulturowość niemieckiej kadrze narodowej nie pomaga.

Stosunek migrantów, którzy osiedlili się w Niemczech, do ich nowego kraju jest inny niż mieszkańców dawnych kolonii brytyjskich i francuskich do Wielkiej Brytanii i Francji. W tym pierwszym przypadku chodzi wyłącznie o sprawy ekonomiczne. Po koszmarnym eksperymencie, którym była III Rzesza, odwoływanie się do niemieckiego patriotyzmu jest czymś z gruntu podejrzanym, nawet jeśli chodzi o to, żeby miłością do Niemiec zarazić osiedlonych w tym kraju cudzoziemców. Być może w tym tkwi przyczyna słabnącej kondycji niemieckiego reprezentacyjnego futbolu. Jak na dłoni widać klęskę Willkommenskultur (kultury gościnności), jeden z przejawów odczarowywania liberalnego porządku światowego.

POWRÓT POLITYKI SIŁY

Inną kwestią jest erozja zasad fair play. Przywołajmy mundialowy pojedynek między reprezentacjami Francji i Paragwaju. Chodzi o wyjątkową brutalność zawodników z Ameryki Południowej, kompletnie ignorowaną przez sędziego Ilgiza Tantaszewa z Uzbekistanu. Wyróżniał się szczególnie „opiekujący się" Mbappém Matías Galarza, który kopał i przewracał gwiazdę Trójkolorowych wręcz z ostentacją – tak jakby był pewny tego, że nie zostanie za swoje zachowanie wyrzucony z boiska. I rzeczywiście, nie dostał nawet żółtej kartki. Czegoś podobnego nie przypominam sobie z żadnych mistrzostw ani świata, ani Europy. I rzecz nie w bezpardonowych faulach, które są przecież nieodłącznym elementem futbolu. Chodzi o to, że dopuszczający się ich piłkarze starają się to robić w sposób niezauważalny (istne majstersztyki na tym polu wykonywali w latach 70. i 80. Włoch Claudio Gentile, autor wypowiedzianych żartobliwie słów: „Futbol nie jest dla baletnic", oraz Hiszpan, a właściwie Bask, Andoni Goikoetxea znany jako „Rzeźnik z Bilbao"). Tymczasem Galarza i jego koledzy łamali reguły gry demonstracyjnie. Można było odnieść wrażenie, że wręcz chcieli pokazać kompletne lekceważenie dla jakichkolwiek ograniczeń.

Gra Paragwajczyków z Francuzami na tegorocznym mundialu stanowiła odbicie tego, co widać w wymiarze globalnej polityki. Być może zawodnicy z Ameryki Południowej okazali się trendsetterami nowych wzorców w piłce nożnej, mających źródło w kontestacji liberalnego porządku światowego, który znamionował nowoczesny system stosunków międzynarodowych. Jesteśmy bowiem świadkami wielkiej zmiany: w głównym nurcie globalnej polityki zadomawia się przekonanie, że ostatecznie prawo zawsze ustępuje wobec siły. W dużym uproszczeniu takie stanowisko zajmują zwolennicy realizmu politycznego. Twierdzą oni, że moc prawa jest złudzeniem. To, w jaki sposób jest ono stosowane, zależy od tego, kto to robi. Generalnie decydująca okazuje się siła podmiotu, który je stosuje.

O tym, że gdy się jest globalną potęgą, można sobie z prawa nic nie robić, pokazał również tegoroczny mundial. Chodzi o sprawę Folarina Baloguna. Ów wyróżniający się napastnik reprezentacji USA (strzelił dla niej podczas turnieju trzy gole) otrzymał w meczu jednej szesnastej finału z reprezentacją Bośni i Hercegowiny czerwoną kartkę. Werdykt sędziego Raphaela Clausa z Brazylii wzbudził kontrowersje, przewinienie, za które Balogun został ukarany – nadepnięcie na kostkę Tarika Muharemovicia – nie wyglądało na groźny faul. Niemniej piłkarz wobec czerwonej kartki nie oponował.

W ekipie Niemiec coraz większą liczbę zawodników stanowią śniado- i czarnolicy piłkarze z rodzin imigranckich. Ale ta wielokulturowość niemieckiej kadrze narodowej nie pomaga

Ale wtedy – już po meczu – do akcji wkroczył sam Donald Trump. Prezydent USA postanowił interweniować w FIFA, żeby Balogunowi karę – pauzowanie w jednym meczu za czerwoną kartkę – cofnięto. I tak też się stało – Międzynarodowa Federacja Piłki Nożnej (w tym osobiście jej szef Szwajcar Gianni Infantino) naciskowi gospodarza Białego Domu uległa. Odpowiednie organy FIFA podjęły decyzję na korzyść Baloguna. Spotkało się to z powszechnym oburzeniem, a reprezentacja USA chyba stała się w świecie najbardziej nielubianą jedenastką wśród uczestników mundialu. Balogun zagrał w kolejnym pojedynku swojej drużyny, ale to jej nie pomogło: w spotkaniu jednej ósmej finału Amerykanie zostali wręcz rozjechani przez Belgów (ekipa z Europy wygrała 4:1) i odpadli z turnieju.

Anulowanie zawodnikowi czerwonej kartki to sytuacja precedensowa. Owszem, w roku 1962 słynny brazylijski wirtuoz futbolu Garrincha miał podobną sytuację. W półfinałowym meczu mundialu z gospodarzami Chilijczykami ujrzał czerwoną kartkę. A mimo to w finałowym pojedynku z reprezentacją Czechosłowacji zagrał. Tyle że formalnie rzecz biorąc, wtedy nie doszło do cofnięcia zawodnikowi czerwonej kartki, lecz zawieszono odsunięcie Brazylijczyka od udziału w meczu.

Tak czy inaczej, Donald Trump udowodnił, że polityka siły ma zastosowanie również w globalnym piłkarstwie. Pocieszające jest jednak to, że owo wywrócenie stolika w tym przypadku zawodnikom amerykańskim nie pomogło. Mało tego, samej Ameryce jako państwu zaszkodziło ono wizerunkowo.

Jak widać, godne poparcia zrywanie maski obłudy z liberalnego porządku światowego też ma swoje ograniczenia. Gdy ktoś robi to tak bezczelnie, jak w polityce Trump, a w piłce nożnej Galarza, swoim postępowaniem wywołuje powszechne negatywne reakcje. I wtedy może się okazać, że takie zachowania przynoszą mu więcej strat niż zysków. Szkopuł jednak w tym, iż niezależnie od tego sięganie po środki nadzwyczajne, bez oglądania się na obowiązujące reguły gry, staje się w świecie standardem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 72fac7a599

Kościół i seks



FOT. ADOBE STOCK



Paweł Chmielewski

Kościół katolicki odpuszcza głoszenie nauki w obszarze moralności seksualnej. Chociaż doktryna oficjalnie nie ulega zmianie, to Stolica Apostolska niespecjalnie interesuje się tym tematem, co pozwala biskupom na kreowanie nowej rzeczywistości metodą faktów dokonanych

Antyklerykałowie twierdzą, że Kościół jest zafiksowany na punkcie seksualności. To dość dziwny zarzut, biorąc pod uwagę, że od lat 60. wielka lewicowa rewolucja społeczna skupia się właśnie na tych sprawach. Można śmiało powiedzieć, że to właśnie środowiska liberalne są na tym zafiksowane, dlatego wkładają tyle wysiłku w promowanie ideologii gender, związków homoseksualnych czy edukacji seksualnej w szkołach. Kościół jedynie odpowiada na wyzwania, które stawia współczesny świat – i przypomina, że żadna ludzka aktywność nie jest wyjęta spod ocen moralnych. Odpowiada – albo raczej powinien odpowiadać. Rzeczywistość jest bowiem taka, że ludzie Kościoła coraz częściej ulegają antyklerykalnej propagandzie i jakby boją się mówić o tym, jaka jest katolicka doktryna.

NAWET PAPIEŻ NIE REAGOWAŁ

Niestety, przykład idzie z góry. Papież Franciszek wielokrotnie wypowiadał się o sprawach seksualnych tak, jakby były pozbawione większego znaczenia. Już w pierwszych miesiącach swojego pontyfikatu wywołał duży skandal. Został zapytany przez dziennikarzy o to, jak ocenia pewnego włoskiego księdza, którego homoseksualna przeszłość wyszła na jaw za sprawą publikacji pikantnych zdjęć. „Kim jestem, żeby osądzać?" – odparł wtedy Jorge Mario Bergoglio, co przez środowiska lewicowe zostało odebrane jako proklamacja kościelnego désintéressement sprawą homoseksualizmu. Kolejne lata tylko pogłębiły to wrażenie. Papież nie reagował, kiedy w różnych krajach szerzyła się w Kościele propaganda homoseksualna; nie zabierał stanowiska w sprawie antykoncepcji; rzadko i jakby na marginesie wypowiadał się nawet w kwestii aborcji. Stało się jasne, że z perspektywy Franciszka o wiele ważniejsze są takie tematy, jak migracja czy ochrona klimatu. Przyznał to zresztą kilka razy publicznie, przekonując, że w jego ocenie grzechy seksualne nie są na ogół zbyt ciężkie. Cóż, niewątpliwie można pewnie znaleźć cięższe kategorie grzechów, ale w świecie, w którym młodzi ludzie zachęcani są do promiskuityzmu, a ewentualny „problem ciążowy" mają rozwiązywać za sprawą aborcji, takie lekkie potraktowanie problemu musiało budzić zastrzeżenia moralistów, duszpasterzy i wychowawców.

Franciszka już jednak nie ma; rządzi Leon XIV. Czy coś się zmieniło? Nie do końca. Nowy papież, dzięki Bogu, dość często potępia aborcję, tego nie można zakwestionować. W sprawach moralności seksualnej wykazuje jednak dokładnie tę samą postawę, co papież Franciszek – manifestuje brak zainteresowania. Już w 2025 r. amerykańska dziennikarka Elise Ann Allen zapytała go, czy nauczanie Kościoła w sprawie LGBT mogłoby kiedyś ulec zmianie. Zamiast odpowiedzieć jasno i kategorycznie, zaczął się wikłać. Twier-

eprasa.pl 72fac7a599

dził, że kwestia jest bezprzedmiotowa, bo „najpierw" musi ulec zmianie „kultura" w Kościele. Zabrzmiało to tak, jakby Leon co do zasady nie odrzucał przebudowy nauczania w sprawie LGBT…

Podobnie Ojciec Święty zachował się, wracając w tym roku z podróży po Afryce. Niemiecki dziennikarz chciał wiedzieć, co Leon sądzi o błogosławieniu par homoseksualnych w archidiecezji Monachium. Pod rządami kard. Reinharda Marxa takich błogosławieństw wolno udzielać bardzo uroczyście, co przypomina ślub. Leon rozpoczął odpowiedź od zdystansowania się od tematyki moralności seksualnej. Ogłosił, że są ważniejsze sprawy do dyskusji, takie jak „sprawiedliwość, równość, wolność mężczyzn i kobiet, wolność religii". Wyraźnie stwierdził: „To ma priorytet przed tamtą konkretną kwestią". Dopiero to powiedziawszy, stwierdził, że praktyka w Monachium mu się nie podoba, bo trzeba trzymać się bardziej ograniczonych formuł, które zostały zatwierdzone przez papieża Franciszka w „Fiducia supplicans" z grudnia 2023 r. Słowa Ojca Świętego spotkały się z wielkim zainteresowaniem w środowiskach lewicowych. Powszechnie uznano, że skoro Leon uznaje inne tematy moralne za bardziej istotne, to w kwestiach seksualnych w praktyce wolno więcej, niż wynikałoby to z czystej litery doktryny Kościoła katolickiego. Nic dziwnego, że w tej sytuacji rewolucjoniści kościelni nie przejmują się oficjalną nauką. Może i Kościół zakazuje antykoncepcji czy sodomii, ale w gruncie rzeczy: kogo to obchodzi?…

CZYNY ZŁE ZAWSZE I WSZĘDZIE

Takie laksystyczne podejście znajduje zresztą coraz silniejsze wsparcie teologiczne – i to w samym Watykanie, a wszystko za sprawą Franciszka. W pierwszych latach swojego pontyfikatu papież z Argentyny postanowił gruntownie przebudować dwie najważniejsze rzymskie instytucje, które zajmowały się moralnością w kontekstach małżeństwa i rodziny: Papieską Akademię Życia oraz Instytut Jana Pawła II. Powierzył je pieczy włoskiego biskupa Vincenza Paglii, stawiając mu konkretne zadanie: głęboka reforma, w zgodzie z nowym nauczaniem dotyczącym roli ludzkiego sumienia. Franciszek chciał, żeby obie instytucje odeszły od głoszenia moralności seksualnej w duchu tradycyjnego nauczania Kościoła, przede wszystkim zgodnie z dokumentami św. Jana Pawła II. Naukę papieża Polaka miała zastąpić nauka Jorge Maria Bergoglia, tak jak została wyrażona w adhortacji apostolskiej „Amoris laetitia" z 2016 r. Różnice były tu zasadnicze. Karol Wojtyła szedł za kościelną Tradycją, wskazując, że istnieje coś takiego, jak ludzka natura – a w związku z tym, że wiele elementów moralności jest ze swojej istoty niezmiennych. Dlatego istnieją czyny, które są złe zawsze i wszędzie, niezależnie od kontekstu historycznego i kulturowego. Papież Franciszek miał inne podejście. W jego optyce okoliczności życiowe mają tak wielką wagę, że trudno jest mówić poważnie o niezmiennym nacechowaniu moralnym różnych czynów. Jorge Mario Bergoglio postulował większe znaczenie indywidualnego sumienia, tak, by człowiek rozstrzygał, czy dany czyn, choć obiektywnie grzeszny, w jego przypadku nie jest przypadkiem moralnie dopuszczalny. W adhortacji „Amoris laetitia" ukazywał naukę Kościoła jako pewien ideał, do którego należy dążyć, ale który nie zawsze miałby być dla człowieka osiągalny. Dlatego niekiedy można uznać, że rzeczy obiektywnie grzeszne są jednak Panu Bogu miłe – wszystko zależy od okoliczności.

Vincenzo Paglia wykonał postawione mu zadanie. Wymienił kadry, przeorganizował funkcjonowanie obu instytucji. Skutecznie przeobraził je w maszynerię do promowania nowej wizji kościelnej nauki moralnej. Włoski biskup mówił o tej pracy w niedawnym wywiadzie, którego udzielił portalowi „Settimana News". To niezwykle wartościowe świadectwo, bo Paglia w ogóle nie ukrywał ostatecznych celów, które mu przyświecały. Jak podkreślił, jego intencją było przezwyciężyć esencjalizm, czyli pogląd, zgodnie z którym rzeczy mają określoną i niezmienną istotę. Dzięki temu – tłumaczył – można było odrzucić tradycyjne pojęcie natury człowieka, jako niepodlegającej zmianom w historii. Paglia na to miejsce wprowadził ujęcie właściwe dla historyzmu, czyli poglądu uzależniającego – w tym przypadku – zasady moralne od aktualnej kultury. Biskup wskazał też na jeden z konkretów, które udało mu się osiągnąć. W 2024 r. pod egidą Watykanu ukazała się książka zatytułowana „Radość życia", w której otwarcie mówi się o rewizji nauki na temat antykoncepcji.

Zgodnie z tym, co głosili papieże Pius XI, Pius XII, Paweł VI, Jan Paweł II czy Benedykt XVI – i zgodnie z Tradycją! – antykoncepcja jest niedopuszczalna moralnie. Różny może być tylko ciężar winy tych, którzy ją stosują, ale sama w sobie jest zła. W książce „Radość życia" rzecz przedstawia się inaczej. W jej ujęciu to małżonkowie decydują, czy w ich przypadku stosowanie antykoncepcji jest złe czy nie. Oto kreatywne sumienie w praktyce, tak jak uczy „Amoris laetitia". Oczywiście antykoncepcja to tylko jeden z przykładów. To samo można odnieść do homoseksualizmu, a także innych zagadnień moralnych; potencjalnie nawet do aborcji. Skoro nie ma ludzkiej natury, danej w określonym kształcie raz na zawsze, to ludzkich czynów nie da się już oceniać z perspektywy ich zgodności z naturalnym przeznaczeniem – wszystko jest wypadkową uczuć, relacji, okoliczności…

Leon XIV nie głosi przezwyciężenia esencjalizmu i płynnego rozumienia ludzkiej natury. Te kategorie filozoficzne są jednak gruntem, na którym zrozumiałe staje się jego désintéressement sprawami seksualnymi. Kardynał Reinhard Marx może i nie powinien pozwalać na uroczyste błogosławienie par jednopłciowych w Monachium, ale ostatecznie to dana gejowska czy lesbijska para, nawet jeżeli prowadzi pożycie intymne, nie musi być wcale grzeszna – zależy, jak definiuje swoją sytuację w życiu. Czy można to zatem pryncypialnie potępić? No właśnie…

Byłoby to wszystko nawet śmieszne, gdyby nie było tak przerażające. Nie ma jednak powodów do czarnowidztwa. Rdzenna ludność zachodnia ustępuje przecież miejsca napływowej ludności muzułmańskiej. Ta przynosi ze sobą zupełnie inne wzorce moralne w obszarze seksualności. Mogę się założyć, że już niedługo homoseksualizm będzie na terenie Europy kategorycznie zakazany – a wszystko w zgodzie z historycznie rozumianą prawdą, która wynika z aktualnej kultury, w tym wypadku – z kultury islamskiej. Nie wiem tylko, czy spodoba się to abp. Paglii. Ale to już nie mój problem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 72fac7a599

My, zwierzętoludzie



Monika Małkowska

To szaleństwo rozwija się od lat, ale dopiero od niedawna zaczęło przedostawać się do mainstreamu. Czym jest ekologia integralna i dlaczego chce zrównać ludzi i zwierzęta?

Hej, wy, ludzie! Myślicie, że jesteście na tym świecie panami? Tę antropocentryczną wizję postępowa nauka i filozofia wysłały na drzewo. Dobiega kresu człowieczy komfortocen, ta rozpanoszona ludzka wygoda. Posuńcie się więc, dwunożne ssaki, trzeba zrobić miejsce dla całej fauny, wejść z nią w relacje familiarne. Tę ideę lansuje ekologia integralna. Sygnały tego szaleństwa pojawiły się mniej więcej ćwierć wieku temu, ale jakoś umykały naszej uwadze jako zjawiska marginalne. Bo chodzi o sztuki wizualne i subkultury młodzieżowe. Przypomnę je poniżej.

PRAWA DLA SZCZURA

Zacznijmy z grubej rury: planeta Ziemia to dom dla ok. 8,7 mln gatunków, przynależnych do pięciu grup: zwierząt, roślin, grzybów oraz jednokomórkowców dwojakiego rodzaju. Przez tysiąclecia człowiek zajmował najwyższą pozycję w hierarchii ziemskich żyjątek jako jedyna istota rozumna, wedle tradycji judeochrześcijańskiej – stworzony na obraz i podobieństwo Boga, wyposażony w wolną wolę i nieśmiertelną duszę. Ten pogląd został poddany rewizji za sprawą lawinowo postępującej laicyzacji zachodnich kultur. Wątpiących i wciąż wierzących (w Stworzyciela) przekonuje się przykładem św. Franciszka, adwokata i protektora „braci mniejszych". Taaa… tyle że Biedaczynie z Asyżu chodziło o szacunek dla wszelkiego Bożego stworzenia, a nie o zrównanie tychże z człowiekiem.

Tymczasem z modnych naukowych teorii wynika, że *Homo sapiens* bezpodstawnie zawłaszczył całą przyrodę, niecnie wykorzystując swą intelektualną przewagę. Tymczasem jesteśmy po prostu „ludzkimi zwierzętami", a reszta fauny to „zwierzęta pozaludzkie". Jednymi z piewczyń tej koncepcji są prof. Magdalena Środa, a także ekseuroposłanka Sylwia Spurek, zresztą niegdyś rzeczniczka prasowa tej wpływowej „naukowczyni"; za takim poglądem optuje większość partii zielonych. Ich zdaniem nie różnimy się niczym od fauny, jako że posiadamy podobną budowę anatomiczną, takie same komórki, układ nerwowy i metabolizm. I najważniejsze: mamy zbliżone charaktery, emocje, reakcje i zachowania. Ergo, faunie należą się takie same prawa jak dwunożnym ssakom. Toteż prof. Środa postuluje przyznanie obywatelstwa zwierzętom domowym, nadanie statusu obywateli państw suwerennych zwierzętom dzikim, a zwierzętom liminalnym (karaluchy, szczury, inne insekty) umożliwienie funkcjonowania na prawach uchodźców.

HUMAN PUPPIES, FURSONY, TERIANIE

Niewiara w kreacjonizm, w nieśmiertelną ludzką duszę, w ogóle w boski współczynnik istoty człowieczej doprowadził do zadziwiających zjawisk. Wiecie, co to socjalizacja międzygatunkowa? To traktowanie pupili jak/zamiast innych członków rodziny. Stąd te wszystkie psiecka i kociecka; wózeczki dla petów, specjalnie dla nich komponowane diety pudełkowe, lody czy inne przysmaki. Niezły biznes. Ale o tym już było, więc tylko wzmiankuję. Natomiast nie wiem, czy do szerszej świadomości trafiło istnienie subkultur, których członkowie identyfikują się duchowo i psychicznie jako zwierzęta. Odcinają się od gatunku ludzkiego, bo to złe towarzystwo.

W czerwcu br. ulicami Warszawy przetoczyła się Parada Równości, odbywająca się pod hasłem „25 lat dumy. 25 lat buntu". Nie po raz pierwszy na paradzie pojawiło się kilka osób przebranych za psy – znaczy z twarzami zasłoniętymi psimi maskami, w zwierzęcych kostiumach; niektórzy chodzili na smyczy. Tę formę ekspresji wybierali przedstawiciele subkultury zwanej human pup play. Inną subkulturę tworzy społeczność futrzaków



Uczestnicy Parady Równości w Warszawie FOT. PAWEŁ SUPERNAK/PAP

eprasa.pl 72fac7a599

(kultura furry) – ludzi zafascynowanych antropomorficznymi zwierzakami. Członkowie tej formacji nazywają się fursonami i uważają się za artystów. Każdy wybiera sobie nowe alter ego w postaci człekobestii. Fani tej subkultury sami (no, czasem z fachową pomocą) szyją sobie rękodzielnicze kostiumy; kolekcjonują rysunki, komiksy i opowiadania własnego autorstwa; uczestniczą w konwentach lokalnych bądź międzynarodowych (jak np. Eurofurence), gdzie odbywają się rewie futrzastych kostiumów, fachowo zwanych fursuitami.

Jednak sztuka futrzasta to nie najbardziej ekstremalna forma zaprzeczania przynależności do *Homo sapiens*. Głębszy odchył to therianizm (w polskiej wersji terianizm albo terianotropia), trend zaistniały ponad 20 lat temu wśród bardzo młodych osób, słabo zintegrowanych z rówieśnikami. Wyznawcy tej subkultury czują, że zostali „uwięzieni" w ludzkim ciele, a tak naprawdę byli/są zwierzakami. W wyniku „przebudzenia" terianie odnajdują swe prawdziwe jestestwo. Niektórym wydaje się, że posiadają nadliczbowe, nieistniejące kończyny; pazury bądź skrzydła (dysforia gatunkowa). Żeby unaocznić, kim naprawdę są, nakładają realistyczne zwierzęce maski, doprawiają sobie ogony i uszy zwane therian gear. Trenują też zwierzęce ruchy i odgłosy – ćwiczą chód na „czterech łapach", skoki, bieganie, miauki, chrumkanie, szczekanie, wycie (do księżyca). Robią sobie rolki, które rozsyłają do podobnych sobie, instruując się w sprawach technicznych. Co zastanawiające – niektórzy terapeuci uznają, że w ten sposób małolaty lepiej sobie radzą z alienacją społeczną.



MONSTRA GRZECHU

W przeszłości również wyobrażano sobie międzygatunkowe „patchworki", jednak ludzko-zwierzęce hybrydy kreowano na użytek różnych latrii, mitów, praktyk religijnych. Na przykład w starożytnym Egipcie panował kult Anubisa, bóstwa mumifikacji, życia pozagrobowego, przewodnika dusz, przedstawianego jako mężczyzna z głową szakala albo po prostu jako czarny pies, postrzegany jako pośrednik między światem żywych i umarłych, a więc niezwykle potrzebny. Z kolei bóg Set (wedle niektórych wierzeń ojciec Anubisa), również hybryda człowieka i zwierzęcia o cechach szakala zmiksowanego z antylopą i okapi, reprezentował charakter demoniczny. No a kreteński Minotaur? Mało sympatyczny potwór, zamknięty w labiryncie facet z byczą głową, w dodatku ludojad. W średniowiecznej i renesansowej kulturze zachodniej monstra będące połączeniem ciał ludzkich i zwierzęcych służyły ku przestrodze – symbolizowały grzech, herezję oraz różne wady. Wyobraźnia ówczesnych artystów stworzyła całą galerię dziwolągów, wśród których znaleźli się cynocefalowie (psiogłowi) – hybrydy obdarzone ludzkim ciałem z głową psa albo szakala, porozumiewający się ze sobą szczekaniem. Echa tych wierzeń (i zakamuflowanej w nich dydaktyki) zachowały się w kolejnych stuleciach, kiedy rozpowszechniły się bajędy o wilkołakach, ludziach zamienionych w wilki bądź przybierających postać będącą połączeniem tegoż zwierzęcia z człowiekiem. Była to klątwa rzucona na grzesznika za zawarcie paktu z diabłem. Komu wydaje się, że te fantazje dawno wyparowały ludziom z głów, ten jest w błędzie. W psychologii figuruje pojęcie likantropii (wilkołactwa). To zaburzenie przejawiające się wiarą pacjenta, że jest wilkiem albo dzikim zwierzęciem, co może skutkować agresywnym, niebezpiecznym dla postronnych zachowaniem.

NIE BĄDŹ ŚWINIA

Teraz o zwierzęciu raczej łagodnym, udomowionym i wielce pożytecznym dla ludzkości, a jednak nie cieszącym się estymą z powodu (niesłusznego) pomówienia o zamiłowanie do życia w brudzie. Tak, mowa o świni. W judaizmie i islamie uchodzi ona za zwierzę nieczyste. Każdy zna przypowieść o synu marnotrawnym, który roztrwonił majątek, a potem zatrudnił się przy wypasie świń – a taka praca stanowiła najgorsze upodlenie. Także w bajkach i mitach przemiana człowieka w sus domesticus wydawała się karą gorszą niż uwięzienie w postaci innego zwierzęcia (może z wyjątkiem królewny żabki). Jest taki epizod w „Odysei", kiedy czarodziejka Kirke zamienia marynarzy Odyseusza w stadko prosiąt, pozostawiając im jednakowoż ludzką świadomość, przez co cierpią tym dotkliwiej. W naszej kulturze świnia symbolizuje negatywne cechy, a porównanie do niej przynosi ujmę. „Daj gryza, nie bądź prosię" – mówią dzieci, widząc kolegę zajadającego coś pysznego. Jeszcze coś z naszego folkloru. W przyśpiewce „Świniorz", onegdaj wykonywanej przez zespół Mazowsze, pasterz prosiąt zaleca się do dzieweczki, ona zaś go wyśmiewa: „Napisał on mi na bibulinie, że mnie tak kocha jak swoje świnie / A ja mu na to na papióreczku, żeń się ze świnią, mój świnioreczku". Jak widać, wieprzki nie miały brania. No, chyba że chodziło o wykorzystanie w sensie biologicznym. Kto widział film „O, Lucky Man" Lindsaya Andersona (klasyk z 1973 r.), ten nie zapomni „świńskiej sceny" w szpitalu, gdzie prowadzi się eksperymentalną hodowlę organów zastępczych. Najbardziej makabryczny moment to odkrycie dokonane przez głównego bohatera: że głowę młodego chłopaka przeszczepiono do cielska knura.

JESTEŚMY RODZINĄ

Podobny dreszcz grozy przeżyłam za sprawą instalacji Patricii Piccinini, artystki australijskiej o włoskich korzeniach, która w 2003 r. reprezentowała najmniejszy kontynent na Biennale Sztuki w Wenecji. Tytuł brzmiał: „We Are Family". Piccinini wykreowała wiele ludzko-zwierzęcych mutantów z silikonu, akrylu, skóry, ludzkich włosów oraz szklanych imitacji człowieczych oczu tak naturalistycznie, że wydawały się żywe. Trochę nieswojo robiło się na widok zmutowanych surykatek, istotek o ludzkim ciałku, stojących na kończynach dolnych, wspierających się na długich ogonach, bez wstydu demonstrujących genitalia. Ich mordki stanowiły połączenie ludzkiej fizjonomii ze zwierzęcą. Gapiły się na oglądających z zainteresowaniem i bez strachu. Ale clou pokazu to była… maciora, a raczej hybryda kobiety i świni. Odtworzona w skali 1:1. Budziła obrzydzenie, zarazem fascynowała. Rozwalona na boku, karmiła prosiaczkoniemowlaki. Morda tego stwora została zantropomorfizowana: ryj zamieniony w szeroki nos, na czole zmarszczki, szerokie wargi lekko rozciągnięte w uśmiechu… A ten wzrok! Inteligentny, nieco ironiczny. Zdawała się potwierdzać, że „jesteśmy rodziną". Jak to się stało? Może w efekcie jakiegoś kataklizmu? A może to tylko projekcja wyobraźni? Jakkolwiek by interpretować, ta instalacja była profetyczna. Unaoczniała ideę ekologii integralnej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 72fac7a599



Z Danutą Regulską i Alicją Zych-Kasienko, siostrami ks. Sylwestra Zycha
rozmawia Jerzy Dąbrowski

Okrągły Stół był kanciasty



Ksiądz Sylwester Zych (1950–1989)
FOT. JERZY DĄBROWSKI

JERZY DĄBROWSKI: Pierwsza pielgrzymka św. Jana Pawła II, wolność, którą zapoczątkowała Wiosna Solidarności, niedzielna Msza Święta w Polskim Radiu – to wszystko zaowocowało inicjatywą wieszania krzyży w szkołach. W styczniu 1981 r. uczniowie szkoły podstawowej w Szczecinku, gdzie uczył religii młody ojciec Tadeusz Rydzyk, powiesili na ścianach swojej szkoły krzyże. W Tłuszczu z podobną inicjatywą wystąpił ks. Sylwester Zych…

DANUTA REGULSKA: W szkole imienia Władimira Komarowa w Tłuszczu chciał powiesić na ścianie krzyże. Proboszcz nie zgadzał się na wieszanie krzyży. Zrobił to w momencie, kiedy proboszcz gdzieś wyjechał. Jedyna nauczycielka, która mu w tym pomagała, Klementyna Burchert została za to wyrzucona ze szkoły. Uczniowie i rodzice popierali wieszanie krzyży, jednak władze szkoły i lokalne władze komunistyczne były innego zdania. Od tej pory brat był już „na cenzurowanym". 3 maja 1981 r. zaczęło się jego prześladowanie przez Służbę Bezpieczeństwa. Władze kościelne przeniosły go za to w maju 1981 r. do parafii w Grodzisku Mazowieckim. Solidarność wywalczyła sobie wiele swobód, m.in. wolność wyznawania naszej religii. Czuliśmy, że od zmian zapoczątkowanych w Gdańsku nie ma odwrotu, dlatego stan wojenny był dla Sylwestra i wszystkich nas dużym ciosem.

Po ogłoszeniu stanu wojennego, w parafii, w której pracował ksiądz Zych, kilku chłopców założyło grupę o nazwie Siły Zbrojne Polski Podziemnej, która miała za zadanie rozdawanie ulotek w kościołach. Młodzi ludzie jednak na tym nie poprzestali i postanowili odbierać broń milicjantom, bo chcieli odbić internowanych więźniów politycznych w więzieniu na Białołęce…

ALICJA ZYCH-KASIENKO: Wzorowali się na tradycjach Legionów i Armii Krajowej. Pierwszy raz poszło im gładko z pijanym ZOMO-wcem. Innym razem odebrali broń milicjantowi, który nie stawiał oporu. Za trzecim razem, 18 lutego 1982 r., trafili na sierżanta Zdzisława Karosa, który widząc wycelowany w siebie pistolet, chwycił za broń. Padł strzał, sierżant Karos został ranny i po kilku dniach zmarł w szpitalu. Osierocił dwoje dzieci. To nieszczęście bardzo zaważyło na przyszłym życiu tych ludzi. Wiedzieli, jakie ksiądz ma poglądy, bo jeszcze przed wprowadzeniem stanu wojennego Sylwek podczas kazań wielokrotnie krytykował system PRL. Brat przez przypadek został wplątany w całą aferę. Jeden z chłopców powiedział mu na spowiedzi, że ukrył w kościele broń. Sylwestra obowiązywała tajemnica spowiedzi. Wszyscy bardzo szybko zostali aresztowani. Podczas przesłuchania brat powiedział: „Jako ksiądz czułem się zobowiązany udzielić pomocy i schronienia wszystkim, którzy takiej pomocy potrzebują, a więc i tym chłopcom".

D.R.: O aresztowaniu Sylwka dowiedziałam się z komunikatu w radiu: „Ks. Sylwester Z. z Grodziska Mazowieckiego". Nie mogło być pomyłki. Nie miałam wątpliwości. Byłam załamana. Jak się później okazało, czekał na milicję. Nad ranem przyjechała jednostka antyterrorystyczna. Obstawili kościół. Zrobili niesamowity kipisz. Odkręcali dno pralki, zrywali podłogi. Mówili, że Sylwek ukrywa listy, na których są nazwiska ludzi do likwidacji. Takiej listy nie znaleziono, bo jej nie było.

Reakcja służby więziennej i przesłuchujących esbeków nie była przychylna dla aresztowanych. W jaki sposób dowiedziały się panie o warunkach, w jakich przetrzymywano brata? W jakim stanie psychicznym był ks. Zych?

A.Z.K.: Jeden z aresztowanych Stanisław Matejczuk w grypsach z więzienia opisywał bicie i wbijanie szpilek pod paznokcie na komendzie w Pałacu Mostowskich. Sylwestra poddano bardzo brutalnemu śledztwu. Sutanną wycierano stołek, przykładali mu pistolet do głowy, bili, gdzie popadło, pluli na niego.

Przez pierwsze pół roku do sprawy nie wolno było się nam z nim widzieć. Był załamany. Rozprawa odbyła się po pół roku. Napisał tylko jeden list, w którym znalazły się słowa: „O jedno Was proszę: spróbujcie na chwilę o mnie zapomnieć, a zwłaszcza mamie zabraniam, aby z mojego powodu płakała". Mama bardzo przeżywała jego pobyt w więzieniu. Był to jej jedyny, ukochany syn. Od pierwszych chwil jego życia bardzo o niego dbała. Na pogrzebie nie można jej było oderwać od trumny.

W raporcie operacyjnym Wydziału IV Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych, zajmującego się inwigilacją i zwalczaniem kościołów, z 1984 r., jaki widziałyśmy po latach, czytałyśmy, że nawet TW „Bogdan", czyli ks. Bogdan Stelmach, który odwiedził brata w więzieniu, „uważał, że istnieje umyślna izolacja ks. Zycha i nie dopuszcza się go do widzeń".

W więzieniu robiono mu tzw. ścieżki zdrowia. Klawisze popychali go i bili

eprasa.pl 72fac7a599

pałkami. Braniewo i Mokotów to były najcięższe więzienia w Polsce. Przed każdą wizytą, już po procesie, kiedy zezwolono nam na widzenia, musiał się rozebrać, aby sprawdzić, czy czegoś nie chce nam przekazać, a i tak udawało mu się dać mi grypsy.

D.R.: Tomasz Łupanow został skazany na karę 13 lat pozbawienia wolności, Robert Chechłacz i Stanisław Matejczuk dostali po 25 lat, a ks. Sylwester Zych cztery lata pozbawienia wolności, które po rewizji prokuratorskiej podwyższono do lat sześciu.

A.Z.K.: Matejczukowa, matka Stanisława, powiedziała wtedy do mnie: „Pani nie płacze, sześć lat to nie jest dużo. Chłopcy dostali po 25 lat".

D.R.: Trzynastego dnia każdego miesiąca podejmował głodówki w proteście przeciwko traktowaniu go jak kryminalnego przestępcy. Karmiono go na siłę, rozrywając naskórek, kalecząc język i wybijając zęby.

Robił to ok. 200 razy. Dziewięć miesięcy w sumie był w izolatce. Za byle co była kara. Sylwek odmówił zeznań. Walczył o status więźnia politycznego i prawo do odprawiania Mszy Świętych. Ostatecznie wygrał 28 maja 1984 r., dokładnie trzy lata po śmierci Prymasa Tysiąclecia, który wyświęcił go na księdza i do którego czuł ogromny szacunek. Był pewien, że to właśnie śp. księdzu kardynałowi zawdzięczał, że został „wysłuchany przez Boga", jak pisał później do nas w liście. Był pierwszym księdzem w historii PRL, który mógł odprawiać Mszę Świętą na terenie więzienia podczas odbywania wyroku.

Wyszli dzięki amnestii rok przed zmianą ustroju. Na wolności Sylwek odwiedził parafię w Tłuszczu. Nawiązał współpracę z organizacjami patriotycznymi. Publikował w podziemnym piśmie „Jawniak". Został kapelanem robotników z Huty Warszawa i okręgu warszawskiego Konfederacji Polski Niepodległej. Do niego się wszyscy garnęli. Kiedy ks. Stanisław Suchowolec zaprosił go do swojej parafii, ludzie go witali brawami jak największego bohatera.

Jednak cały czas dostawali listy i telefony z pogróżkami.

D.R.: Matejczuka napadli nieznani sprawcy. W marcu 1989 r. Sylwester wyszedł z Teatru Powszechnego. Na Targowej ktoś wciągnął go do bramy. Próbowali mu wlać do ust alkohol. Przed wakacjami wywieźli go do Zielonki i dotkliwie pobili. Wiedzieli, że nie będą bezpieczni w Polsce. W kurii proponowano bratu wyjazd za granicę, ale on chciał zostać w Polsce.

Tomek Łupanow wyjechał do Irlandii. Silne przeżycia nie dały mu zapomnieć o sprawie sprzed lat. Nie wyszło mu też w małżeństwie. W 2011 r. targnął się na swoje życie. Został pochowany w Grodzisku Mazowieckim. Robert Chechłacz jest we Francji. Stanisław Matejczuk wyjechał do Stanów.

Po śmierci ks. Suchowolca Sylwester zdawał sobie sprawę, że niewiele mu czasu zostało. Jeszcze w 1987 r. napisał swój testament: „Czuję, że zbliża się mój dzień – czas spotkania z Panem, który uczynił mnie swoim kapłanem. Solidarnym sercem jestem ze wszystkimi, którzy dążą do Polski wolnej i niepodległej. Niech dobry Bóg was błogosławi i sprawi, abyśmy mogli spotkać się na gruzach komuny".

10 lipca po raz ostatni był widziany, jak płynął promem do Krynicy Morskiej.

Księża Jerzy Popiełuszko i Sylwester Zych nie daliby się oszukać. Staliby się „kością w gardle" „nowej" władzy, która zaczęła rządy od kolejnych przekrętów

A.Z.K.: Kiedy dowiedziałyśmy się o śmierci brata, w nocy z 12 na 13 lipca pojechałyśmy do Braniewa. Ostatnie chwile spędził w parafii u ks. Brandysa, kapelana więzienia w Braniewie, w którym siedział. Było się nam ciężko pozbierać. Kuria wysłała ks. Stelmacha, przyjechał po sekcji w Gdańsku. Podchodziliśmy do wszystkich ufnie. Lech Wałęsa dał nam samochód. W tym samochodzie był podsłuch.

D.R.: Pytali nas w prokuraturze, czy miał dziecko. Podstawili nam adwokata Zalewskiego. Nie wiadomo skąd on był. Pojechał z nami do Skierniewic i wszystkie rzeczy Sylwka wziął do siebie i teraz nie wiemy, co on wybrał z tych rzeczy dla siebie i co nam oddał.

A.Z.K.: Było tego mnóstwo. To wszystko trafiało do prokuratora Wojciecha Mazurka. Powiedziałam prokuratorowi: „Nie poznaję brata, bo w życiu nie widziałam go tak skatowanego jak teraz". On odpowiedział: „To nie pani sprawa, tylko prokuratury". Prokurator nie dopatrzył się złamanych czterech żeber i 54 innych obrażeń ciała. Dopiero poseł Edmund Marek Krasowski z Porozumienia Centrum, którego polecił nam mecenas Taylor, zobaczył nakłucia pod paznokciami i pod pachami.

Władzy w stanie wojennym trafiła się niesamowita okazja do budowania „czarnej legendy" zbrojnej opozycji, z którą musi walczyć ludowe państwo. Nieodzownym atrybutem do zapewnienia spokoju było utrzymanie stanu wojennego. Grzegorz Piotrowski, zabójca księdza Jerzego Popiełuszki, w 1985 r. przed sądem w Toruniu i minister Czesław Kiszczak w wywiadzie dla „Polityki" w 1986 r. wymienili ks. Zycha jako mordercę sierżanta Karosa. Za wszelką cenę chciano skompromitować Kościół i opozycję. Jakimi środkami do tego dążono w przypadku ks. Zycha?

A.Z.K.: W programie telewizyjnym niejakiego dziennikarza Gołębiowskiego, przygotowanym na specjalne życzenia rzecznika rządu Jerzego Urbana, w przededniu pogrzebu naszego brata, TVP przygotowała wywiad z barmanami i kelnerami z młodzieżowego klubu Riwiera. Opowiadali, że Sylwester pił wódkę.

Kelnerka pamiętała, że dała mu osiem kieliszków. Powiedziała, że Sylwek stał pomiędzy krzesłami. Z kolei barman zeznał, że Sylwester siedział na krześle.

D.R.: Sylwester wyszedł z więzienia z dyskopatią, z wybitymi zębami. Cały był spuchnięty. W więzieniu nabawił się astmy. Nie mógł wypić nawet jednego kieliszka, bo zaraz się dusił. Poza tym był zaangażowany w ruch otrzeźwienia narodu – akcję episkopatu. Po jakimś czasie jeden z barmanów, Grzegorz Kwaśniak, odwołał swoje zeznania, mówiąc: „Nie mogę dłużej żyć z wyrzutami sumienia. Tam, wtedy, w tym barze ks. Zycha nie było".

Nawet po sekcji, kiedy stałyśmy blisko prokuratora, który akurat rozmawiał z Urbanem przez jakąś krótkofalówkę, słyszałyśmy, jak rzecznik rządu powiedział: „Nie wiesz, ile mu dać. Napisz cztery promile".

eprasa.pl 72fac7a599



Od lewej: Alicja Zych-Kasienko oraz Danuta Regulska pod pomnikiem swojego brata ks. Sylwestra Zycha na rondzie w Zagościńcu FOT. JERZY DĄBROWSKI

Mataczono w śledztwie. Prokuratura kilkakrotnie umarzała śledztwo. Jak widać, nie było prawie nikogo, kto chciałby uczciwie wyjaśnić sprawę zabójstwa ks. Zycha.

A.Z.K.: Był świadek, który jechał autobusem. Słyszał, jak kogoś wyrzucali na dworcu. Jednak wycofał swoje zeznania. Nie ma fotograficznej dokumentacji miejsca znalezienia zwłok, co jest kluczową czynnością procesową w takich przypadkach, bo milicjant, który przyjechał na miejsce, w którym znaleziono brata, nie wziął ze sobą aparatu fotograficznego.

Lekarka Katarzyna Fryszak, która sprawdzała jego ciało na przystanku, nie widziała żadnych zadrapań na jego twarzy, chociaż – jak zeznawała – była od niego oddalona ok. 20 cm. Temperatura tego dnia wynosiła 28 st. C. Lekarka zeznała, że ciało było zupełnie zimne, kiedy jeszcze pół godziny wcześniej – jak zeznawali kelnerzy i barmani w restauracji Riwiera – widzieli Sylwestra żywego. Powiedziała, że był w pantoflach, a on był w sandałach. Oddali nam nie jego ubranie. Spodnie dziecinne, czarne slipy. On nigdy nie nosił czarnych slipów. Mówili, że był pijany i wymiotował, a koszula flanelowa, którą oddali była czysta, jakby wyjęta z pralki. Człowiek, który się przewraca, wymiotuje, nie ma tak czystej koszuli. Twierdzili, że miał ileś tam promili we krwi.

D.R.: Według nas to tej dr Fryszak w ogóle tam nie było. Sylwek był w koszulce polo, a pielęgniarka Elżbieta Kobielska powiedziała, że zawinęła rękaw flanelowej koszuli. Pamiętam dobrze tę koszulkę, bo ja mu ją kupiłam, jak jechaliśmy na wakacje, bo on za wszystkie pieniądze kupował cukierki dla dzieci. Jemu nigdy pieniądze nie były potrzebne.

A.Z.K.: Przyjechali z archiwum X. Wzięli sutannę, żeby zbadać DNA. Do tej pory nie oddali jej. Ludzie się pozmieniali. Nikt nic nie wie.

Na wizję lokalną w Krynicy pojechałyśmy 4 października 1989 r. Cały czas jechał za nami jakiś samochód. Poprzecinali nam przewody hamulcowe w naszym maluchu. Potem już mąż siedział w samochodzie, nie wychodził z niego i czekał na nas.

Dlaczego księża Suchowolec i Zych zostali zgładzeni kilka miesięcy po zakończeniu rozmów Okrągłego Stołu, kiedy wiadomo było, że ludzie odpowiedzialni za PRL nie zostaną pociągnięci do odpowiedzialności za swoją dotychczasową działalność? Czy była to zemsta ludzi starego systemu? Po co ktoś realizował precyzyjny scenariusz, który mógłby zakończyć się, jak w przypadku zabójstwa ks. Jerzego, wykryciem sprawców i ich wieloletnim pobytem w więzieniu?

D.R.: Jeszcze przed śmiercią pytałam Sylwka: „Może po tym Okrągłym Stole coś się wreszcie zmieni w Polsce?”. On mi odpowiedział: „Zobacz, jaki ten stół jest kanciasty. Czy ty widziałaś, kto tam był?”.

Myślę, że oni nie daliby się oszukać i staliby „kością w gardle” „nowej” władzy, która zaczęła rządy od kolejnych przekrętów. Dlatego trzeba było ich uciszyć, skoro nie dało się z nimi ułożyć. Ostatnie rewelacje, które opisał w swojej książce prokurator Andrzej Witkowski na temat namawiania do współpracy w bunkrze w Kazuniu ks. Jerzego, potwierdzają tylko nasze przypuszczenia.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 72fac7a599



KOMUCHOŻERCA

Mistyfikacje

LESZEK ŻEBROWSKI

Z oszustwami w historii, nawet na olbrzymią skalę, mamy do czynienia od dawna, czyli od starożytności. Historia potrzebna jest rządzącym do legitymizacji ich władzy i tworzenia nowej tożsamości. Na naszym podwórku warto wspomnieć to, co działo się po 1944 r., gdy komuniści z nadania Stalina objęli władzę. Tu nie wystarczało oszustwo dotyczące wojennych dziejów tzw. Polskiej Partii Robotniczej i jej zbrojnych bojówek: Gwardii Ludowej i Armii Ludowej. Do podparcia nowej władzy potrzebni byli zatem odpowiednio liczni sojusznicy. Nie musieli ich intensywnie szukać, sami pchali się w ich ręce. Władza jest bowiem jak narkotyk, odurza prawie wszystko wokół niej.

W 1945 r. po konferencji poczdamskiej stawało się jasne, że sowiecka okupacja Polski to będzie proces długotrwały. Można mu się było przeciwstawić, co też zrobili kontynuatorzy Polskiego Państwa Podziemnego, i dołączyć do powstania antykomunistycznego, choćby w obronie polskiego honoru i zamanifestowania obrony niepodległości. Ale można było wybrać drogę tzw. poputczików – to pojęcie oznaczało tych, którzy nie będąc komunistami, zdecydowanie poparli bolszewików w Rosji, licząc na odpowiednie profity. Jako pierwsi zrobili to w 1945 r. socjaliści (różnych frakcji), tworząc z komunistami Fołksfront, przygotowując się do całkowitego oddania się im we władanie. Finał był taki, że socjaliści – początkowo traktowani jako nominalni sojusznicy – dali się wcielić w szeregi władców Polski Ludowej, współtworząc z nimi tzw. Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. Poza kolaboracją i kapitulacją pozostały tylko niewielkie enklawy PPS, które szybko zostały unicestwione.

Nieco później komuniści zrobili to samo z Ruchem Ludowym. Po sfałszowanych wyborach w 1947 r., udanej ucieczce Mikołajczyka i masowych aresztowaniach opornych ludowców Polskie Stronnictwo Ludowe stało się w 1949 r. „Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym", będąc dla komunistów „pasem transmisyjnym do mas", czyli de facto agenturą do spacyfikowania wsi, co nominalnie trwało aż do 1989 r., a faktycznie znacznie dłużej.

Dlaczego tak łatwo udało się prosowieckiej komunie przejąć PPS? Warto sięgnąć do historii. W tej partii były różne nurty i bardzo silne były ciągoty probolszewickie. Ujawniły się one już podczas wojny 1920 r. W ulotkach PPS z tamtego okresu można znaleźć szokujące zapisy: „Dopomagać będziemy w pracy socjalistom i komunistom Sowieckiej Rosji". Po upływie ponad dwóch dekad te ciągoty nie zanikły. W programach PPS z lat 1939–1945 pobrzmiewały ciągoty do „dyktatury proletariatu". Dlatego ta partia tak łatwo padła łupem Sowietów. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Potop

SŁAWOMIR KOPER

W czerwcu 1654 r. abdykowała królowa Szwecji Krystyna i na tronie w Sztokholmie zasiadł jej wojowniczy kuzyn, Karol X Gustaw. Skandynawowie w tamtej epoce żyli z rabunku zamożniejszych sąsiadów i nowy władca od samego początku panowania dążył do kolejnej wojny, a wśród jego doradców ścierały się dwa poglądy. Część z nich proponowała atak na Rosję, a pozostali na Rzeczpospolitą. Szwedom ułatwił decyzję upór Jana Kazimierza, który po raz kolejny podniósł pretensje do szwedzkiej korony. Unikał też konkretnych rozmów ze Sztokholmem na temat współdziałania przeciwko Rosji i to w chwili gdy Moskwa po ugodzie z Kozakami w Perejasławiu odnosiła sukcesy militarne na Litwie, a Rzeczypospolitej groził całkowity upadek!

Propozycje szwedzkie były bowiem całkiem rozsądne. Atak Skandynawów na Rosję pozwoliłby odzyskać utracone niemal w całości Wielkie Księstwo Litewskie i zapewne zmusiłby do uległości Bohdana Chmielnickiego. W zamian Szwedzi żądali dwóch portów należących do pruskiego lennika Korony: Kłajpedy i Pilawy. Oczekiwali jednak również, że Jan Kazimierz zrezygnuje z pretensji do szwedzkiej korony, czego król nie zamierzał uczynić.

Przymierze ze Sztokholmem popierali magnaci. Janusz Radziwiłł (hetman wielki litewski) żądał wprost porozumienia ze Szwedami, uznając to za jedyną możliwość ocalenia Litwy. Podnosiły się głosy, że jeżeli Rzeczpospolita nie zawrze przymierza z Karolem Gustawem, to obok Kozaków i Rosji niebawem przybędzie kolejny przeciwnik. Wszystko jednak na próżno.

W lutym 1655 r. Karol Gustaw zadecydował ostatecznie, że to Polska stanie się celem ataku. Inwazja na Rosję bez sojuszu z Rzecząpospolitą nie rokowała nadziei na sukces, a władca Szwecji i jego doradcy byli realistami twardo stąpającymi po ziemi.

Wojna od samego początku zapowiadała się fatalnie. Korpusy Skandynawów wkroczyły od północy, a Rzeczpospolita nie wytrzymała uderzenia. Jako pierwsze 25 lipca 1655 r. pod Ujściem poddało się pospolite ruszenie z Wielkopolski, a kilka dni później Szwedzi wkroczyli do Poznania.

Szlachta nie chciała walczyć z najeźdźcami, kolejno rezygnowały z oporu poszczególne województwa. Na początku września bez walki poddała się Warszawa, kilka tygodni później skapitulował broniący Krakowa Stefan Czarniecki.

Jan Kazimierz schronił się na Śląsku, a uchodząc z kraju, zabrał ze sobą insygnia koronacyjne. Oprócz polskiej korony wywiózł również szwedzką oraz rosyjską, żadna nie miała zresztą w tej chwili większego znaczenia. Dla wszystkich liczyło się wyłącznie to, że monarcha opuścił kraj... ©℗

eprasa.pl 72fac7a599

Węgierska





Maciej Szymanowski

Węgry są na najlepszej drodze do tego, aby stać się pierwszym z prawdziwego zdarzenia krajem nieliberalnej demokracji w UE. Państwem, w którego poselskich ławach będą zasiadać przedstawiciele tylko jednej partii (TISZA), i jednocześnie krajem, który będzie posiadać dwóch prezydentów

Kiedy premier Węgier Viktor Orbán w 2014 r. stwierdził na Uniwersytecie Letnim w Tusványos (Siedmiogród) – którego kolejna, XXXV już edycja właśnie w tym tygodniu przebiega – że nieliberalne systemy polityczne panujące w takich państwach, jak Chiny, Rosja czy Turcja, pod wieloma względami równie sprawnie obsługują oczekiwania swoich społeczeństw, jak ma to miejsce w przypadku demokracji parlamentarnych w Europie, wybuchł niemały międzynarodowy skandal. Pojawiły się oskarżenia, że w ten sposób premier Orbán zapowiada zaprowadzenie dyktatury we własnym kraju. Zrządzeniem losu, prawdziwym chichotem historii, Węgry dopiero obecnie, w wyniku wyborów parlamentarnych 12 kwietnia, są na najlepszej drodze do tego, aby stać się pierwszym z prawdziwego zdarzenia krajem nieliberalnej demokracji w Unii Europejskiej. Państwem, w którego poselskich ławach będą zasiadać przedstawiciele tylko jednej partii (TISZA) i jednocześnie krajem, który będzie posiadać dwóch prezydentów.

Chyba tylko użytkownicy takiego języka jak węgierski byli w stanie stworzyć coś takiego, jak kostka Rubika, którą niektórzy układają w kilka sekund, a innym nie udaje się ta sztuka nigdy. Podobnie kompletnie niezrozumiała dla nikogo na świecie większościowo-proporcjonalno-większościowa ordynacja wyborcza daje od lat zwycięskiej (koalicji) partii każdorazowo komfortową (konstytucyjną) większość dwóch trzecich głosów w parlamencie. Także obecnej partii rządzącej TISZA, założonej przez całkowicie nieuchwytne do dzisiaj dla mediów osoby w prowincjonalnym, choć skądinąd bardzo urokliwym miasteczku, którym jest Eger. Poza kostką Rubika i oryginalną ordynacją Węgry zaoferowały również sobie i światu influencera, który stał się politykiem – kolejność określeń nie jest przypadkowa. A tak naprawdę nowy pomysł na prowadzenie polityki, który być może na naszych oczach wyznacza nowe trendy w Europie. Silniejsze niż trumpizm.

PESTKI ARBUZA NAD BASENEM

O czym mowa? Scharakteryzujmy to na przykładzie aktywności lidera partii TISZA – Pétera Magyara – na niedawnym szczycie przywódców NATO w Ankarze. Wysiadający z poważnymi minami politycy z samolotów i limuzyn? Białe koszule i ciemne garnitury? Agenci ochrony z charakterystycznymi słuchawkami w uszach? To wszystko oczywiście było, włącznie z prezentacją broni otrzymanej przez Magyara od prezydenta Erdoğana. Licząc w minutach, a raczej godzinach relacji live i nie live, pobyt w stolicy Turcji okazał się bardzo relaksujący. O czym dowiedzieliśmy się z filmików kręconych w basenie i wokół niego, z udziałem mężczyzny w tzw. sile wieku, którego wypracowana na siłowni sylwetka pozostawia niewiele do życzenia.

Dzień wcześniej, zgodnie z najlepszymi zasadami tzw. reportażu uczestniczącego, Péter Magyar z biegłością dużej klasy miejscowego przewodnika oprowadził widzów swojego kanału i innych chętnych telewizji po Ankarze. Dzień później, a ciągle mówimy o pobycie związanym ze szczytem państw NATO (32 państw, dysponujących 56 bln dol. skumulowanego PKB rocznie), premier Magyar co prawda znalazł też czas na zaatakowanie prezydenta własnego kraju, ale przede wszystkim wszyscy chętni mogli go podziwiać podczas widowiskowych zjazdów toboganem czy podczas gry w piłkę wodną. Sport bardzo popularny na Węgrzech i którego uprawianiu zresztą turecka woda zdaje się wyjątkowo sprzyjać. Fryzura typu corpo, w której gustuje premier Węgier, nic nie straciła na uroku – przy-

eprasa.pl 72fac7a599

ruletka



Na dużą popularność premier Péter Magyar ciężko zapracował, spędzając przed kamerą ok. czterech godzin dziennie

FOT. MARTON MONUS/REUTERS/FORUM

najmniej sądząc po licznie opublikowanych przy tej okazji filmach i zdjęciach.

Czy Węgry będą w kolejnych latach przeznaczać na obronność kwoty bliższe 5 proc. PKB, czy raczej sumie 2 proc. PKB, co jest od lat powodem stopniowo coraz ostrzejszych napięć na linii USA – państwa UE? O tym nie dowiedzieliśmy się nic. Chociaż wolnego czasu w słonecznej Ankarze premierowi Węgier nie brakowało. „Pestki arbuza wypluwam, a nie połykam […], wolę ciastka waniliowe niż te z makiem […], pokaz sztucznych ogni oraz ludowe tańce przed parlamentem [w Święto Narodowe 20 sierpnia] będą największe w historii". To tylko wybrane fragmenty z długiego wywiadu, którego dla rodzimego, prorządowego portalu Reddit.hu udzielił premier Magyar przy okazji pobytu w Ankarze.

Węgierkom i Węgrom, którzy w okresie komunizmu byli w stanie oglądać swoją telewizję (dwa kanały) przez średnio 3,5 godziny dziennie, a dzisiaj dokładnie taki sam czas spędzają statystycznie w Internecie, tego rodzaju styl polityki zdaje się mocno imponować, o czym świadczy sięgająca obecnie 70 proc. obywateli popularność premiera. Popularność, na którą Péter Magyar, spędzający ok. czterech godzin dzień w dzień przed kamerą – trzeba uznać, naprawdę ciężko sobie zapracował. Otwierając praktycznie każde posiedzenie plenarne obradującego codziennie, czasami także w niedzielę (nie mylić z posiedzeniami komisji, tych jest jak na lekarstwo), parlamentu godzinnym wystąpieniem, w ślad za którym odbywa się jeszcze konferencja prasowa w otoczeniu trzech rzeczniczek rządu oraz kręcenie licznych setek… Wpięty w klapę marynarki mikrofon, który dyskretnie, choć znacząco obniża ton głosu Magyara, oraz oko kamery – obecne nierzadko już podczas śniadania w okolicach godz. 7, spożywanego w nienagannie wyprasowanej białej koszuli – stały się częścią Napi hírek – czyli Wiadomości. W sumie o tyle cenniejszych, że w międzyczasie decyzją premiera z mediów publicznych zniknęły do odwołania praktycznie wszystkie programy i serwisy informacyjne. Zamiast nich do głosu doszli Zoltán Kodály i Béla Bartók, w końcu kompozytorzy globalnej jakości, albo nie mniej ceniony w sumie na świecie węgierski folklor.

NIESPEŁNIONE OBIETNICE

Otwarta pozostaje kwestia, jak długo można liczyć na 20–30-krotne podkręcenie oglądalności posiedzeń parlamentu, jak ma to miejsce w ostatnich tygodniach na Węgrzech. A ściślej, jak długo to zjawisko może być korzystne dla sprawujących władzę? Realizacja obiecanych 1243 konkretów – liczba dziwna dla Polaka, ale po prostu odwołująca się do podręcznikowej daty, czasów odbudowy Królestwa Węgier po spustoszeniu państwa przez hordy Mongołów (dla mniej domyślnych, czytaj: Viktora Orbána i Fideszu). Na razie przynajmniej, polityka nowego rządu jest niespójna, chaotyczna, a nierzadko – ryzykowna. Najpóźniej po powrocie z wakacji węgierscy nauczyciele dowiedzą się np., że zamiast 20 proc. podwyżki uposażeń od 1 lipca br. otrzymają wyższe przelewy na swoje konta o pełne 0,4 proc. (w przeliczeniu ok. 30 zł miesięcznie). Co prawda, z wyrównaniem od 1 stycznia, ale biorąc pod uwagę fakt, że w tym samym styczniu, jeszcze za rządów poprzedniego gabinetu, pensje w szkolnictwie, także od 1 stycznia, wzrosły przeciętnie o ok. 10 proc., mamy do czynienia z działaniem, którego lepiej chyba w ogóle nie podejmować.

Kwestia faktycznego braku dwucyfrowych podwyżek pensji dla nauczycieli i ogólnie sfery budżetowej, które miały dokonać się natychmiast po wyborczym zwycięstwie partii TISZA, i o czym byli przekonani w znaczącym stopniu (dokładnie co czwarty) nawet ci, którzy ostatecznie oddali wiosną swój głos na Fidesz – to jedno. Podobnie, jak bardzo dokładne usunięcie ze stron partii TISZA oraz infosfery specjalnych kalkulatorów, przy pomocy których np. adiunkt uniwersytetu dowiadywał się, że jeszcze przed wakacjami jego pensja wzrośnie – w przeliczeniu – o 1200–1300 zł. Brak obiecanych podwyżek, jak nietrudno zgadnąć, jest usprawiedliwiany publicznie fatalnym stanem budżetu państwa i ogólnie rabunkowymi rządami poprzedników. To nieprawda, ale też niepolskie zmartwienie. Nie brak bowiem decyzji rządu nad Dunajem podjętych w ostatnich tygodniach, które nie powinny nam umknąć.

Zacznijmy od razu od tego, że nie chodzi o rządową inicjatywę odwołania

eprasa.pl 72fac7a599



Premier Péter Magyar nawet w delegacji pokazuje fanom, jak ciężko pracuje

FOT. MAGYARPETER_TISZA/REDDIT

z funkcji prezydenta Tamása Sulyoka. Osoby bez politycznych ambicji, bez prawa weta, wieloletniego prezesa Trybunału Konstytucyjnego, który przy okazji obchodów 70. rocznicy Poznańskiego Czerwca odwiedził niedawno nasz kraj. Nowa parlamentarna większość w trybie nowelizacji konstytucji ad hoc zdecydowała, że posłem węgierskiego parlamentu będzie można zostać maksymalnie trzy razy, premierem – dwa razy, a prezydenta państwa będzie można odtąd wyrzucić z roboty w sumie z dnia na dzień. Przed upływem kadencji, bez postawienia jakichkolwiek zarzutów – o czym jasno mówią wciąż nieuchylone przepisy konstytucji. Do tych bowiem, z odwołaniem się na złamanie jakiegokolwiek artykułu konstytucji lub popełnienie przestępstwa pospolitego z zakresu Kodeksu karnego – węgierski rząd, i słusznie, z obawy przed samoośmieszeniem się w ogóle się nie kwapi. Wciąż widocznie żywi nadzieję, że prezydent sam poda się do dymisji. Prezydent Sulyok być może zresztą tak uczyni, dochodząc do wniosku, że w wieku 70 lat nie będzie kopać się z koniem. Tym bardziej że w tym czasie pojawiły się próby kryminalizacji jego syna, który ponoć miał nie zapłacić faktury w styczniu ub.r. za hotelowy nocleg w USA. Jak było faktycznie, nie wiemy. Skąd premier Węgier dysponuje taką wiedzą, też nie. Dziennikarz śledczy (ale oczywiście nie taki, który był w kampanii wyborczej gwiazdą również wielu polskich mediów, mając dostęp do nagrań rozmów telefonicznych ministrów spraw zagranicznych Rosji i Węgier), od którego dowiemy się o roli służb specjalnych we wspomnianej kwestii, na pewno będzie zasługiwał na nagrodę. Tym bardziej nie wiemy, czy prezydent Węgier ulegnie presji o podanie się do dymisji. Jeśli nie, a rządząca parlamentarna większość zdecyduje się na wybranie własnego kandydata, to już podczas przyszłorocznych obchodów rocznicy Poznańskiego Czerwca będziemy być może w stanie gościć u siebie dwóch prezydentów Węgier.

WAŻNE DLA POLSKI

To żart lub nie żart. Ważniejsze jest to, że w najnowszym pakiecie zmian węgierskiej konstytucji, gdzie „wygaszenie" kadencji prezydenta skoncentrowało na sobie uwagę Węgier, a w niemałym stopniu też świata, zostały przegłosowane – z polskiego punktu widzenia, kto wie, czy nie ważniejsze nowelizacje.

Po pierwsze, ograniczeniu mają ulec kompetencje Rady do spraw Budżetu. W praktyce oznacza to, że Węgry wbrew składanym przez obecnego premiera Magyara obietnicom wcale nie wstąpią do strefy euro. Odwrotnie, nowy rząd chce uzyskać możliwości zwiększenia deficytów budżetowych państwa. Zatrudnionych w węgierskim szkolnictwie oraz przedstawicieli wielu innych grup zawodowych, które w ramach Programu 1243 Konkretów też oczekują wyraźnych podwyżek uposażeń, taka wiadomość zapewne ucieszy, dla Polski, której deficyty budżetowe biją kolejne rekordy, przy kryzysie finansowym Rumunii i Bułgarii, nienajłatwiejszej sytuacji makroekonomicznej na Słowacji, wojny na Ukrainie, dołączenie Węgier, kolejnego państwa Europy Środkowej do krajów o wysokim deficycie budżetowym – już teraz w końcu sięgającym 5 proc. PKB, podwyższa ryzyko znalezienia się Polski w pociągu, który pewnego dnia dokona urealnienia kursu złotego czy kursów akcji na warszawskiej giełdzie.

Do tego inną przeforsowaną nowelizacją, która bez wątpienia uderzy w giełdę – pytanie, czy tylko w Budapeszcie, jest nowo powoływany do życia Urząd do spraw Lustracji i Odzyskiwania Majątku. Redaktor Jędrzej Bielecki przed kilkoma dniami na łamach dziennika „Rzeczpospolita" ocenił, że nowy urząd jeszcze w br. pozyska sumę 8,5 mld euro. Nie wchodząc w zastosowaną metodykę obliczeń, nieujawnioną zresztą, odbieranie (nacjonalizacja) majątku na podstawie decyzji administracyjnej to w gospodarce rynkowej pomysł, gdyby faktycznie miał zostać zrealizowany, na katastrofę. Nawet jeśli Antal Rogán, wysokiej rangi polityk Fideszu, o którym najczęściej mowa w omawianym kontekście, faktycznie nabył, a ściślej jego rodzina, po okazyjnej cenie grunty, na których wybudował tysiące mieszkań, które następnie sprzedawał i sprzedaje z wielkim zyskiem, trafi do więzienia, to będzie się bronił przed sądem. W tym czasie jego prawnicy mogą zadbać o to, aby do czasu ostatecznego sądowego rozstrzygnięcia zablokować zmiany majątkowe w jego inwestycjach. Czy państwo będzie potrafiło przełamać taką blokadę i pozyskać majątek jego firm deweloperskich? Być może. Równie dobrze może to poskutkować utratą płynności finansowej wielu budowlanych firm, wycofaniem się kapitału amerykańskiego czy izraelskiego kapitału inwestycyjnego na rynku nieruchomości czy problemami z kupnem (pozyskaniem kredytu hipotecznego)/sprzedażą mieszkania z uwagi na niepewną sytuację prawną gruntów etc.

I ostatnia ważna dla nas – jak na chwilę obecną przynajmniej – kwestia. Po kwietniowych wyborach, po latach blokady Węgry zaczęły otrzymywać pierwsze miliardy euro z tzw. KPO. Co prawda, nie tyle, ile oczekiwały, ale jednak. Jednocześnie w dalszym ciągu, w wyniku werdyktu TSUE sprzed dwóch lat, naliczana jest im kara w wysokości 1 mln euro dziennie – w sumie to już blisko 1 mld euro za to, że nie udzielają azylu politycznego, prawa do pobytu tym imigrantom, którzy pojawili się na terytorium państwa nielegalnie. W tym punkcie Komisja Europejska pozostała nieugięta, a jej wysokiej rangi urzędnicy mówią, że Węgry nie są państwem znajdującym się pod presją migracyjną. Tym samym od przyszłego roku nie będą zwolnione od przyjmowania lub obligatoryjnego płacenia za każdego nieprzyjętego imigranta sumy 20 tys. euro. Lub kwoty wyższej, bo o tym będzie decydować corocznie Komisja Europejska, pod naciskiem Niemiec, Francji, Włoch – słowem, największych państw UE.

Tak się dziwnie składa, że od kwietnia 2026 r. coraz więcej wysokich rangą polityków Komisji Europejskiej zaczęło twierdzić, że Polska przestała być państwem znajdującym się pod presją migracyjną…

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Maciej Szymanowski to hungarysta i historyk, wykładowca SEW UW.

eprasa.pl 72fac7a599



8 lipca we Lwowie doszło do zamieszek, podczas których demonstranci przewrócili auto Terytorialnego Centrum Rekrutacji i Wsparcia Społecznego

FOT. HANDOUT/UKRAINIAN PROSECUTOR GENERAL OFFICE/AFP/EAST NEWS

Jak Ukraińcy unikają wysłania na front



Maciej Pieczyński

Zamieszki we Lwowie kolejny raz pokazały, że przymusowa mobilizacja wywołuje bunt w ukraińskim społeczeństwie. Kijów nie potrafi zachęcić swoich obywateli do umierania za kraj, rządzony przez skorumpowanych urzędników

Wieczorem 8 lipca funkcjonariusze Terytorialnego Centrum Rekrutacji i Wsparcia Społecznego (w skrócie TCK) wraz z policją patrolowali ulice lwowskiej dzielnicy Sychiw. Gdy legitymowali jednego z przechodniów, okazało się, że 30-latek jest poszukiwany za uchylanie się od służby wojskowej. Miał więc zostać zatrzymany i zawieziony do regionalnej siedziby TCK. Jednak na miejscu zdarzenia zaczął się gromadzić tłum obrońców „uchylanta". Oburzeni demonstranci otoczyli funkcjonariuszy. Skandowali: „Hańba!". Wybili szyby w samochodzie służbowym TCK, a następnie przewrócili auto na bok. W tym spontanicznym proteście udział wzięło prawdopodobnie nawet ok. 200 osób. Szef lwowskiej obwodowej administracji wojskowej Maksym Kozycki zapewnił, że winni zamieszek zostaną zatrzymani i pociągnięci do odpowiedzialności. Jednocześnie zaznaczył, że zostaną zbadane okoliczności zdarzenia pod kątem ewentualnych nadużyć funkcjonariuszy.

ROZMOWA WYCHOWAWCZA

Uczestników zamieszek błyskawicznie odnaleźli i przywołali do porządku lwowscy weterani, zmuszając do przeprosin, które zostały nagrane i opublikowane w Internecie. Na nagraniu widać dwóch młodych mężczyzn. Krzyczą: „Sława TCK!", po czym kajają się za to, co zrobili. Obaj poprosili o wybaczenie za swój postępek. Pierwszy przyznał się, że skakał po służbowym samochodzie TCK i wybił przednią szybę. Obiecał, że w ramach rekompensaty pójdzie na ochotnika do wojska. Drugi nie musiał tego robić, bo... już jest żołnierzem, przebywającym na przepustce. Nagrania opublikował Anton Petriwski – nieformalny lider lwowskich

eprasa.pl 72fac7a599

środowisk weteranów. Zapewnił, że z wandalami została przeprowadzona „rozmowa wychowawcza". Petriwski walczył na froncie w ramach ATO [operacji antyterrorystycznej, jak nazywany jest separatystyczny etap konfliktu – przyp. red.], służy również obecnie. Wcześniej zasłynął jako inicjator ustanowienia we Lwowie pomnika Romana Szuchewycza. Po publikacji jego nagrania ujawnił się jeszcze trzeci „chuligan". Do skruchy zmusił go zastępca dowódcy 3. Korpusu Armijnego Dmytro Kucharczuk. Po sprawcy widać, że jest przerażony. Drżącym głosem, prawie płacząc, zapewnia, że jest gotów ponieść karę, i przeprasza cały naród Ukrainy oraz własną rodzinę, że przyniósł jej wstyd. Tymczasem policja zatrzymała tylko jedną osobę – najbardziej agresywnego demonstranta, który zaatakował jednego z funkcjonariuszy.

INTRATNY BIZNES

Ze strony przedstawicieli władzy słychać głosy potępienia wobec sprawców, brakuje natomiast samokrytycznej refleksji. Nic nie wskazuje na to, by Kijów planował ograniczenie mobilizacji czy też złagodzenie jej przebiegu. Tymczasem Ukraińcy w wieku poborowym coraz częściej unikają pójścia do wojska. Przez cały 2025 r. przy próbie ucieczki z kraju zatrzymanych zostało 13 tys. „uchylantów". Z tego 1,4 tys. przypadków dotyczy granicy z Białorusią. Przy czym nie oznacza to, że zatrzymano literalnie tyle właśnie osób. Wielu mężczyzn próbowało kilka razy przekroczyć granicę. Między styczniem a majem 2026 r. takich prób było 5 tys. Widać tendencję spadkową. Liczba „uchylantów" maleje, ale wciąż jest wysoka.

Zresztą nie wszyscy poborowi, pragnąc uniknąć wysłania na front, uciekają za granicę. Część ukrywa się w kraju. Nie ma statystyk, które by jednoznacznie odpowiedziały na pytanie: „Ile osób uchyla się od służby, przebywając na samej Ukrainie?". Skalę można jednak w przybliżeniu oszacować na podstawie liczby osób, poszukiwanych przez TCK za złamanie przepisów prawa o mobilizacji. Według stanu na początek 2026 r. takich osób było 2 mln. Mówił o tym publicznie minister obrony Mychajło Fedorow.

Kwestia uchylania się od mobilizacji nie ogranicza się bynajmniej do indywidualnych przypadków zdesperowanych Ukraińców, którzy na własną rękę próbują uciec przed perspektywą śmierci w okopach. „Uchylanci" stali się tak masową grupą społeczną, że powstała cała rozbudowana gałąź „usług". Takie są prawa rynku, szczególnie w kraju tak skorumpowanym, jak Ukraina. Obsługiwanie potrzeb osób, unikających służby wojskowej, stało się intratnym biznesem. 8 lipca SBU i policja poinformowały o wykryciu 12 nowych schematów uchylania się od mobilizacji. Sprawcy proponowali poborowym pomoc za kwotę od 1 tys. do 33 tys. dol. W „ofercie" były takie „usługi" jak podrobione dokumenty, fikcyjne zwolnienia lekarskie, fałszywe zaświadczenia o niepełnosprawności czy pomoc w przekroczeniu granicy poza przejściami granicznymi.

Ukraińcy w wieku poborowym coraz częściej unikają pójścia do wojska. Nie wszyscy jednak uciekają za granicę

W obwodzie czerniowieckim zatrzymano naczelnika oddziału straży granicznej. Był zamieszany w organizację nielegalnej migracji do krajów Unii Europejskiej. Kanał ten prawdopodobnie wykorzystywał również do przemytu papierosów. Z kolei na Charkowszczyźnie zatrzymano czterech lekarzy, którzy, według ustaleń SBU, bezpodstawnie wysyłali poborowych na leczenie, po czym wydawali im podrobione zaświadczenia o zaliczeniu do I lub II grupy inwalidzkiej. Sądząc po wynikach śledztw, służba zdrowia jest sferą szczególnie narażoną na korupcję. Szczególnie że jest ona kluczowa dla poborowych, którzy chcą uniknąć służby w wojsku bez konieczności ucieczki z kraju. W obwodzie połtawskim trzech lekarzy podejrzewanych jest o sprzedaż fałszywych zaświadczeń o stanie zdrowia, uprawniających do odroczenia służby. W tym samym regionie służby zatrzymały dowódcę batalionu, który za pieniądze „przymykał oko" na dezercję podkomendnych.

Od korupcji, rzecz jasna, nie są wolni również pracownicy TCK. W obwodzie żytomierskim zatrzymano szefa jednego z lokalnych oddziałów tej służby. Wystarczyło zapłacić mu odpowiednią sumę, aby zostać wykreślonym z bazy danych TCK, w której umieszczani są poszukiwani poborowi. Taka machinacja dawała delikwentowi tymczasowy „immunitet", chroniący przed wezwaniem do wojska. W obwodzie kirowohradzkim zatrzymano mężczyznę, który poprzez swoje osobiste znajomości we władzach załatwiał poborowym zwolnienie z mobilizacji. Oferował również instalację fałszywej wersji aplikacji „Rezerw+" z danymi oznaczającymi zwolnienie z mobilizacji. Aplikacja ta przeznaczona jest dla osób podlegających obowiązkowi wojskowemu. Za jej pośrednictwem aktualizują swoje dane w ewidencji wojskowej, sprawdzają też swój status jako poborowego. Na Zakarpaciu natomiast służby zatrzymały zastępcę szefa placówki straży granicznej, który organizował przerzut mężczyzn przez granicę z UE. W tym samym regionie zatrzymano dezertera, który wraz ze znajomym przewoził „uchylantów" do niewielkiej miejscowości w środku lasu, przy samej granicy, skąd już łatwo było ją przekroczyć, pozostając niezauważonym. W obwodzie winnickim uwadze służb nie uszedł kierowca lawety, transportującej samochody za granicę. W przewożonych autach zamierzał przemycić „uchylantów". W samej Winnicy w ręce wymiaru sprawiedliwości wpadły jeszcze dwie osoby, pomagające za pieniądze uciec przed armią. Pewien przedsiębiorca obiecywał, że załatwi stosowną grupę inwalidzką, fałszując dokument, potwierdzający hospitalizację. Inny figurant miał za pewną opłatą „wyciągnąć" zmobilizowanego z TCK.

W Zaporożu pewien poborowy kupił sobie fikcyjne miejsce pracy w fabryce zbrojeniowej, co zgodnie z prawem chroni przed służbą w wojsku. Następnie planował uciec z Ukrainy pod pozorem zagranicznej delegacji. Ludziom oskarżonym w wymienionych sprawach grozi do 10 lat więzienia.

STRACH PRZED GNIEWEM LUDU

Opinia społeczna w sprawie „uchylantów" jest podzielona. Incydent we

eprasa.pl 72fac7a599

Lwowie wywołał zrozumiałe oburzenie nie tylko ultrapatriotycznej części sceny komentatorskiej. Atak na mundurowych niewątpliwie szkodzi samej sprawie obrony przed Rosją. Wielu publicystów nawołuje do skuteczniejszej niż dotychczas walki z „uchylantami". Niektórzy jednak apelują, aby stosować bardziej subtelne metody. Tak zwana busyfikacja (łapanka na ulicy połączona z siłowym wsadzaniem do busów) raczej nie przynosi popularności idei mobilizacji. Między innymi dlatego publicysta Jurij Hajdaj proponuje blokowanie kont bankowych czy zabieranie prawa jazdy. Bloger Serhij Fursa natomiast oskarża rządzących Ukrainą o zdradę własnej armii. Zdrada polega na tym, że ze strachu przed gniewem ludu (a zarazem przed spadkiem poparcia w przyszłych wyborach) nie potrafią głośno potępić ataków na TCK. Dziennikarka Maryna Danyluk-Jarmołajewa kpi z prezydenta Zełenskiego, który boi się wziąć odpowiedzialność za kryzys wokół mobilizacji i potrafi jedynie wydusić z siebie kilka banalnych słów o tym, że „to (co we Lwowie) nie powinno się wydarzyć". Tymczasem problemem, zdaniem publicystki, jest zarówno brutalność demonstrantów, atakujących funkcjonariuszy TCK, jak i brutalność funkcjonariuszy TCK, stosujących przemoc wobec zatrzymywanych „uchylantów".

Z drugiej strony część komentatorów próbuje wczuć się w sytuację ludzi, którzy walczyć nie chcą. Dwa duże ukraińskie portale, Espreso oraz NV.ua, opublikowały niedawno obszerny facebookowy wpis dyrektora Centrum Badań Bliskowschodnich, a zarazem publicysty, Ihora Semywołosa, poświęcony „sieci antymobilizacyjnej" nad Dnieprem. Ekspert podkreśla, że „uchylanci" to jedynie wierzchołek góry lodowej problemu. Pomaga im bowiem cała, trudna do spacyfikowania sieć wzajemnych układów i zależności. „Jest to zorganizowana struktura" – przekonuje Semywołos. I wylicza patologie, składające się na ową „sieć". Po pierwsze: adwokaci, specjalizujący się w tzw. broni. „Bron`" to żargonowe słowo, pochodzące od terminu „broniuwannia wijśkowozobowiazanych", co oznacza objęcie danej osoby ochroną przed mobilizacją. Po drugie: komisje lekarskie, ustalające własne cenniki

Mobilizacja staje się symbolem państwa opresyjnego i skorumpowanego

łapówek. Po trzecie: fikcyjne zatrudnienia w infrastrukturze krytycznej. Praca w tej dziedzinie gospodarki (w tym we wspomnianej wyżej zbrojeniówce) również chroni przed wzięciem w kamasze. Po czwarte: tzw. okna na granicy, czyli miejsca, w których przez pewien czas można bezpiecznie nielegalnie wydostać się z kraju, korzystając ze swego rodzaju „okna możliwości" dla „uchylantów". Po piąte: popularne na Telegramie kanały i zamknięte grupy, których członkowie wymieniają się informacjami o miejscach, w których aktualnie „grasują" pracownicy TCK. Coś na kształt internetowego CB-radio dla ukraińskich poborowych. Inaczej niż kierowcy ciężarówek internauci ostrzegają się nawzajem nie przed ryzykiem otrzymania mandatu, tylko przed niebezpieczeństwem otrzymania wezwania do wojska. „Ludzie bardziej wierzą w informacje, przekazane na czacie przez sąsiada z bloku, niż w oficjalne komunikaty rzecznika TCK. To nie jest irracjonalizm. To jest racjonalna postawa wobec instytucji, która nie wywołuje zaufania" – diagnozuje Semywołos.

Publicysta wyróżnia kilka poziomów „sieci antymobilizacyjnej". Pierwszy, najmniej groźny dla państwa – to indywidualne przypadki uchylania się od służby poprzez osobiste znajomości w instytucjach, mogących w takim procederze pomóc. Drugi to zorganizowane sieci usług dla „uchylantów", czyli w pełni profesjonalna, równoległa i konkurencyjna wobec państwa struktura, która działa szybciej, sprawniej, a ostatecznie również niekiedy sprawiedliwiej niż państwowe organy. Z perspektywy obywatela to nawet nie tyle udział w procederze korupcyjnym, ile próba sprawnego załatwienia własnej sprawy. Można takie nastawienie streścić następująco: „Skoro państwo chce mnie wysłać na front wbrew mojej woli, nie licząc się z moim zdaniem, to ja już wolę to równoległe »państwo«. Ono jest w pewnym sensie uczciwsze, bo wystarczy, że zapłacisz i rozwiąże twoje problemy". Dlatego, przekonuje Semywołos, schematy korupcyjne skutecznie walczą o lojalność obywatela z majestatem państwa ukraińskiego. Stąd wynikać może (to już mój wniosek) następująca ocena sytuacji: „Skoro państwo i tak jest przeżarte korupcją i nie traktuje obywatela poważnie, to już lepiej załatwiać swoje sprawy wprost tą nielegalną drogą, niż naiwnie liczyć na skuteczność instytucji".

Trzeci poziom to „ideologiczne sieci demobilizacji". Czyli świadome tworzenie narracji, które osłabiają wolę walki. Tutaj ekspert widzi przemożną rolę rosyjskich służb specjalnych, które podgrzewają wewnętrzne spory nad Dnieprem, aby odbierać Ukraińcom motywację do obrony kraju. Czwarty poziom zaś to „instytucjonalne uchylanie się od służby". Zdaniem Semywołosa jest to najniebezpieczniejsza i najbardziej destrukcyjna z punktu widzenia państwa praktyka. Chodzi o to, że właściciele wielkich przedsiębiorstw płacą ogromne sumy, aby ich firma (realnie funkcjonująca czy też fikcyjnie założona) została wpisana do rejestru infrastruktury krytycznej, której pracownicy nie muszą iść do wojska, bo i tak wykonują swoją niezbędną pracę na rzecz obronności. To zaś działa niezwykle demoralizująco. Widać bowiem, że urzędnicy państwowi są nie tyle nieudolni, ile zwyczajnie nieuczciwi. Nie tyle popełniają rażące błędy, ile świadomie dążą do tego, by jak najwięcej nielegalnie zarobić. Zamiast robić wszystko, aby Ukraina przetrwała inwazję rosyjską, czynią, co w ich mocy, aby napchać własne kieszenie. Obywatele to widzą i zadają sobie pytanie: „Skoro rządzący najwyraźniej nie traktują wojny jako zagrożenie egzystencjalne, tylko jako sposób na wzbogacenie się, to może jednak nie jest tak groźnie i nie ma co nadstawiać karku za rządzących?".

Państwo traci zaufanie społeczne, które jest fundamentem mobilizacji. Sama zaś mobilizacja, biorąc pod uwagę korupcję szalejącą nawet w szeregach TCK, przestaje wyglądać jak brutalna, ale za to słuszna praktyka, której celem jest zmuszenie narodu do obrony przed wrogiem. Staje się zaś symbolem państwa opresyjnego i skorumpowanego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 72fac7a599

ZDZIWIENIE

Islam zobowiązuje. Statek wycieczkowy „Scarlet Lady" ze społecznością LGBTQ+ z 50 krajów na pokładzie nie został wpuszczony do Kuşadası i Stambułu. Turcja zabroniła cumowania w tych portach, powołując się na „standardy moralne" i „wartości rodzinne". Kolejnym państwem, które się okazało niegościnne, jest Egipt. Statek nie mógł wpłynąć do Aleksandrii. Organizator wycieczki jest zdziwiony, że tęczowa inicjatywa spotkała się z dezaprobatą w wymienionych dwóch krajach.



FOT. COURTESY OF VIRGIN VOYAGES

PĘKNIĘTA SZYBA

Podczas lotu samolotu Ryanaira z Salonik do Memmingen doszło do dramatycznego incydentu. Na wysokości ok. 4,5 tys. m pękła szyba w oknie przy fotelu 61-letniego obywatela Serbii. W wyniku gwałtownej dekompresji mężczyzna został częściowo wyssany na zewnątrz – głowa i tułów wystawały z samolotu. Jego żona, wspomagana przez innych pasażerów, przez pięć minut kurczowo trzymała go za nogi. Na szczęście mężczyzna był zapięty pasami, które wytrzymały obciążenie. Przeżył.

APELE BEZ SKUTKU

Monachium wprowadziło surowe ograniczenia dotyczące korzystania z wody. Za ich naruszenie grożą grzywny do 50 tys. euro. Powód? W stolicy Bawarii drastycznie wzrosło spożycie wody pitnej. A prognoza opadów nie łagodzi krytycznej sytuacji. Samochody mogą być myte wyłącznie w myjniach samochodowych. Nie wolno napełniać prywatnych basenów. Drastyczne posunięcie władz lokalnych jest podyktowane tym, że apele do mieszkańców miasta o dobrowolne oszczędzanie wody okazały się nieskuteczne.

ZABAWKA

Podczas wieczornego przejazdu przez berlińską dzielnicę Kreuzberg policjanci zobaczyli dziewczynkę podrzucającą szczeniaka „jak lalkę". Stróże prawa zatrzymali się. Przyglądając się sytuacji, zauważyli, że młode zwierzę miało trudności z chodzeniem i wyglądało na całkowicie wyczerpane. Okazało się, że matka dziecka nie umiała powiedzieć, skąd mają małego psa. Natomiast oświadczyła, że chciała po prostu dać córce jakąś zabawkę.

Z KOCIAKIEM NA BANK

Z zoologicznego ośrodka „adopcyjnego" w Maryland został ukradziony trzymiesięczny kociak. Następnie mężczyzna, który to zrobił, udał się ze zwierzęciem do banku. Tam poprosił pracownika placówki o przytrzymanie kociaka, ponieważ potrzebował wolnych rąk, żeby napisać na kartce papieru żądanie wypłaty gotówki i następnie przekazać ten komunikat kasjerowi. Napad na bank się jednak nie udał. Na miejsce przestępstwa przybyła policja, która sprawcę zatrzymała. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Krach bezgotówkowej utopii

Szwecja i Holandia przez lata promowały wizję kraju bez staromodnej gotówki. Zastąpienie monet i banknotów wyłącznie transakcjami cyfrowymi miało oznaczać nowoczesność, wygodę i spadek przestępczości.

Długo wszystko szło zgodnie z planem. W Szwecji już ponad 90 proc. transakcji dokonywano bez użycia gotówki, a za pomocą cyfrowych pieniędzy można było nawet dawać datki na tacę lub wspierać bezdomnych na ulicy.

Marzący o świecie bez gotówki Szwedzi i Holendrzy zderzyli się jednak z brutalną rzeczywistością. Miejsce tradycyjnych rabusiów zajęli jeszcze groźniejsi cyberprzestępcy. Co więcej, po rezygnacji z neutralności szwedzki premier Ulf Kristersson publicznie ogłosił, że jego kraj stał się celem poważnych cyberataków, w których ucierpiały m.in. banki.

A cyberprzestępcy to niejedyne zagrożenie. Konflikty geopolityczne pokazały, że w razie sabotażu lub działań zbrojnych bezgotówkowe społeczeństwo jest niemal całkowicie bezbronne. Od 1 lipca 2026 r. szwedzki rząd nakazał więc sklepom spożywczym i aptekom przyjmowanie gotówki.

Zarówno szwedzki, jak i holenderski bank centralny zaleciły mieszkańcom w marcu 2026 r., aby nie polegali jedynie na cyfrowych pieniądzach. Eksperci z holenderskiego banku centralnego (DNB) podpowiadają, aby trzymać w domu ok. 70 euro na każdą osobę dorosłą i 30 euro na każde dziecko. Szwedzki bank centralny (Riksbank) zaleca z kolei, aby każdy dorosły obywatel posiadał w domu w gotówce co najmniej 1 tys. koron (równowartość ok. 400 zł). Na szczęście w Polsce sprzedawcy mieli i mają prawny obowiązek przyjmowania zapłaty gotówką.

eprasa.pl 72fac7a599

Gibraltar w strefie Schengen



Kontrole graniczne między Hiszpanią a Gibraltarem przez wiele lat były źródłem napięć i niezadowolenia turystów oraz mieszkańców po obu stronach granicy

FOT. CHENG MIN/XINHUA NEWS AGENCY/FORUM



Jacek Przybylski

15 lipca Gibraltar i Hiszpania zniosły rutynowe kontrole na granicy lądowej. Przełomowa zmiana jest efektem porozumienia zawartego między UE i Wielką Brytanią po brexicie

Symboliczna ceremonia miała miejsce o północy z wtorku na środę. Wówczas to wszedł w życie nowy traktat znoszący konieczność kontroli granicznych między Gibraltarem a Hiszpanią. Na miejsce przybyły tłumy mieszkańców hucznie świętujących decyzję o likwidacji wzniesionego w 1908 r. metalowego ogrodzenia o długości mniej więcej jednego kilometra.

Od lat tysiące osób każdego dnia czekały bowiem na pokonanie granicy, aby móc studiować, pracować, robić zakupy i odwiedzać krewnych lub znajomych.

„Gibraltar został pominięty w umowie o handlu i współpracy między Wielką Brytanią a UE po brexicie, co stworzyło perspektywę niszczycielskiej twardej granicy dla 15 tys. osób – ponad połowy siły roboczej Gibraltaru – które codziennie przekraczają granicę lądową między Hiszpanią a Gibraltarem" – czytamy w umowie dotyczącej zniesienia kontroli, którą w Brukseli podpisali komisarz UE do spraw handlu Maroš Šefčovič, brytyjski minister stanu do spraw Europy Stephen Doughty, hiszpański minister spraw zagranicznych José Manuel Albares oraz premier Gibraltaru Fabian Picardo. Zgodnie z nową umową mieszkańcy Gibraltaru mogą wjeżdżać do Hiszpanii wyłącznie na podstawie kart pobytu (bez konieczności stemplowania paszportów). Z kolei obywatele Hiszpanii – a także 28 innych krajów ze strefy Schengen – będą mogli wjechać na Gibraltar, okazując jedynie dowód osobisty.

Zniknięcie ogrodzenia granicznego otwiera nowy rozdział w historii relacji między obiema stronami. Nadal otwarty pozostaje jednak spór o suwerenność i status polityczny Gibraltaru, który Hiszpanie przekazali Brytyjczykom w roku 1713 na mocy traktatu z Utrechtu kończącego wojnę o sukcesję hiszpańską.

Sporne brytyjskie terytorium zamorskie, zamieszkane przez 38 tys. mieszkańców, położone jest w strategicznym miejscu, zaledwie 8 mil morskich (15 km) od Maroka, gdzie Ocean Atlantycki spotyka się z Morzem Śródziemnym. W referendum w sprawie brexitu w 2016 r. 96 proc. głosujących na terenie Gibraltaru opowiedziało się za tym, by Wielka Brytania pozostała członkiem Unii Europejskiej. ©℗

eprasa.pl 72fac7a599



Bukareszt już hamuje. Kiedy Warszawa?



Jakub Wozinski

Wiele wskazuje na to, że Rumunia okres najszybszego wzrostu gospodarczego ma już za sobą. Na jej przykładzie Polska może już teraz zobaczyć, jak wygląda stagnacja po okresie dynamicznego wzrostu napędzanego konsumpcją

Dopieszczeni nieskończoną ilością materiałów medialnych na temat domniemanego cudu gospodarczego nad Wisłą Polacy na ogół dość rzadko zdają sobie sprawę z tego, że drugim krajem naszego regionu, który również wzbudzał w minionych latach powszechny zachwyt była Rumunia. Podczas gdy Polska została niedawno przyjęta do grupy G20, rumuńskie państwo świętowało swoje własne kamienie milowe gospodarczej prosperity. W 2023 r. Rumunia po raz pierwszy wyprzedziła pod względem wielkości gospodarki Czechy, stając się drugą największą gospodarką regionu. W ubiegłym roku zaś całkowity produkt krajowy brutto (przy uwzględnieniu parytetu siły nabywczej) osiągnął po raz pierwszy 1 bln dol. (w Polsce 2 bln dol.).

KARPACKI TYGRYS

Przez wiele lat Rumunia wydawała się kiepskim materiałem na „tygrysa wzrostu", ponieważ należała do zdecydowanie biedniejszych państw bloku postsowieckiego, które zaliczyło dodatkowo wyraźny falstart w zakresie wdrażania reform rynkowych. W ciągu ostatnich lat państwo ze stolicą w Bukareszcie weszło jednak w okres bardzo intensywnych zmian, które zaczęły zawstydzać w szczególności Węgrów, od zawsze patrzących na swoich wschodnich sąsiadów z wyższością.

W ciągu ostatnich lat rumuński PKB uległ podwojeniu, podobnie jak średni dochód gospodarstw domowych, a od 2018 r. bezrobocie spadło poniżej 6 proc. Rumunia jeszcze do niedawna rozwijała się w średnim tempie 4 proc. rocznie, tworząc dla siebie perspektywę dogonienia średniej nawet przed 2035 r.

Znaczny wkład w rumuński sukces miały inwestycje zagraniczne, które napływały do sektora centrów usług biznesowych. Szczególnie imponująco prezentuje się wciąż branża IT, zatrudniająca w całej Rumunii nawet 250 tys. osób i odpowiadająca za aż 8 proc. PKB. W przeciwieństwie do Polski, gdzie najwięcej inwestycji przyciągają miasta z tzw. wielkiej piątki, rumuńska specyfika polega na tym, że zdecydowanym liderem wśród miast jest stołeczny Bukareszt, pozostawiający Kluż-Napokę czy Timişoarę daleko w tyle. W Paryżu

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 72fac7a599

Południa dokonał się prawdziwy boom budowlany, który nie przełożył się na tak dużą liczbę wysokościowców jak w Warszawie, lecz pod względem dostępnej powierzchni biurowej rumuńska stolica wyraźnie dogania choćby czeską Pragę.

Rumunię trawi od lat głęboki kryzys demograficzny, jednakże wyraźne polepszenie sytuacji materialnej oraz zwiększenie liczby miejsc pracy przyczyniły się do zauważalnej fali reemigracji. W latach 2017–2023 do kraju wracało nawet 150 tys. Rumunów rocznie, którzy wcześniej masowo wyjeżdżali do Niemiec, Włoch, Hiszpanii czy Francji. W ostatnim czasie zjawisko to wyraźnie zahamowało, gdyż bezrobocie zaczyna wyraźnie rosnąć i niedawno przekroczyło już poziom 6,3 proc.

SKĄD TEN CUD?

Rumuński cud gospodarczy bywał już wyjaśniany na wiele różnych sposobów. Udzielane odpowiedzi bywały najczęściej mocno upolitycznione i wskazywały choćby na rzekomy przełom, który miało stanowić przystąpienie kraju do Unii Europejskiej w 2007 r. Faktyczne przyczyny ożywienia gospodarczego w ostatnich latach wydają się jednak dość prozaiczne i podobne do tych, z którymi mieliśmy do czynienia nad Wisłą.

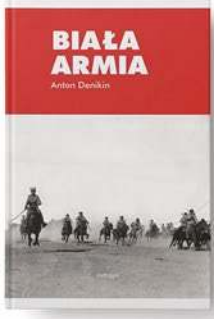
Podobnie jak w przypadku Polski Rumunia zaczęła przyciągać znaczącą liczbę inwestycji zagranicznych, których szczyt przypadł na lata 2022–2023. Posiadając jeden z najniższych wskaźników dochodów z CIT w stosunku do PKB, tamtejsze państwo stworzyło podatkowy raj dla międzynarodowych korporacji. Bardzo dopomógł jej także rozmiar kraju, który wbrew pozorom ma dla inwestorów bardzo duże znaczenie. Mając do dyspozycji 19 mln mieszkańców, z których blisko 2 mln mieszka w stołecznej aglomeracji, Rumunia zaczęła wreszcie wykorzystywać swój potencjał.

W efekcie dziś nawet do 45 proc. rumuńskiego PKB wypracowują przeważnie duże podmioty zagraniczne, które weszły na tamtejszy rynek, oferując bardzo atrakcyjne stawki płacowe. Od ok. 10 lat kolejne rządy w Bukareszcie zaczęły także podnosić stopniowo płacę minimalną w tempie przewyższającym nawet to, które podyktowało w Polsce Prawo i Sprawiedliwość. Minimalne wynagrodzenie jeszcze w 2015 r. nie przekraczało 1 tys. lejów, a obecnie wynosi już 4,3 tys. Płace w Rumunii są wciąż dość niskie na tle reszty Europy, lecz nie zmienia to faktu, że Rumunom jeszcze nigdy nie powodziło się tak jak jeszcze do niedawna.

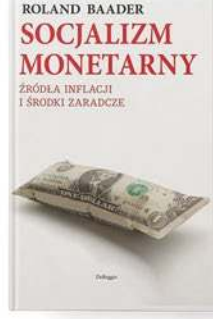
Rewolucja płacowa w sektorze prywatnym pociągnęła za sobą adekwatnie rewolucyjne zmiany w wynagrodzeniach w sferze budżetowej oraz równie rewolucyjne wzrosty wydatków publicznych w tym obszarze. Jeszcze przed pojawieniem się koronawirusa deficyt budżetowy zwiększył się do poziomu 4,5 proc. i od tego czasu jego średnia wartość wynosi ok. 6 proc. Rumunia została poddana unijnej procedurze nadmiernego deficytu już w 2020 r. i ma ogromne problemy z wyjściem na prostą. Przejściowym wytłumaczeniem dla braku sukcesów w tej dziedzinie były wydatki pandemiczne, a później militarne, lecz zasadniczo kolejne bukareszteńskie rządy nie potrafią (a raczej nie chcą)

REKLAMA

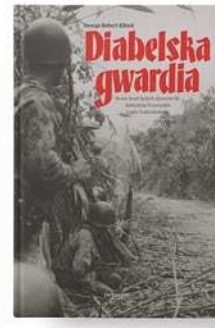
HISTORIA. WOLNOŚĆ. IDEE
Trzy wyjątkowe książki polecane przez Redakcję Do Rzeczy



Historia walki o Rosję widzianej oczami jednego z najważniejszych dowódców wojny domowej.



Przenikliwa analiza inflacji, pieniądza i skutków polityki banków centralnych.



Legendarna opowieść o żołnierzach Legii Cudzoziemskiej i wojnie, która zmieniła historię XX wieku.

ksiegarniadorzeczy.pl, dla Czytelników, którzy chcą rozumieć więcej niż nagłówki

DO RZECZY DEREGGIO Zapraszamy do Księgarni Do Rzeczy, gdzie znajdą Państwo setki wartościowych książek poświęconych historii, polityce, ekonomii i sprawom współczesnego świata.

eprasa.pl 72fac7a599

przywrócić większej dyscypliny. Kraj, który latami nie musiał zanadto martwić się swoim zadłużeniem, zwiększył jego poziom z 35 proc. PKB w 2019 r. do blisko 60 proc. w roku obecnym.

Na co dokładnie rumuńskie państwo wydaje tak wiele pieniędzy? Co najmniej 30 proc. rozchodów związanych jest z polityką społeczną i finansowaniem emerytur. Kolejne 20 proc. pochłaniają płace w sektorze publicznym. Podobnie jak w Polsce kolejne rządy wpadły w pułapkę finansowania kolejnych „tarcz antyinflacyjnych", mających przykryć skutki funkcjonowania polityki klimatycznej czy też „polityki pandemicznej".

cje ratingowe wyraźnie obniżyły oceny rumuńskiego długu (do BBB- i Baa3) i obecnie wydaje się, że najlepsze lata rumuńska gospodarka ma już za sobą.

Nie brak oczywiście głosów, że obecne spowolnienie gospodarcze jest tylko przejściowe, a po przejściowym zaciskaniu pasa rumuński tygrys wkrótce powróci na ścieżkę dynamicznego wzrostu. Fakty są jednak takie, że Rumunia mierzy się obecnie z najwyższą inflacją w całej Unii Europejskiej, wynoszącą aż 9 proc., a wynoszący wciąż ponad 6 proc. deficyt budżetowy ma szansę na powrót do bezpiecznego pułapu dopiero w 2030 r. Wydatki na badania i rozwój w Rumunii

płace w sektorze publicznym i uposażenia emerytalne uczyniły z konsumpcji prywatnej jeden z głównych motorów wzrostu gospodarczego.

Nie ma oczywiście nic złego w tym, że władza stara się dbać o możliwie jak najwyższe wynagrodzenia obywateli. Rzecz jednak w tym, że polsko-rumuński model rozwoju stworzył dla tego wzrostu wadliwe podstawy. Polski wzrost PKB, wciąż wysoki, nakręcają w znacznej mierze podmioty zagraniczne traktowane przez państwo niczym święte krowy. Gdy jednak nadejdzie w końcu spowolnienie związane z niewydolnością budżetu, polityką klimatyczną i kryzysem finansów publicznych, główny ciężar finansowy zrównoważenia budżetu i tak spadnie na barki rodzimych podmiotów.

Polska zadłużyła się na absurdalnie wysokie kwoty w najgorszym możliwym momencie, ponieważ wkracza właśnie w okres wydłużonego i trudnego do przezwyciężenia kryzysu demograficznego. Zamiast skromniejszego życia i większych wydatków na inwestycje kolejne rządy wybierały politykę opartą na konsumpcji, która wcześniej czy później musi się skończyć. W Polsce dane gospodarcze nie wskazują jeszcze na recesję, ale ścieżka, którą w przyspieszonym trybie przeszła przed nami Rumunia wskazuje na to, że jest to już tylko kwestia czasu.

Bezprecedensowy wzrost płac, który miał miejsce w ciągu ostatnich pięciu lat w Polsce i Rumunii pozwolił mieszkańcom obu krajów odczuć, że doganiają wreszcie pod względem zasobności portfela bogatsze kraje. Wzrost wynagrodzeń przełożył się jednak na wzrost kosztów pracy, a tym samym spadek atrakcyjności całego kraju w oczach inwestorów korzystających z prestiżowych przestrzeni biurowych wielkich miast. W centrach usług biznesowych zlokalizowanych w dużych polskich miastach właściwie już od jesieni ubiegłego roku ma miejsce fala zwolnień grupowych, którą czasami tłumaczy się tzw. AI-apokalipsą. Faktycznie jednak świadczy to o końcu pewnego etapu polityki gospodarczej państwa. Najbardziej bolesne upadki to te, które przydarzają się z wysokiego konia, a Polska i Rumunia gnały w ostatnich latach dużo szybciej niż reszta.

Polska i Rumunia różnią się pod wieloma względami i nie można stosować w ich przypadku uproszczonych analogii. Oba kraje są jednak świetnym przykładem tego, do jak wielu błędów prowadzi polityka, którą można by określić mianem populizmu płacowego

Podstawowa różnica między Rumunią a Polską polega jednakowoż na tym, że przy analogicznie rozdmuchanych wydatkach tamtejsze państwo jest o wiele mniej skuteczne w ściąganiu podatków. Dotyczy to w szczególności luki w podatku VAT, sięgającej w ostatnich latach nawet 35–40 proc. Rumuńskie państwo jest mniej skuteczne niż pozostałe państwa regionu w ściąganiu także innych podatków.

Zwiększanie deficytu budżetowego mogło się przez jakiś czas wydawać dość bezkarne. Przy okazji kolejnych wyborów wiodące partie oferowały coraz większe pakiety socjalne i nikt nie przejmował się długofalowymi konsekwencjami. W końcu jednak cierpliwość straciła nawet Bruksela, która nie widząc żadnych postępów przy poprawie kondycji fiskalnej, zagroziła zamrożeniem wypłaty należnych środków unijnych.

RECESJA, KTÓRA BOLI

Prawdziwy zimny prysznic na głowę Rumunów wylały jednak dopiero dane z ostatnich miesięcy, które wykazały dobitnie, że Rumunia zanotowała spadek wzrostu gospodarczego w dwóch kolejnych kwartałach i tym samym weszła w 2026 r. oficjalnie w fazę recesji. Agencje są najniższe we wspólnocie i wynoszą zaledwie 0,5 proc. PKB. Rząd wprowadził zaś wiele reform fiskalnych: począwszy od podniesienia stawek VAT, akcyzy i podatku od dywidend. W Rumunii coraz trudniej znaleźć pracę, a tamtejsze firmy znacząco ograniczają plany rekrutacyjne.

Sytuację, w której znalazł się „rumuński tygrys", trudno oczywiście określić mianem wielkiego kryzysu, a tym bardziej „katastrofy". To, co stało się w Bukareszcie, powinno jednak dać bardzo dużo do myślenia wszystkim, którzy głoszą peany na cześć obecnej kondycji polskiej gospodarki i zbywają argumenty ostrzegające przed wielkimi problemami, jakie wiążą się choćby z lawinowo przyrastającym zadłużeniem.

Polska i Rumunia różnią się pod wieloma względami i nie można stosować w ich przypadku uproszczonych analogii. Oba kraje są jednak świetnym przykładem tego, do jak wielu błędów prowadzi polityka, którą można by określić mianem populizmu płacowego. Polska, tak jak Rumunia, stworzyła w ostatnich latach prawdziwy raj podatkowy dla międzynarodowych korporacji, które pomogły przyspieszyć wzrost wynagrodzeń. Pod te wysiłki podpięły się kolejne rządy, które podnosząc płacę minimalną,

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 72fac7a599

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKI

JACEK GNIADEK:
„EKONOMIA BOŻA I LUDZKA”,
HANS HERMANN HOPPE:
„KRÓTKA HISTORIA CZŁOWIEKA”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1069~~ ZŁ

518,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 551 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

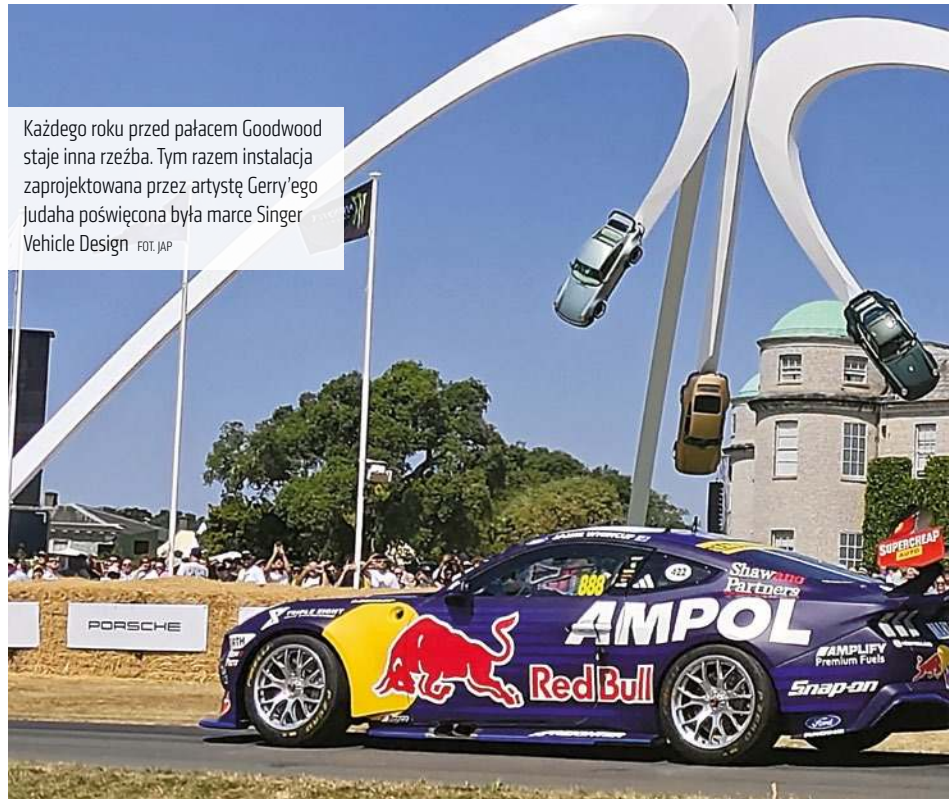
ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 72fac7a599



Jacek Przybylski z Goodwood



Każdego roku przed pałacem Goodwood staje inna rzeźba. Tym razem instalacja zaprojektowana przez artystę Gerry'ego Judaha poświęcona była marce Singer Vehicle Design FOT. JAP

Disneyland dla fanów motoryzacji

Trwający cztery dni doroczny Festiwal Prędkości w Goodwood to największe święto motoryzacyjne na świecie. Od trzech dekad przyciąga dziesiątki tysięcy fanów, a także najsłynniejszych kierowców, najciekawsze, najnowsze i najpotężniejsze samochody – w tym bolidy Formuły 1 i globalne premiery. Wszystkiemu towarzyszą zaś głośny ryk silników, zapach palonej gumy i doładowana adrenalina

Arystokrata Charles Gordon-Lennox. Książę Richmond, Lennox, Aubigny i Gordon. Arystokrata i przedsiębiorca, który przed odziedziczeniem po ojcu formalnych tytułów książęcych znany był lepiej jako lord March. Historia wszelakich tytułów sięga w jego rodzie 1675 r. Za młodu chłopak został więc wysłany do Eton College – jednej z najbardziej elitarnych i najstarszych brytyjskich szkół z internatem, w której nauki pobierali członkowie rodziny królewskiej, George Orwell czy Boris Johnson. Przy pierwszej nadarzającej się okazji porzucił jednak mundurek szkoły dla brytyjskich elit i rozpoczął karierę w branży, która interesowała go najbardziej: w filmie i fotografii. Już jako 17-latek pracował z reżyserem Stanleyem Kubrickiem przy filmie „Barry Lyndon". Zdobył również uznanie w branży fotografii reklamowej. Globalną sławę zdobył jednak dopiero, gdy w latach 90. XX w. powrócił z Londynu do Goodwood i zgodnie z rodzinną tradycją przejął zarządzanie ogromnym majątkiem. Jego głównym zadaniem była próba wygenerowania nowych, potężnych przychodów – koniecznych do pokrycia kosztów utrzymania olbrzymiej posiadłości.

POWRÓT DO PRZYSZŁOŚCI

Książę Richmond w genach miał zaś zamiłowanie do motoryzacji. Już jego dziadek, inżynier pracujący niegdyś w fabryce Bentleya, stworzył na terenie rodzinnej posiadłości tor wyścigowy. Obiekt zamknięto jednak w połowie lat 60. Charles Gordon-Lennox postanowił wykorzystać pomysł dziadka i przemienić liczącą 1200 ha działkę w Goodwood w motoryzacyjne imperium. Na ogromnym terenie książęcej posiadłości Goodwood znajduje się m.in. należąca do BMW fabryka produkująca samochody marki Rolls-Royce, a oprócz niej prywatny hotel z 94 pokojami, cztery restauracje, lotnisko ze szkołą pilotażu, organiczna farma oraz pole golfowe. Aby pokonać opór urzędników dotyczący ograniczeń hałasu, książę zdecydował się na zlokalizowanie rajdowego odcinka bezpośrednio przy własnej rezydencji.

Już pierwszy Festiwal Prędkości w Goodwood – w roku 1993 – przyciągnął tłumy. Pracowników obsługi było wówczas na tyle mało, że samochody na linii startu ustawiał sam książę, widzów od pędzących samochodów oddzielały jedynie sznurki, a ponieważ nie było kas, to pieniądze za bilety wstępu zbierano po prostu do damskich torebek. Organizatorzy spodziewali się ok. 2 tys. gości. Tymczasem już pierwsza edycja przyciągnęła aż 25 tys. fanów motoryzacji. Od tego czasu festiwal rozrósł się do czterodniowego święta miłośników ryku silników, palonych opon, szybkości i nowych technologii. Co roku liczbę widzów tego wydarzenia szacuje się na od 150 tys. do 200 tys. osób z całego

eprasa.pl 72fac7a599





W Goodwood co roku prezentowane są najważniejsze premiery. Na zdjęciu: model BAO 5, którym BYD rzuciło wyzwanie legendarnemu Defenderowi FOT. JAP

świata. Bilety na jeden dzień zaczynają się od ok. 70 funtów (równowartość ok. 357 zł), a karnet na cztery dni to wydatek ok. 250 funtów (ok. 1250 zł).

W ten sposób Charles Gordon-Lennox zdołał nie tylko uchronić lokalną posiadłość od ruiny, lecz także doprowadził do wzrostu wartości rocznych obrotów z 8 mln funtów do ok. 100 mln funtów.

Do Goodwood przyciąga ich m.in. niesamowita bliskość aut. W przeciwieństwie do tradycyjnych torów wyścigowych tu najnowsze i najpotężniejsze samochody, których moc nierzadko przekracza tysiąc KM, są wręcz na wyciągnięcie ręki. Bardzo blisko publiczności są też legendy sportów motorowych, w tym m.in. kierowcy obecnej stawki Formuły 1 oraz mistrzowie świata. W tym roku najjaśniej świeciły takie gwiazdy jak aktualny mistrz świata Formuły 1 Lando Norris, który w sobotę wyjechał na tutejszy tor za kierownicą bolidu MCL60, czy legenda MotoGP Valentino Rossi, który publiczności pokazał się na motocyklu Yamaha M1 oraz za kierownicą BMW LMP. – Właśnie spełnia się moje marzenie. Pamiętam, jak przyjechałem tu z bratem i z tatą jakieś 13 lat temu. Poznałem wówczas kilku kierowców i pomyślałem, że pewnego dnia chcę być taki jak oni. I po 13 latach mam to szczęście, że mogę stanąć tutaj przed wami wszystkimi. Teraz to ja mogę nosić numer jeden – mówił Lando Norris, przemawiając obok księcia Richmond na balkonie arystokratycznej rezydencji. – To wyjątkowy weekend, podczas którego obok siebie stoją najlepsi kierowcy bolidów Formuły 1, samochodów rajdowych wraz z najlepszymi motocyklistami. Można tu też w jednym miejscu zobaczyć wiele legendarnych samochodów i motocykli. To szalone wydarzenie – mówił Rossi.

Bohaterów z pierwszych stron gazet było tu w tym roku o wiele więcej. Goodwood to bowiem prawdziwa gratka dla motomaniaków, bo spotkać tu można zarówno nową generację młodych, zdolnych kierowców, jak i największe ikony motosportów. W tym roku wśród tych ostatnich byli również kierowca rajdowy Petter Solberg, wielokrotny zwycięzca wyścigów Grand Prix Formuły 1 Gerhard Berger, a także słynni motocykliści John McGuinness (od którego debiutu minęło w tym roku równe 30 lat) oraz legendarny Michael Dunlop z 36 zwycięstwami w słynnym wyścigu Isle of Man TT). Co roku blisko kibiców są nie tylko najlepsi kierowcy, lecz także bolidy wyścigowe. Owiane legendą modele aut – gdy akurat nie jeżdżą po torze – stoją grzecznie zaparkowane na festiwalowym polu niemalże obok siebie.

Wystarczą co najmniej dwa dni na zwiedzanie, wygodne buty i kapelusz chroniący przed lejącym się z nieba żarem, aby móc podziwiać tak legendarne modele jak Bizzarrini 5300 Aperta Lusso, Pagani Huayra 70 Derecho, Praga Bohema, GMA T.50 Niki Lauda, Red Bull RB17, Ruf B8, Zenvo Aurora Tur czy McLaren M6GT oraz McLaren F1 XP5 (fani tej marki mieli na polach Goodwood rzadką okazję zobaczenia kilku różnych McLarenów zaparkowanych obok siebie).

Każdego roku przed kilkusetletnim pałacem Goodwood staje też wyjątkowa rzeźba. Były już dzieła, które przedstawiały m.in. Ferrari, Jaguara czy McLarena. Tym razem, przy okazji już 33. edycji, na trawniku przed balkonami książęcej rezydencji stanęła instalacja, której temat przewodni brzmiał: „Rywale – niezwykłe pojedynki wyścigowe". Spektakularna rzeźba – zaprojektowana przez artystę Gerry'ego Judaha – poświęcona była marce Singer Vehicle Design. Na ogromnych rozłożystych ramionach ze stali konstrukcyjnej zawieszono na wysokości od 6 do 14 m nad ziemią trzy samochody (Classic, Classic Turbo oraz DLS) zmodyfikowane przez Singer Vehicle Design. Instalacja miała odzwierciedlać filozofię marki założonej w 2009 r. w Kalifornii, polegającą na pieczołowitym przywracaniu świetności klasycznym Porsche 911.

Wśród publiczności są zarówno zagorzali fani motoryzacji, jak i całe rodziny z dziećmi. Są inwalidzi jeżdżący wózkami inwalidzkimi, młode Brytyjki w sukniach tak okazałych, jakby właśnie wyszły z królewskiego balu oraz zwykłe nastolatki w podartych jeansach, których włosy są tak czerwone, że ogniste Ferrari przy nich blakną. Nie brakuje również arabskich szejków i bogaczy przybyłych prosto ze Szwajcarii, którzy przybyli do Goodwood, aby wybrać kolejne drogie cacka do swoich kolekcji.

GLOBALNE PREMIERY

Bogacze nie mają łatwego zadania, bo właśnie na festiwalu w Goodwood co roku prezentowane są najnowsze modele. Tak też było tym razem. Fani mogli podziwiać m.in. takie modele jak Alpine A110, Aston Martin DB12 S, Audi Nuvolari, Bentley Bentayga EWB Artenara (z czterolitrowym silnikiem V8), BMW i7, Cupra Raval, Ferrari 849 Testarossa (V8, 1050 KM, od 0 do 100 km/h poniżej 2,3 s), Maserati

eprasa.pl 72fac7a599

GranCabrio, Toyota GR GT3, Yangwang U9 Xtreme czy Zenvo Aurora Tur (z silnikiem V12, który umożliwia jej sprint od zera do pierwszej setki w 2,3 s). Swoje najnowsze modele pokazał tu również świętujący 120-lecie istnienia brytyjski Rolls-Royce.

Tegoroczne Goodwood było też pokazem siły dużo młodszych marek z Chin. Denza – to ta marka, dla której grający agenta 007 Daniel Craig porzucił Astona Martina – zaprezentowała tu aż trzy kluczowe modele. Pierwszy to elektryczna Denza Z – sportowe auto o mocy 1604 KM, które od zera do 100 km/h przyspiesza w 1,96 s, a w wersji Racing potrafi rozpędzić się do 350 km/h. Fani motoryzacji mogli też podziwiać użytkowego pick-upa o nazwie BYD Shark z napędem PHEV, 436 KM mocy, 790 kg ładowności, imponującym przyspieszeniem (zaledwie 5,7 s od zera do setki) i niezłym zasięgiem wyłącznie na prądzie (90 km). Trzecią nowością był BAO 5 – pięcioosobowy luksusowy SUV z napędem hybrydy plug-in oraz konstrukcją ramową przystosowaną do jazdy w trudnym terenie, który ma konkurować z takimi ikonami jak Land Rover Defender. Dwie ostatnie nowości można było oglądać nie tylko stojące w prowizorycznym, trzykondygnacyjnym salonie, lecz także pokonujące ekstremalny tor przeszkód ustawiony tuż obok pawilonu BYD. Aby udowodnić światu, że chińska marka powinna być już traktowana na równi z tradycyjnym rywalami, sportową Denzę Z odsłaniał wraz z wiceprezeską koncernu BYD, Stellą Li, były mistrz świata Formuły 1 Jenson Button.

Kolejna chińska marka – MG – przywiozła do Goodwood dwa modele: elektrycznego SUV-a segmentu D nazwanego Cyber Concept, a także hatchbacka segmentu B (mającego być konkurencją m.in. dla Mini), czyli MG GO!

SYMULATORY I PIT STOP CHALLENGE

Aby tysiącom gości przypadkiem choć przez chwilę się nie nudziło, na festiwalu organizowane są nie tylko przejazdy najszybszych aut i motocykli, lecz także pokazy pojazdów zabytkowych, których historia sięga końca XIX w. Swoje umiejętności prezentują również kaskaderzy oraz drifterzy (w tym roku specjalny samochód do driftu S13 przygotował zespół Steve'a „Baggsy'ego" Biagioniego, a za jego kierownicą zasiadł sam Lando Norris).



Wiele motoryzacyjnych perełek można znaleźć na parkingu dla gości festiwalu FOT. JAP



Obok tymczasowych salonów wznoszone są też instalacje ukazujące off-roadowe możliwości aut FOT. JAP



1911 Pilain Type 4P16 „Targa Sport" – tym samochodem ścigano się przed końcem drugiej wojny światowej FOT. JAP



A to współczesna legenda motosportu, czyli bolid Penske PC-23 FOT. JAP

Są interaktywne strefy dla rodzin czy stanowiska do malowania twarzy. Starsi swoje umiejętności mogą sprawdzić na licznych symulatorach jazdy. Można także nauczyć się błyskawicznej wymiany kół w prawdziwym bolidzie Formuły 1 (tzw. Pit Stop Challenge to niezwykłe doświadczenie, bo zarówno boksy, jak i same bolidy są jak najbardziej prawdziwe, a koła wymienia się pod okiem doświadczonych mechaników). Do tego oczywiście ogromna liczba food trucków z szeroką ofertą kulinarną. Były też stoiska z pamiątkami, szeroki wybór zdjęć i obrazów, a nawet rzeźby z opon.

Zawsze przy okazji tego festiwalu warto też zajrzeć na parkingi dla publiczności. Obok setek zwyczajnych aut jest tu bowiem wiele prawdziwych perełek, a więc zarówno samochodów wyjątkowo drogich, jak i niezwykle rzadkich.

Mimo ogromnego sukcesu festiwalu książę Richmond przekonuje w wywiadach, że nie zamierza uczynić z niego produktu eksportowego i organizować podobnych wydarzeń w USA czy w Chinach. Dla tych, którzy nie mogą wybrać się na Goodwood osobiście, organizowane są za to oficjalne transmisje na kanale Goodwood Road & Racing (na YouTube ma 891 tys. subskrybentów).

A co pokażą producenci podczas kolejnej edycji Goodwood? Tego na razie nie wiemy. Wiemy za to, że przyszłoroczny Festiwal Prędkości będzie trwał od 15 do 18 lipca 2027 r.

Książę Richmond doskonale wie również, jak ważna w biznesie jest dywersyfikacja. Jeszcze w tym roku zaprasza więc widzów do swojej posiadłości na inne wydarzenia, takie jak pięciodniowy Qatar Goodwood Festival (jeden z najbardziej prestiżowych i widowiskowych festiwali wyścigów konnych na świecie, który potrwa od 28 lipca do 1 sierpnia) oraz trzydniowy festiwal Goodwood Revival, który poświęcony jest historii sportów motorowych z lat 40., 50. i 60. ubiegłego wieku. Wydarzenie obserwowane przeważnie przez ok. 150 tys. widzów odbędzie się 18–20 września. Dzięki różnym wydarzeniom i prężnie działającym elitarnym klubom (z ponad 20 tys. członków) łącznie książęcą posiadłość w Goodwood odwiedza rocznie ponad milion osób.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 72fac7a599



PROSTO ZYGZAKIEM

Kiedy taniej za odbiór śmieci?

PIOTR GABRYEL

Czekam, czekam i doczekać się nie mogę. A raczej – jest jeszcze gorzej, bo doczekuję się działań odwrotnych do oczekiwanych. O co chodzi? O wysokość opłaty za odbiór śmieci.

Ale po kolei. Otóż zieloni aktywiści rządzący Polską od kilkunastu lat uparli się zamienić wszystkich Polaków w śmieciarzy, zmuszając ich, czyli nas, do gromadzenia w mieszkaniach całych worów opakowań objętych narzuconym nam „systemem kaucyjnym", a potem do ganiania z nimi od sklepu do sklepu, by je zwrócić i odebrać zdarty z nas haracz. Chodzi mi o zielonych aktywistów zarówno z rządu PO/KO, którzy niedawno wprowadzili w życie ową ustawę zmieniającą nas w śmieciarzy, jak i z PiS, bo to przecież jeszcze za ich rządów – w lipcu 2023 r. – ustawę tę uchwalono.

I oto w rezultacie przeprowadzenia – „wspólnie i w porozumieniu" – tej operacji przez duopol PO-PiS/KO-PiS ostatnio znacznie spadła ilość segregowanych przez Polaków – też pod państwowym przymusem – śmieci, które musimy upychać do różnokolorowych worków. Czyli śmieci do śmieci wyrzucamy mniej, bo wiele z nich zostaliśmy zmuszeni targać z powrotem do sklepów. Z tego powodu firmy zajmujące się wywozem śmieci odbierają ich od nas mniej, czyli mają mniej pracy. I w związku z tym powinny mniej z nas zdzierać, obniżając haracz, który na nas – wspólnie z władzami samorządowymi – nałożyły. Czyli powinny obniżyć wysokość opłat za odbiór śmieci. A w najgorszym razie – pozostawić je na obecnym poziomie. Ale w tej sytuacji podnosić ich wysokość?!

Powinny – gdyby władze samorządowe reprezentowały interes mieszkańców swoich miast i gmin. A czyj reprezentują? Władze Warszawy bez cienia żenady przyznały, w odpowiedzi na pytania zadane przez dziennikarzy WP.pl, że „system kaucyjny ma negatywny wpływ na gminne systemy gospodarki odpadami komunalnymi, co znalazło odzwierciedlenie w rozstrzygniętych przetargach na odbiór odpadów" i już w kwietniu, kiedy system kaucyjny dopiero się rozpędzał, podniosły wysokość podstawowej opłaty za odbiór śmieci z 65 zł do na powrót aż 85 zł. „Nie można zgodzić się ze stanowiskiem, że system kaucyjny jest neutralny finansowo dla gmin [...]. Przy rozliczeniach zależnych od masy odpadów może to prowadzić do wzrostu jednostkowych kosztów odbioru" – orzekł z kolei przedstawiciel władz Gdańska, gdzie też w kwietniu wysokość opłat za odbiór śmieci wzrosła – aż o 25 proc.

A jak jest w innych miastach i gminach? Czy i tam wygląda, jakby ich włodarze reprezentowali interes nie mieszkańców, a obdzierających ich ze skóry firm śmieciowych? ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Stać nas!

ŁUKASZ WARZECHA

Polska Agencja Żeglugi Powietrznej, odpowiadająca za bezpieczeństwo na polskim niebie, została nagle pozbawiona ok. 60 proc. swoich wpływów. Te wpływy pochodziły z pieniędzy wypłacanych PAŻP przez Eurocontrol – europejską organizację, koordynującą działania funkcjonujących na kontynencie odpowiedników PAŻP. Przekazuje ona odpowiednim krajowym agencjom wpływy pozyskane od linii lotniczych w związku z obsługą lotów przebiegających przez przestrzeń powietrzną poszczególnych krajów.

Źródłem problemów agencji jest polityka covidowa rządu Mateusza Morawieckiego – i zapewne dlatego politycy PiS są jakoś zadziwiająco cisi w tej sprawie. To rząd PiS w czasie pandemii zdecydował o kupnie absurdalnie wielkiej liczby szczepionek na COVID – po czym ich nie odebrał, bo okazały się niepotrzebne. Jednak ich producent, firma Pfizer, która nie jest przecież organizacją charytatywną, nie zamierzała się zlitować i sprawy tak zostawić. Polska przegrała proces w belgijskim sądzie w pierwszej instancji, a Pfizer zrobił w przypadku naszego kraju to, co przećwiczył już w paru podobnych sytuacjach: doprowadził do przejęcia wpływów z Eurocontrol dla PAŻP na poczet niespłaconych szczepionek.

Jak na ironię, PAŻP nie ma z tą całą sprawą kompletnie nic wspólnego, a jego sytuację będzie musiał teraz ratować polski budżet. A przecież powinien ją ratować z własnych pieniędzy Mateusz Morawiecki. Tyle że on sam i cały PiS dobrze się przed tym zabezpieczyli, umieszczając w specustawie covidowej wyłączenia odpowiedzialności decydentów, dotyczące m.in. szkód w obrocie gospodarczym czy naruszenia dyscypliny finansów publicznych. Lecz cóż – mówimy przecież tylko o „głupich" 5,6 mld zł. Stać nas, najwyżej pośle się urzędniczki z fiskusa, żeby znowu zamówiły jakąś pizzę z krewetkami albo kupiły butelkę wody przed otwarciem kasy. ©℗

eprasa.pl 72fac7a599



Jacek Pałkiewicz



Świat roślin, jak w czasach dinozaurów

Indianie Pemonowie przez pokolenia nie zapuszczali się chętnie na skalne oazy. W ich wyobrażeniach była to kraina zamieszkana przez siły, których człowiek nie powinien lekkomyślnie niepokoić

Współczesny świat skurczył się tak bardzo, że czasem wydaje się już tylko mapą z naniesionymi hotelami, lotniskami i punktami widokowymi. Wystarczy kilka kliknięć, aby zobaczyć zdjęcie miejsca, do którego dawniej dochodziło się tygodniami. Można obejrzeć z lotu ptaka rzekę, której brzegi kiedyś znali tylko Indianie, zajrzeć na szczyt góry, której zdobycie wymagało karawany, cierpliwości i odwagi. Wiedza o świecie stała się większa niż kiedykolwiek, ale równocześnie rośnie dziwny niedosyt. Jakby za tą łatwością kryło się podejrzenie, że coś istotnego nam umyka.

Myślę wtedy o wenezuelskich tepui. Są miejsca, które robią wrażenie pięknem. Są takie, które imponują rozmiarem. Tepui należą do rzadszej kategorii: podważają nasze wyobrażenie o czasie. Te potężne góry stołowe, o płaskich wierzchołkach i pionowych, miejscami prawie kilometrowych ścianach, wyrastają ponad zielone morze dżungli jak kamienne okręty unieruchomione na oceanie lasu. Nie są przedłużeniem krajobrazu. Są od niego odcięte. Każda taka góra jest osobną wyspą, choć nie otacza jej woda, lecz przepaść, mgła i biologiczna izolacja.

Na południowym wschodzie Wenezueli, na rozległej Gran Sabanie, tych stołowych masywów jest ponad 50. Tworzą osobliwy archipelag, jeden z najbardziej fascynujących na planecie. Dla naukowców są laboratoriami ewolucji. Dla Indian Pemon – przestrzenią mitu i tabu. Dla podróżnika – jednym z ostatnich miejsc, gdzie słowo „tajemnica” nie brzmi jak literacka przesada.

Pemonowie przez pokolenia nie zapuszczali się chętnie na te skalne oazy. W ich wyobrażeniach była to kraina zamieszkana przez siły, których człowiek nie powinien lekkomyślnie niepokoić. Według jednej z legend to miejsce królowej Kuin, matki ludzkości. I może właśnie w tym przesądnym lęku było więcej mądrości niż w późniejszej ciekawości Europejczyków, którzy przybyli tu w poszukiwaniu złota, diamentów, El Dorado i potwierdzenia własnych fantazji.

OKO W OKO Z PRZEDPOTOPOWYMI STWORAMI

Zresztą fantazja od początku mieszała się tutaj z geografią. Sir Walter Raleigh pisał o „Kryształowej Górze”, widzianej gdzieś z daleka, jak ogromna dzwonnica, na której szczycie miały znajdować się diamenty i inne drogocenne kamienie. Potem bracia Schomburgkowie dotarli do podnóża Roraimy i uznali, że to może być właśnie owa legendarna góra. Nie zdołali jednak wejść na szczyt. Dopiero wyprawa Everarda im Thurna i Harry’ego Perkinsa, wspierana przez Royal Geographical Society, w 1884 r. zdobyła Roraimę po tygodniach przedzierania się przez dżunglę. Nie znalazła skarbów w znaczeniu, którego oczekiwali poszukiwacze El Dorado. Znalazła coś cenniejszego: świat roślin i form życia, które zdumiały botaników.

Z tej właśnie relacji narodziła się jedna z wielkich przygodowych legend literatury. Arthur Conan Doyle, twórca Sherlocka Holmesa, wykorzystał opowieści o Roraimie, pisząc „Świat zaginiony”. Jego profesor Challenger stanął tam oko w oko z przedpotopowymi stworami. Literatura dopowiedziała dinozaury, ale nie musiała wymyślać atmosfery. Ona już tam była. Tepui rzeczywiście wyglądają jak fragment planety zachowany z epoki, w której człowieka jeszcze nie było.

Właśnie tu jestem.

Na tle lazurowego nieba, pośród pofałdowanego płaskowyżu, stoją izolowane góry stołowe, spowite ciężkimi obłokami. Wyglądają tak, jakby jakiś gigant ściął je olbrzymią piłą, zostawiając płaskie podesty ponad dżunglą. Roraima, najwyższa z nich, wznosi się na 2810 m. Jej długi, około 30-kilometrowy wierzchołek leży na styku Wenezueli, Gujany i Brazylii. To praktycznie jedyny tepui szerzej dostępny dla turystyki, co jest zarazem jego szansą i przekleństwem.

Kiedy stanąłem na tej kamiennej platformie, miałem poczucie, że trafiłem nie na górę, ale na inną planetę. Posępny, dziki pejzaż Roraimy nie przypominał niczego, co znałem z klasycznych górskich wypraw. Nie było tu przyjaznej logiki grani, przełęczy, dolin. Wokół ciągnęła się matowa czerń piaskowca, miejscami poczerniała od glonów i grzybów. Wyrastały z niej labirynty skalnych baszt, wieżyc, murów, krużganków, studni i portali. Głębokie rozpadliny, zwane grietas, przecinały teren tak zdradliwie,

eprasa.pl 72fac7a599



FOT. SHUTTERSTOCK

że przejście 100 m w linii prostej mogło wymagać kilometrowego obejścia.

Dla doświadczonego podróżnika to teren szczególnie podstępny. Brak punktów orientacyjnych. Kamień powtarza własne formy, mgła zmienia perspektywę, światło co chwilę przesuwa granice widzialnego. Można iść wśród skalnych murów jak po opuszczonym średniowiecznym mieście, tylko że zbudowanym nie ręką człowieka, lecz cierpliwością erozji. Roraima nie zaprasza. Roraima wystawia na próbę.

Widziałem wiele krajobrazów surowych, ale ten miał w sobie coś osobnego. Pustynia obnaża człowieka przez brak. Dżungla przytłacza nadmiarem życia. Arktyczne pustkowia sprawdzają odporność ciała i psychiki. Tepui robią coś innego: wyprowadzają poza znany czas. Człowiek idzie po kamieniu mającym setki milionów lat i czuje, że jego własna obecność jest tu ledwie chwilowym zakłóceniem. Nie zdobywcą jest wtedy podróżnik, lecz intruzem, któremu na moment uchylono drzwi.

Ten świat z bliska jest bardziej delikatny, niż sugeruje jego monumentalna forma. W płytkich, okrągłych oczkach wodnych na litym podłożu pojawiają się miniaturowe oazy roślin. Ich odbicia w krystalicznej wodzie wzmacniają wrażenie sztucznie skomponowanych ogrodów. A przecież nie ma tu ogrodnika. Nie ma gleby w naszym rozumieniu. Jest skała, woda, powietrze, mgła i upór życia, które znalazło sposób, by istnieć prawie z niczego.

Wśród skalnych kanionów pojawiają się karłowate drzewka Bonnetia roraimae, przypominające bonsai przeniesione z japońskiej hodowli w środek prehistorycznego pustkowia. W wilgotnych załomach skał wyrastają rośliny o barwach i kształtach tak nieoczekiwanych, że człowiek zaczyna rozumieć, dlaczego przyrodnicy porównują tepui do Wysp Galapagos. Każdy masyw jest światem w sobie. Izolacja, pionowe ściany, odmienny klimat szczytu i podnóża sprawiły, że ewolucja poszła tutaj własnymi, lokalnymi drogami.

Na Roraimie wiele gatunków roślin to endemity. Są mchy, porosty, rośliny mięsożerne, kwitnące drobiazgi zakotwiczone w szczelinach, paprocie przywodzące na myśl archaiczne sceny sprzed milionów lat. Ich nazwy brzmią jak szyfr botanicznej księgi: Heliamphora nutans, Stegolepis guianensis, Orectanthe sceptrum, Drosera roraimae, Schefflera rugosum, Bonnetia roraimae. Nie chodzi jednak o samą listę gatunków. Chodzi o zdumienie, że na skale, niemal bez gleby, w chłodzie, wilgoci, zmiennym świetle i nieustannym deszczu potrafił powstać tak osobny świat.

PARADOKS RORAIMY

Życie zwierzęce jest skromniejsze, ale równie znaczące. Są owady i bezkręgowce, kolibry, jerzyki, a także maleńka ropucha Oreophrynella quelchii, niezdolna do skakania. Jej czarny kolor pomaga wykorzystywać słabe promieniowanie słoneczne w pochmurne dni, a powolność poruszania wynika z niskiej przemiany materii. To drobiazg, ale dla mnie właśnie takie drobiazgi mówią najwięcej. Przyroda nie potrzebuje widowiskowości, aby być genialna. Czasem wystarczy mała czarna ropucha, która na szczycie kamiennej wyspy znalazła własny sposób na trwanie.

Pogoda na Roraimie jest osobnym żywiołem. Nie zmienia się z dnia na dzień, ale z kwadransa na kwadrans. Przebijają się nagle palące promienie słońca i trzeba zrzucić kurtkę. Po chwili pojawia się wiatr, zimno tnie przez ubranie, a człowiek znów szuka ochrony. Mżawka przechodzi w ulewę, ulewa w burzę, po czym ciężkie chmury opadają tak nisko, że świat kurczy się do kilku kroków. Wilgoć wnika w kości.

To paradoks Roraimy: surowa, kamienna, niemal martwa z wyglądu platforma jest jednocześnie wielkim źródłem wody. Rzeki zaczynają się często nie od monumentalnego aktu, lecz od mokrej skały, mgły, sączenia, kropli, strumienia, który po chwili znika w szczelinie. W tym sensie tepui są nie tylko pomnikami geologii, lecz także wieżami ciśnień Ameryki Południowej.

Z krawędzi można dostrzec Auyán-tepui, z którego spada Salto Ángel – najwyższy wodospad świata. Prawie kilometr swobodnego lotu wody. Kiedy człowiek stoi w takim miejscu, rozumie, że skala kontynentu południowoamerykańskiego jest inna niż europejska.

Najbardziej pamiętam marsz ku północnemu krańcowi Roraimy, zwanemu Proa. Nazwa jest trafna: miejsce przypomina dziób gigantycznego statku prującego przez skłębione chmury. Dotarcie tam wymagało wielogodzinnego, mozolnego marszu, obchodzenia rozpadlin, lawirowania między skalnymi labiryntami. Ale wysiłek został nagrodzony. Z krańca płaskowyżu otwierał się widok na gardziel wypełnioną mgłą, na majestatyczny masyw Kukenán, a dalej na inne tepui, tkwiące w przestrzeni jak samotne twierdze.

Tepui uczą również, że odkrywanie nie zostało zakończone. W epoce, która lubi mówić o końcu eksploracji, te kamienne wyspy nadal kryją gatunki nieznane nauce. Każda wyprawa przyrodnicza może przynieść nowe odkrycia. Nie trzeba już szukać El Dorado. Prawdziwe skarby są inne: roślina, która nie występuje nigdzie indziej; owad przystosowany do życia na jednym masywie; ropucha, która w izolacji utraciła potrzebę skakania; mikroskopijny ekosystem istniejący w oczku wodnym na czarnej skale.

Dlatego tepui są jednym z najmocniejszych tematów w cyklu „Tam, gdzie świat jeszcze potrafi zdumiewać". Nie tylko dlatego, że są piękne. Piękno bywa łatwe. Tepui są ważne, bo łączą w sobie wszystko, co w podróży najcenniejsze: tajemnicę, trud, krajobraz, mit, naukę, historię eksploracji i moralne pytanie o granice ludzkiej obecności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest odkrywcą źródeł Amazonki, survivalowym guru. Uczył kosmonautów i jednostki antyterrorystyczne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach.

eprasa.pl 72fac7a599

POCZET POLSKICH WODZÓW

Samotna szarża pod Wiedniem



JACEK KOMUDA

Zygmunt Zbierzchowski herbu Grzymała, chorąży łomżyński, to jeden z bohaterów bitwy pod Wiedniem i kampanii króla Jana III Sobieskiego w 1683 r. Był porucznikiem chorągwi husarskiej królewicza Aleksandra Sobieskiego, który w chwili rozpoczęcia wyprawy miał zaledwie 6 lat, nie mógł więc wykonywać obowiązków rotmistrza osobiście. Zastępował go właśnie wspomniany chorąży, natomiast oddział, któremu przewodził, był trzecią co do znaczenia chorągwią jazdy w wojsku koronnym, po chorągwi królewskiej i królewicza Jakuba. Według popisu z sierpnia liczyła ona 149 koni, czyli ok. 110–120 husarzy i pocztowych. Jak pisze Jan Wimmer, już wówczas Zbierzchowski zaliczany był do najlepszych dowódców w Rzeczypospolitej.

O jego rodzie wiadomo dziś niewiele. Rodowód szlachty pieczętującej się Grzymałą wywodzi się jeszcze ze średniowiecza, najstarsza pieczęć pochodzi z 1343 r.; jak pisał Jan Długosz, ród ten wywodził się z Rzeszy; w XVII w. był już kompletnie spolonizowany. Zygmunt, właściciel Rzekunia, był chorążym, potem podkomorzym łomżyńskim i poświęcił się służbie wojskowej. Karierę zaczynał zapewne jako zwykły towarzysz husarski, wkrótce został porucznikiem chorągwi ks. Dymitra Wiśniowieckiego, hetmana wielkiego koronnego. Jak pisał o nim Kasper Niesiecki, był to: „Mąż wojenny i w różnych ekspedycjach już w Polsce, już w Niemczech, już na Węgrzech doświadczonego męstwa […] pod Wiedniem, gdzie była najpotężniejsza turecka partia, tam z chorągwią swoją natarł i fortunnie ją złamał; w roku 1687 w kilka tysięcy wysłany pod Kamieniec, wszystkie



FOT. DOMENA PUBLICZNA

zboża Turkom popalił, jednych z nich pobiwszy, drugich w niewolę zabrawszy”.

W bitwie pod Wiedniem Zbierzchowski dowodził próbną szarżą na pozycje tureckie. Około godz. 16, kiedy wojska polskie rozwinęły się już na prawym skrzydle sił sprzymierzonych, a husaria i jazda zajęły stanowiska na całym froncie formacji, Jan III Sobieski nakazał wezwać przed swoje oblicze porucznika chorągwi królewicza Aleksandra. Następnie wziąwszy lunetę i spoglądając na wojsko tureckie, powiedział: „Widzisz, Waszeć tę kupkę, Panie poruczniku?”. „Widzę, Mości Królu!” – odparł Zbierzchowski. „Otóż to, tam sam wezyr stoi! – rzekł Sobieski – […] żebyś mi, Waszeć, panie poruczniku, tam w nim kopię skruszył, rozkazuję!”.

Król zlecił zatem chorągwi królewicza Aleksandra wykonanie próbnej szarży po zboczach Schafbergu i w dolinie Währingerbach, w celu rozpoznania i zorientowania się w siłach wroga. Jak pisze o tym sługa Jana III, Dyakowski: „Odebrawszy ten ordynans ustny, porucznik ruszył się na tę imprezę ze swoją jedną chorągwią, złożywszy kopią w pół ucha końskiego, prosto pod samego wezyra poszedł, któremu od żadnej chorągwi posiłku dać zakazał król”.

Zbierzchowski, jak widać, samotnie uderzył na formacje tureckie. Po drodze napotkał rów, który zmusił do rozluźnienia szyku, chorągiew jednak przebyła go, uporządkowała szyk i szarżowała na Turków, przełamując pierwszą linię jazdy, ale utknęła w kolejnych. Wówczas porucznik zarządził odwrót, ponosząc ogromne straty w tym nierównym boju – 19 towarzyszy i 35 pocztowych, prawie połowę stanu jednostki. Zginął podskarbi nadworny Andrzej Modrzewski, który dołączył do ludzi Zbierzchowskiego, a także podczaszy mścisławski Jan Woyna i – niestety – poległ także starszy brat porucznika – Wacław. Jednak atak ten miał ogromne znaczenie dla bitwy, pokazał, że atak przez rów jest możliwy, a na drodze nie ma żadnych pułapek. Widząc powodzenie oddziału, Sobieski zarządził szarżę generalną jazdy, która rozbiła wojska tureckie pod Wiedniem, odnosząc wspaniałe zwycięstwo.

Zbierzchowski uczestniczył później w kolejnych kampaniach króla Jana. W 1690 r. był komisarzem do odbioru hiberny i deputatem do komisji królewskiej. Został też – jak podaje Jerzy Dziewirski – awansowany na pułkownika, co znaczyło, że dowodził całą grupą chorągwi jazdy. Wiadomo, że wspomagał ojców karmelitów w Lipiu, wspierając budowę kościoła. Zakupił ołtarz Matki Boskiej Lewickiej. Nie ma pewności, kiedy zmarł, prawdopodobnie nastąpiło to po 1690 r., z tego okresu pochodzi też jego portret przedstawiający porucznika jako sarmackiego wojownika w karacenowej zbroi popularnej w czasach Jana III Sobieskiego. ©℗

eprasa.pl 72fac7a599



FOT. JP

CUPRA TAVASCAN ENDURANCE ADRENALINE

Hiszpania to nie tylko ojczyzna pysznej paelli, świetnych tapas, architektonicznych perełek Gaudiego i ognistego flamenco. To także kraj, z którego pochodzą coraz lepsze i coraz bardziej dynamiczne samochody. A że Cupra to marka o sportowych korzeniach, to tym razem do testu wzięliśmy więc w 100 proc. elektrycznego crossovera coupé o dopracowanym drapieżnym designie (przypominającym aerodynamiczne auto koncepcyjne tej marki), imponującym zasięgu (ok. 560 km w cyklu mieszanym) i całkiem niezłej mocy (286 KM i 286 Nm momentu obrotowego).

„Elektryk" z hiszpańskim temperamentem sprawnie przyspiesza (sprint od zera do 100 km/h zajmuje 6,8 s), potrafi być dynamiczny i prowadzi się dużo lepiej niż wielu elektrycznych konkurentów w swojej klasie. Tavascan w testowanym wariancie jest więc dobrą propozycją dla tych, którzy szukają elektrycznego auta dla małej rodziny, ale nie chcą tracić przyjemności z jazdy.

Prędkość maksymalna wynosi 180 km/h. Akumulator ma 77 kWh pojemności netto. Średnie zużycie energii podczas testu wyniosło niecałe 18 kWh/100 km. Ładowanie od 0 do 80 proc. zajmuje zaś na szybkiej ładowarce niecałe pół godziny.

W kabinie jest przestronnie (dla osób o wzroście ok. 180 cm miejsca nie brakuje ani z przodu, ani na tylnej kanapie) oraz bardzo futurystycznie. Jeśli kiedyś w końcu spełnią się marzenia o latających samochodach, to konstruktorzy tego typu maszyn będą mieli skąd czerpać inspiracje. Na pochwałę zasługują też niezwykle wygodne fotele ze świetnym podparciem bocznym, które – podobnie jak sportowe nakładki na pedały – dodają temu modelowi sportowego sznytu. Niestety, Hiszpanie obsługę zdecydowanej większości funkcji wrzucili w system infotainment. Z praktycznego punktu widzenia wolałbym tradycyjne, wygodne przyciski niż poszukiwanie różnych opcji na 15-calowym ekranie, ale to już niestety standard w wielu markach. Na szczęście pod ekranem znajdują się oddzielne suwaki do obsługi klimatyzacji. Sporo przycisków trafiło też na kierownicę (co wymaga przyzwyczajenia, ale ułatwia podróżowanie).

Spasowanie poszczególnym elementów wnętrza nie budzi zastrzeżeń. Charakterystyczną dla aut Cupry atmosferę w kabinie zmyślnie budują miedziane wstawki. Również jakość zastosowanych materiałów jest na niezłym poziomie, choć nie jest to auto wykończone na poziomie klasy premium. Plusem testowanego modelu jest też przyzwoitej wielkości kufer (przy rozłożonej tylnej kanapie ma 540 l pojemności).

Ile kosztuje taka elektryczna Cupra? W wersji podstawowej Tavascan wyceniony został na 228,3 tys. zł. W testowanym wariancie za różne opcje trzeba było dopłacić 42,3 tys. zł. Końcowa kwota na fakturze wyniosłaby więc 270,6 tys. zł.

LOKALIZATOR MOVA SURETRACK PRO

Błyskawiczna, precyzyjna lokalizacja ukochanego pupila, opcja zadzwonienia do psa/kota, możliwość śledzenia położenia na całym świecie, inteligentne powiadomienia zapobiegające ucieczce z domu, monitorowanie aktywności i odporność na pył i wodę – to największe zalety najnowszego lokalizatora chińskiej marki MOVA.

Testowane urządzenie przeznaczone jest dla psów i kotów ważących od 3,5 kg. Niewielki i lekki sprzęt (waży zaledwie 36,4 g, a jego wymiary to 52 × 36 × 22 mm) sprawia wrażenie solidnie wykonanego. Jest też odporny na pył i wodę (klasa IP67).

Uzbrojony we własną kartę eSIM lokalizator korzysta z sześciu różnych technologii (Active Radar, AGPS, Bluetooth, GPS, LBS, Wi-Fi), dzięki czemu potrafi wskazać pozycję pupila z dokładnością do jednego metra i odświeżać ją co pięć sekund. Co ważne, śledzenie lokalizacji działa na całym świecie (producent zapewnia, że współpracuje z ponad 390 operatorami). MOVA SureTrack Pro może też zbierać dane o aktywności pupila, co ułatwia generowanie raportów i wyznaczanie celów, które pomagają utrzymać zwierzaka w dobrej formie. W przypadku kota można łatwo odkryć jego ulubione ścieżki i zyskać niezbity dowód, że to wcale nie nasz pupil pożarł wszystkie rybki w stawie u sąsiada. Lokalizację naszego zwierzaka można też udostępniać innym domownikom.



Przydatną funkcją są też inteligentne powiadomienia, które błyskawicznie dają znać, jeśli pies wyjdzie poza ustalony w aplikacji obszar (np. czmychnie, wykorzystując niedomkniętą przez kuriera furtkę). Testowane urządzenie pozwala również „zadzwonić" do psa lub kota (lokalizator takie połączenie odbiera automatycznie). W przypadku kotów wydaje się to mniej przydatne (zapewne i tak zignoruje swoje imię), ale pies po zakończonym pościgu za sarną może zareagować na swoje imię wypowiadane przez ukochanego pana/ukochaną panią. Zdalne połączenie pozwala też posłuchać dźwięków otoczenia lub porozmawiać z osobami, które znajdują się w pobliżu psiaka.

Wady? Jeśli często korzysta się z trybu spacerowego lub połączeń głosowych, to baterię o pojemności 600 mAh trzeba ładować codziennie (w trybie oszczędnym jedno ładowanie wystarcza na kilka dni). Drugi minus: tak jak w przypadku większości lokalizatorów 4G/5G, aby korzystać z funkcji śledzenia na żywo konieczne jest wykupienie abonamentu. Miesięczny wariant kosztuje 9,9 euro, a roczny 96 euro.

Cena: 299 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 72fac7a599



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Symbol regionu

Kuchnia wakacyjna powinna być szybka, lekka i orzeźwiająca, pełna świeżych warzyw i sezonowych owoców. Powinna być prosta, bo przecież w prostocie siła. Latem gotujemy tak, aby nie spędzać w kuchni zbyt dużo czasu.

Wykorzystujemy to, co daje nam natura, dodając jedynie odrobinę smaku. Oliwa z oliwek i świeże ryby, zielone sałaty, świeże warzywa: fasolka, cukinia, pomidory, papryka, ogórki, chude mięso lub sery w zupełności wystarczają. Można je podawać na ciepło lub na zimno. My najbardziej lubimy kuchnię śródziemnomorską, która według lekarzy i dietetyków jest optymalna dla naszego zdrowia i długowieczności. A to m.in. za sprawą wysokopolifenolowej oliwy z oliwek, która w kuchni śródziemnomorskiej jest szeroko stosowana, stanowi nie tylko dodatek do potraw, lecz także jest symbolem kultury tamtego regionu. Im więcej polifenoli, tym oliwa jest silniejszym antyoksydantem. Dobrej jakości oliwa ma mocny, nieco cierpki smak i bardzo intensywny kolor. Proszę sobie wyobrazić, że istnieją jeszcze gaje oliwne, w których rosną drzewa rodzące owoce dla Cesarstwa Rzymskiego. Są to okazy, które mają ponad 3 tys. lat!

Na koniec nie zapominamy również o deserze, ale staramy się wybierać jego zdrowsze wersje. Zazwyczaj są to owoce zapiekane pod kruszonką albo nasze ulubione truskawki w koglu-moglu.

Lekka śródziemnomorska sałatka podana na grzance

- karczochy w zalewie, 1 słoik
- 1 duża łyżka pokrojonych na plasterki oliwek
- 1 duża łyżka kaparów
- duża garść posiekanej natki pietruszki
- puszka sardynek
- oliwa z oliwek, ¼ szklanki
- sok z połówki cytryny
- odrobina soli, czarnego pieprzu
- 1 ząbek czosnku

Chleb lub bagietka podsmażona na patelni koniecznie na dwóch łyżkach oliwy z oliwek.

Oliwę z oliwek przelewamy do misy, dodajemy sok z cytryny, pokrojone na drobno karczochy, posiekane kapary, oliwki. Sardynki możemy rozdzielić palcami na mniejsze kawałki, dodajemy natkę. Wszystko razem mieszamy i podajemy na grzance. ©℗



FOT. ADOBE STOCK



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Leggingsy

Oglądam rolki, przyznaję (ze wstydem). Wyjaśniam: krótkie filmiki na Facebooku przedstawiające scenki z życia. Niektóre prawdziwe, inne dzieła AI. Są rolki o dzieciach, o psach, o kotach. Internet wie, co lubisz, i tego ci dostarcza. Mnie np. wyskakują scenki z samolotu – przedstawiają awantury między pasażerami: o miejsce, o bagaż itp. Jest to szmira, niezbyt zabawna amatorszczyzna, a jednak w tę głupotę człowiek się wciąga...

Zastanowiła mnie jedna rzecz: grające w tych scenkach kobiety ubrane są jak do tropiku, szorty, wydekoltowany podkoszulek itp. Swetra nikt tam nie widział. Widać twórcom tych scenek kręconych w ciepłym klimacie nie przechodzi przez myśl, że są kraje, gdzie ludzie chodzą inaczej ubrani.

No i właśnie ja o tym. Uderzające: bohaterki tych filmików noszą leggingsy, popularny gatunek ubrania: coś między rajstopami a spodniami bez stóp. Pomysł rozpowszechnił się w latach 90., czasie, kiedy lycra weszła do masowej produkcji ubrań. Leggingsy początkowo traktowano tylko jako strój sportowy. W tej postaci dokonały ekspansji terytorialnej, wkrótce stając się wszechobecne. Dzięki nadzwyczajnej rozciągliwości nie dyskryminują nawet największych rozmiarów pupy, są wygodne, tanie.

I tu do gry wchodzi body shaming – poprawnościowy zakaz komentowania wyglądu osób otyłych, a tych – jak wiadomo – jest coraz więcej na świecie. Upewniły się, że świat lubi oglądać ich otulone lycrą potężne rozmiary, komentować nie wolno. Być może starsze roczniki pamiętają, że w latach 80., a potem 90. w Polsce działała jeszcze nazwa „kobiety puszyste". Wymyśliła ją bodajże Danuta Rinn, ale eufemizm poszedł w świat. Zamiast powiedzieć, że ktoś jest gruby, mówiło się „puszysty" i to było nie tylko uprzejme, lecz także ciepłe i miłe. Rodził się ruch body positive, kobiety o większych wymiarach upomniały się o swoje prawa, zaczęto je pokazywać w mediach, nawet na wybiegach mody, wmawiając, że być grubą jest fajnie. Jeden Karl Lagerfeld miał odwagę sprzeciwić się masowej hipokryzji: „Moda nigdy nie zaakceptuje grubych kobiet, bo na nich ubrania źle wyglądają" – mówił. Skandaliczne słowa, których nigdy mu nie wybaczono.

Jednak body positive ośmieliło te kobiety, które dotąd ukrywały się za „ubraniami dla puszystych", sukienkami namiotami. Kiedyś przecież pokazać ściśniętą lycrą pupę było niewyobrażalne. Dziś mamy leggingsy bez kamuflażu, nikt się nie krępuje. Tak jak na tych głupich filmikach, które oglądam. Niestety. ©℗

eprasa.pl 72fac7a599



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Z Księgi Sędziów (włoskich)

O tym, że wielu włoskich prokuratorów i sędziów w prowadzeniu śledztwa i wydawaniu wyroków kieruje się bardziej wyznawaną ideologią lub/i sympatiami politycznymi niż Kodeksem karnym i konstytucją, wiadomo od niemal 35 lat, gdy eksplodował megaskandal korupcyjny, wysadzając w powietrze cały system polityczny Italii.

W spadku pozostał nam we Włoszech upolitycznony i zideologizowany wymiar sprawiedliwości. Owocem były m.in. absurdalne procesy siedmiokrotnego premiera Włoch Giulia Andreottiego, oskarżonego o związki z mafią. Natomiast równie kretyński proces Berlusconiego (zmarł trzy lata temu), któremu prokurator bez cienia dowodu zarzucił zlecenie mafijnych zamachów bombowych (23 lata temu), po 22 latach został zakończony uniewinnieniem miesiąc temu.

Niestety, wyczyny postępowych sędziów i prokuratorów wyznających kult św. Migranta, którzy przez palce patrzą na przestępstwa przybyszów, nierzadko przynoszą skutki opłakane, a co gorsza poważnie zagrażają publicznemu bezpieczeństwu.

Kilka dni temu w Mediolanie 27-letni Algierczyk Saidi Mohamed poszedł wieczorem do pracy, a trudnił się włamaniami do zaparkowanych samochodów, które przy okazji niszczył. Tym razem wpadł w ręce patrolu policyjnego. Już po raz trzeci. W pokoju, w którym mieszkał, policja znalazła wiele przedmiotów i urządzeń pochodzących z kradzieży.

Algierczyk został przewieziony na posterunek policji, gdzie okazało się, że przebywa we Włoszech nielegalnie, a nawet otrzymał nakaz opuszczenia Włoch. Policjanci skontaktowali się z sędzią, pytając, co ze złodziejem zrobić. Sędzia kazał go puścić wolno.

Następnego dnia wieczorem Algierczyk, który powinien trafić do centrum repatriacyjnego, poszedł na stację metra. Bez najmniejszego powodu, krzycząc: „Jestem muzułmaninem!", zaczął wyzywać po arabsku czekającą na pociąg na ławeczce młodą 22-letnią Marokankę. Potem uderzył ją pięścią w głowę, sięgnął po nóż i rozciął twarz. Na szczęście na peronie był również patrol policjantów. Zdołali schwytać napastnika, mimo że stawiał opór. Tym razem, na żądanie pani sędzi, został aresztowany i za kratkami będzie czekał na proces.

Jest jasne, że napadu na mediolańskiej stacji metra można było uniknąć, gdyby sędzia poprzedniego dnia kierował się przepisami prawa lub choćby zdrowym rozsądkiem, a nie promigranckim sentymentem i wsadził Mohameda za kratki. Moralną winę za brutalny atak i być może na zawsze oszpeconą twarz dziewczyny, oprócz Algierczyka, ponosi również dobrotliwy sędzia. Naturalnie, jak wskazują liczne precedensy, nie poniesie z tego powodu żadnych konsekwencji. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

To nie przypadki, to znaki

Huczy o strasznych wypadkach w autobusie w Bielsku-Białej. Od razu pojawiły się zwyczajowe dwie strony. Wytoczyły działa na podstawie fragmentu filmiku, na którym jakiś facet ruga jakieś dziewuszki. Jedna strona ubolewa nad strasznym, odkrywanym, rodzącym się faszystowskim rasizmem i domaga się jego natychmiastowego ukarania. Druga – tłumaczy, że gościa sprowokowały dziewuszki i że jak Ukraińcy biją ludzi i dzieci, to nikt nie piśnie, za to krewkiego upominacza od razu polska prokuratura postawiła pod zarzutami o karalności do lat trzech. (A lekarz z niesławnego szpitala hula już drugi miesiąc bez przesłuchania).

W sumie z niczego wywiedziono całą histerię obustronnej nagonki, co oznacza, że iskra padła na gotowe prochy. Ja się zaś dziwię, że i tak od ponad czterech lat rosnącej w sumie niechęci do przebywających tu Ukraińców (i okazało się, że i vice versa) w sumie oba narody nie skaczą sobie częściej i groźniej do oczu. Tak jest zawsze, kiedy władza hoduje obywateli innej, okazało się, że lepszej (w dodatku okazało się, że niewdzięcznej) kategorii.

Teraz mamy nagłaśniany przypadek jakiejś słownej bzdury, który pokazuje jednak – z powodu histerycznej reakcji – do czego to idzie. Po pierwsze: i Rosji, i Ukrainie będzie zależało na eskalacji takich zachowań i reakcji. Po drugie: idziemy na Zachód. Hodujemy sobie podobną do zachodniej propagandę wstydu co do reakcji. I policji, i w rezultacie obywateli. Od teraz zaczął się proces piętnowania reakcji na każde zachowanie Ukraińców. O czym wiedzą Ukraińcy, tak jak na Zachodzie wiedzą inni egzotyczni przybysze. Policja, jak z Henrym Nowakiem w Wielkiej Brytanii, prędzej zakuje ofiary, niż zatrzyma tożsamościowo oznaczonego winowajcę. Ten będzie miał immunitet naszej, chroniącej Ukraińców, poprawności politycznej.

Zarządcy autobusu po obejrzeniu filmiku stwierdzili, że zachowanie dziewuszek „nie odbiegało od standardu zachowań młodzieży" w zbiorkomie. Co ma oznaczać, że mężczyzna interweniował nadmiarowo, praktycznie bez powodu, a to miałoby wskazywać na erupcję skrywanego szowinizmu. Ale „standard" nie oznacza akceptacji, tylko określenie powszechności występków, również tych nieakceptowalnych. Jak to odpuścimy, to jesteśmy na prostej drodze na Zachód, nikt już nie powstrzyma dowolnego chamstwa, bo ono zawsze się może odwołać do swej ukraińskości. Od dziś nad każdym zachowaniem będzie stał policjant z pałą poprawności. I Ukraińcy ze swą dość egzotyczną kindersztubą będą o tym wiedzieli. Znowu mamy znaki, a mylimy je z przypadkami. ©℗

eprasa.pl 72fac7a599



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Jagiellońskie oddziały zaporowe

Budzące zgrozę sceny miały ostatnio miejsce we Lwowie. Kilkusetosobowy tłum przewrócił tam samochód jednostek „rekrutacyjnych" i uwolnił mężczyznę, którego porwali z ulicy pracownicy regionalnego wojskowego centrum rekrutacji. W obronie nieszczęśnika wstawili się przechodnie. „Samochód został



z rysunku Rafała Ziemkiewicza

przewrócony. Było mnóstwo ludzi, mnóstwo policjantów. Policja bała się podejść. Wezwano ich tam, gdzie byli wszyscy, ale policja po prostu się bała. Policja po prostu boi się ludzi" – relacjonują świadkowie lwowskich wydarzeń.

Podobnych wątpliwości nie podziela krakowski historyk, prof. Andrzej Nowak. Wyraził on opinię, że państwo polskie powinno wejść w buty ukraińskiej policji i odsyłać tamtejszym władzom „darmozjadów i tchórzy", kryjących się przed poborem. „Przecież państwo polskie mogłoby pomóc, gdyby taka była wola państwa ukraińskiego. Po prostu zabrać tych nierobów, darmozjadów i tchórzy, którzy kryją się tutaj przed służbą wojskową w obronie własnej ojczyzny. Nie mówię tutaj o kobietach, dzieciach, ludziach starszych, którzy temu obowiązkowi nie podlegają. Ale budzi moje oburzenie jako człowieka, który ma jakieś instynkty patriotyczne, ten widok tysięcy ludzi, którzy powinni bronić swojej ojczyzny, a unikają służby, korzystając z przymykania oka przez państwo ukraińskie" – grzmiał profesor w Kanale Zero.

Wiek poborowy dla mężczyzn jest na Ukrainie zdefiniowany szeroko i wynosi od 25 do 60 lat. Wyłapywanie w Polsce „tysięcy" Ukraińców uchylających się przed poborem wiązałoby się, zapewne, z obowiązkiem wyrywania ich, także przemocą, z rąk rodzin, żon i dzieci. Czy od takiej roboty nie będą uchylać się co wrażliwsi polscy funkcjonariusze? Wyłomów w ich szeregach nie wypełnią, zapewne, przepełnieni „instynktami patriotycznymi" profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wyzwania, którym należałoby sprostać w tej służbie, niepokojąco przypominają obowiązki otoczonych złą sławą sowieckich „zagraditielnych otriadów", zwanych „oddziałami zaporowymi". Wyłapywały one „darmozjadów i tchórzy niechcących bronić ojczyzny" na tyłach walczących z Niemcami armii. Dalsze losy schwytanych były nadzwyczaj ponure.

Propozycja prof. Nowaka budzi wątpliwości etyczne. Opisywany przez ukraińskie media czas szkolenia schwytanych kandydatów do służby nie przekracza trzech miesięcy. Wystarcza to jedynie na zostanie „mięsem armatnim". Większe szanse przeżycia mają zapewne żołnierze wcieleni do elitarnych jednostek „im. Bohaterów UPA", batalionów „Luftwaffe" lub „Nachtigall". Czy jest w polskim interesie wysyłanie uzupełnień do tych formacji?

Wygłaszane przy każdej okazji zapewnienia, że przebywający w Polsce Ukraińcy są dobrodziejstwem dla polskiej gospodarki, straciły nagle, w profesorskich wywodach, rację bytu. A co z górnolotnymi zapewnieniami o wolności, praworządności i najszlachetniejszych zasadach, na których straży stać miała armia ukraińska? Żołnierz, łapany w sąsiednim kraju „żelazną ręką, co go w bój wypycha", nie wydaje się najszczęśliwszym kandydatem na opiewanego przez prof. Nowaka obrońcę odwiecznych „wartości europejskich". A może, przy odpowiedniej erudycji, znajdą się przykłady hoplitów, chwytanych siłą na agorach greckich „polis"?

Wyłapywanie w Polsce ukraińskiego rekruta to pomysł absurdalny i szkodliwy. Deportować na Ukrainę należy nie „kryjących się przed służbą wojskową Ukraińców", a tych, którzy popełniają w naszym kraju przestępstwa, wyznają ideologię banderyzmu lub do Polski odnoszą się wrogo. Ludziom, którzy pracują uczciwie, szanując nasze tradycje i prawa, nie powinniśmy ubliżać od „tchórzy" ani grozić. Tego rodzaju gesty służyć mają polskim politykom do odwrócenia od siebie zasłużonego wizerunku ludzi ślepo, do niedawna, oddanych interesom Ukrainy. Niedawnym „sługom narodu ukraińskiego" dodadzą one, co najwyżej, miano „pomocników ukraińskiej policji" w mieście rządzonym przez, jak to ujął prezes Kaczyński, „oczywistego banderowca" – mera Sadowego. ©℗

eprasa.pl 72fac7a599



WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Co dziś w telewizji?

Zobaczmy, co dziś w telewizji. Na tym kanale będzie film „Zmierzch". Jest to o tym, jak w nowym liceum 17-latka zakochuje się w Robercie Pattinsonie, który jej wyznaje, że jest wampirem. Wcale jej to nie zraża i stają się nierozłączni. Chyba dajmy spokój. W „Młodych glinach" na bazarku znaleziono zwłoki wychudzonej kobiety ze śladami przemocy. Trup, czyli trop wiedzie… chyba nieważne… W „Szalonym locie" terroryści uprowadzają samolot szturmowy… O, choroba, to tak łatwo jest porwać samolot szturmowy? No ale terroryści to potrafią wiele zdziałać! A tu… tajna agencja chce stworzyć niezwyciężoną armię z osób o nadnaturalnych skłonnościach. Kira potrafi sterować ludzkimi myślami. Jaka znowu Kira? No nie, chyba nie. W „Ukrytej prawdzie" ojczym bohaterki okazuje się chory na Alzheimera. Masz ci los! Będzie miała przechlapane.

W „Trudnych sprawach" Katarzyna spotyka się z Lechem. Marzy o otwarciu cukierni, ale odkrywa, że mężczyzna okradł ją z oszczędności. Nieprzyjemne. A na tamtym, za przeproszeniem, kanale pacjentem ekipy medycznej jest mężczyzna uczulony na mięso. Doznał jednak silnej reakcji anafilaktycznej po zjedzeniu dania z wegańskiego baru. No, proszę, jak to nic nigdy nie wiadomo… Pechowego to i w kościele pobiją. Scarlett Johansson z kolei to hybryda człowieka i maszyny. Naprawdę? Nie wyglądała. Jest agentką elitarnej jednostki zajmującej się zwalczaniem terroryzmu i cyberprzestrzępczości, a tymczasem jakiś przestępca zamierza przejąć technologię umożliwiającą kontrolę ludzkich umysłów. A to drań! No ale to się przecież dzieje… Tyle że to będzie chyba fabuła, a nie dokument… Artur, właściciel dobrze prosperującej firmy, został oskarżony o gwałt na pracownicy. Pewnie nieprawda, ale tu będzie słowo przeciw słowu; facet będzie miał kłopoty jak nic. No ale to nie mój problem... Doktor leczy młodą kobietę, która jest uczulona na kiwi… masz tobie! Tam znów 16-letnia Kaja zaginęła razem ze swym chłopakiem. Detektywi dokonują makabrycznego odkrycia. Trop prowadzi do siłowni. Nie, to chyba na tym drugim kanale... A co z tą Kają? Dajmy sobie spokój… Na Warner TV będzie „Głupi i głupszy", a na HBO „Zaułek koszmarów"... A nie, to było wczoraj… W Turcji Beyza powoduje wypadek, żeby zemścić się na Hancer. Za co? Choroba wie. W tej Turcji to ludzie tacy zajadli jacyś… Kobieta odbiera połączenie. W tle słychać odgłosy walki, po czym połączenie się urywa… Dochodzi do kłótni, podczas której Omar bije Marichuy. Ki diabeł? Aha, grozi, że odbierze jej synka. Nie dość, że bije, to jeszcze grozi… co za ludzie… Patrol przyjeżdża na osiedle, gdzie ktoś wyrzucił przez okno telewizor. Może przeczytał program? Teraz tutaj… łucznik z towarzyszem docierają do warowni otoczonej zaporą. Stają się świadkami ataku siejących spustoszenia stworzeń. Dołączają do wojowników walczących z bestiami. To się skończy po północy. Chyba nie warto. O tej porze trzeba spać, a nie walczyć z potworami.

O godz. 20.10 będzie „Plan ucieczki". No więc może to? Bo na tych pozostałych kanałach: kryminalne zagadki, „Morderstwa w Midsomer", „Niepokojące zaginięcia" i kryminalne geniuszki, a także serial „Więzienie" lub „Łowca pedofilów" i jeszcze będzie thriller „Obsesja"…

Potem będzie thriller „Bezsenność" i „Tożsamość strachu", w której cierpiąca na schizofrenię nastolatka podejrzewa o coś sąsiadkę. Ludzie kochani… Może coś wcześniej by się dało… „Śmierć nadejdzie jutro". Masz tobie… To pewnie jest z Jamesem Bondem, który będzie latał samochodem ze swoimi dziewczynami… „San Andreas" – to pewnie będzie o trzęsieniu ziemi… Więc może „Ród smoka"? O godz. 20 będzie „Najlepsze na koniec", ale to nie koniec programu, bo to komedia niemiecka… boki zrywać… O godz. 20.10 będzie „Plan ucieczki". No więc może to? Bo na tych pozostałych kanałach: kryminalne zagadki, „Morderstwa w Midsomer", „Niepokojące zaginięcia" i kryminalne geniuszki, a także serial „Więzienie" lub „Łowca pedofilów" i jeszcze będzie thriller „Obsesja"…

Nic dziwnego, że ludzie dziś tacy nerwowi. ©℗

eprasa.pl 72fac7a599

CO Z TYM?



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen potwierdziła, że każdy człowiek na terenie UE ma korzystać z aplikacji unijnej służącej do weryfikacji tożsamości, zanim uzyska dostęp do mediów społecznościowych, aby coś publikować. Czyli będą sprawdzać, kim jesteś, zanim ci pozwolą coś wywiesić w sieci. Krok następny: będą sprawdzać, kim jesteś, zanim ci pozwolą coś przeczytać. No i wiadomo, że w konsekwencji będą karać za publikowanie oraz za czytanie treści niewłaściwych.

Ciekawe, że oni (czynniki oficjalne/władza) stosują określenia „teoria spiskowa" albo „dezinformacja", ale nie mówią po prostu, że to kłamstwo lub nieprawda? Pewnie dlatego, że ani „teoria spiskowa", ani „dezinformacja" nie są kłamstwami.

Jako fascynat teorii spiskowych patrzę podejrzliwie na informacje oficjalne. I państwu doradzam to samo. Lubię obserwować teorie spiskowe, bo się sprawdzają. Nie wszystkie, ale te bardziej popularne tak. Ludzie w sieci jakoś samodzielnie wyczuwają, co jest prawdą i wtedy konkretna teoria spiskowa zyskuje zasięgi. Nadal jest zwalczana przez czynniki oficjalne, nadal jest określana jako spiskowa, ale mimo to rośnie w siłę – to dla mnie sygnał, że w tej teorii tkwi prawda. Kompletne głupoty i absurdy szybko znikają. Prawda się broni i walczy o życie.

***

Kiedy ja słyszę, że ktoś opowiada głupoty, to zmieniam kanał, lekceważę, idę słuchać czegoś innego. A co robią oni? Oni „dezinformację" zwalczają wściekle, zawzięcie, a nawet urzędowo. To zawsze przyciąga moją uwagę i zaczynam studiować taki temat. Przecież w normalnych warunkach, gdyby konkretna teoria spiskowa to były wierutne bzdury, władza powinna lekceważąco machnąć ręką, podać do wiadomości publicznej informacje sprawdzone i spokojnie iść spać. Gdy zaczynają zwalczać siłowo jakiś temat, należy się temu przyglądać. Bo musi być jakiś ukryty POWÓD, dla którego oni zwalczają akurat to, a nie tysiące innych głupot pojawiających się w sieci.

Warto też zwracać uwagę na tematy, które porzucili. Porzucili coś, czego w normalnych warunkach nie powinni zostawić w spokoju…

***

Dwa lata temu na wiecu wyborczym w Butler w Pensylwanii miał miejsce nieudany zamach na walczącego o powrót do Białego Domu Donalda Trumpa. I do dziś… zero skazanych, zero winnych, nie posypały się głowy, choć zaniedbania Secret Service były kolosalne i widoczne gołym okiem.

Były trzy zamachy na Trumpa, o których wiemy, i za każdym razem zero winnych. Jakiś samotny szaleniec bez wsparcia potrafił ograć służby, ple, ple i koniec śledztwa. To co to za służby, które dają się ograć kolejnym amatorom?

Charlie Kirk – zamach według tego samego scenariusza i też nie ma winnych. Słowo „scenariusz" jest kluczowe i dookoła tego słowa powstają teorie spiskowe. Jaki to scenariusz? Ano taki, że samotny amator bez przygotowania operacyjnego ograł wszystkich i dokonał zamachu. Tyle. Ochroniarze i agenci służb wiedzą, że snajper szuka dachu albo krzaków, że wcześniej musi przynieść broń, że musi jakoś na ten dach wejść… Służby to wszystko wiedzą, więc zwracają uwagę na dachy, stawiają wykrywacze metalu, przeszukują krzaki przed imprezą…

No i dlatego DZIWNE jest to, że były trzy głośne zamachy na Trumpa i nie ma winnych. Że Charlie Kirk zabity w zamachu i nie ma winnych. Że Epstein się powiesił w pilnie strzeżonej celi i nie ma winnych.

Na balu korespondentów Białego Domu w zeszłym roku nie było prezydenta, ale była ochrona – w tym roku był prezydent, ale ochrony nie było i kolejny samotny amator bez zaplecza wdarł się do budynku uzbrojony po zęby.

***

„Nie ma winnych" – to się powtarza jak refren w wielu sprawach, które oni porzucili. Porzucili, choć w normalnych warunkach nie powinni zostawić w spokoju…

Kolejny scenariusz jest taki, że ujawniają przestępstwa lub się do nich przyznają, ale potem nie ma kary, nikt nie idzie siedzieć.

Hillary wynosiła tajne dokumenty na prywatny serwer i nie ma kary.

Biden przyjmował łapówki od Chińczyków i Ruskich i nie ma kary.

Fauci finansował z publicznych pieniędzy nielegalne eksperymenty i nie ma kary.

Epstein – kolosalna liczba opublikowanych dowodów i nikogo nie zatrzymano, nie wiemy nic o przesłuchaniach.

***

Są też takie sprawy, o których wolno było mówić wczoraj, ale już dzisiaj lepiej nie wspominać:

Co z budową muru na granicy z Meksykiem?

Co się dzieje z wojną celną?

TikTok miał być zamknięty lub sprzedany w ręce amerykańskie i co z tym?

A co się dzieje z tą agencją, która miała wytępić marnowanie pieniędzy publicznych, no z tą, którą na zlecenie Trumpa kierował Elon Musk?

W Strefie Gazy miała powstać hotelowa Riviera, coś się robi? Wbito pierwszą łopatę?

Ministerstwo Edukacji miało być zlikwidowane i co?

Miało nie być żadnych nowych wojen i co?

Ta nowa wojna w Iranie miała się zakończyć bezwarunkowym zwycięstwem po maksimum sześciu tygodniach, i co?

***

Dlaczego nikt nie zadaje władzy prostych logicznych pytań? No np.: Panie prezydencie Trump, wczoraj pan mówił o ataku na irańskie systemy obrony powietrznej, ale… co myśmy właściwie zaatakowali, skoro tydzień temu pan informował, że irański system obrony powietrznej nie istnieje, bośmy go skutecznie zniszczyli do zera. Bombardujemy drugi raz to, co już wcześniej zniszczyliśmy do zera? A czym oni strzelają i kto tam od nich do nas strzela, skoro wcześniej odnieśliśmy zwycięstwo totalne i sam pan mówił, że irańskie siły powietrzne przestały istnieć podobnie jak irańska marynarka wojenna, która w całości została zatopiona? To kto nas teraz atakuje z wody i z powietrza? Atakuje nas nieistniejące lotnictwo? ©℗

eprasa.pl 72fac7a599

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SERHIJ RUDENKO:
„ZEŁENSKI. POZA SCENARIUSZEM"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~751 ZŁ~~

307,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 444 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

| Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

| Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 72fac7a599

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY



Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**

WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl 72fac7a599